



ITALO CALVINO  
**BAŚNIE  
WŁOSKIE**  
PRZEŁOŻYŁ  
JERZY POPIEL  
ILUSTROWAŁ  
WIEŚLAW MAJCHRZAK



BAŚNIE  
WŁOSKIE



The book cover features a decorative border of grapevines with clusters of grapes. At the top and bottom are large, ornate vases overflowing with grapevines. Two birds are perched on the sides of the top vase. In the center, a smaller vase with a grapevine sits on a shelf. The text is centered within a rectangular frame.

**BAŚNIE  
WŁOSKIE**

OPRACOWAŁ  
ITALO CALVINO

PRZEŁOŻYŁ  
JERZY POPIEL

ILUSTROWAŁ  
WIESŁAW  
MAJCHRZAK

NASZA KSIĘGARNIA WARSZAWA 1968

ITALO CALVINO  
BAŚNIE WŁOSKIE

Przełożył  
Jerzy Popiel

Ilustrował  
Wiesław Majchrzak

Tytuł oryginału włoskiego:  
„FIABE ITALIANE”

© G. Einaudi, Torino

PRINTED IN POLAND

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia” Warszawa 1968 r.  
Wydanie I. Nakład 10 000+277 egz. Ark. wyd. 16,4, Ark. druk. 13 +  
12 wkładek.

Papier offsetowy kl.III.90g 83x90/16 Boruszowice oraz kredowany  
70x100/15. Oddano do składania w grudniu 1967 r. Podpisano do  
druku w sierpniu 1968 r. Druk ukończono we wrześniu 1968 r.

Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego”, W-wa Zam. 62/a N-21

# SPIS TREŚCI

OD REDAKCJI

CZAROWNIK O CIELE BEZ DUSZY

PAPUGA

KRÓLEWICZ KANARKIEM

LUDZIE SPOD BIELLI SĄ UPARCI

DONICZKA Z MAJERANKIEM

CHŁOP ASTROLOGIEM

JABŁUSZKO I ŁUPINKA

SKRADZIONA KORONA

PIERZASTY POTWÓR

PIĘKNOTKA I POTWÓR

PAŁAC MAŁP

ALAMAŃSKIE WINOGRONA

KROWIA GŁOWA

PIĘKNA FANTA-GHIRÒ

CHYTRA WIEŚNIACZKA

PIETRUSZKA

ŁÓDŹ ŻEGLUJĄCA PO MORZU I LĄDZIE

NEAPOLITAŃSKI ŻOŁNIERZ

MIÓD I SŁONECZKO

CICCO PETRILLO

GIUSEPPE FUJARA, KTÓRY KIEDY NIE KOPAŁ,  
TO GRAŁ NA FUJARCE

PÓŁNOCNA WICHURA I POŁUDNIOWY WIATR

ERIK, KROK I HAK

PIERWSZY MIECZ I OSTATNIA MIOTŁA  
PIĘCIU OBIEŻYŚWIATÓW  
MATKA NIEWOLNICĄ  
ŻONA SYRENĄ  
KRÓL ULEPIONY Z CIASTA  
COLA-RYBA  
GAŁĄZKA DAKTYŁOWA  
NIESZCZĘSNA  
KATARZYNA MĄDRA  
GOŁĄB ZŁODZIEJEM  
CZARNOKSIĘSKA KSIĘGA  
ŻONA, KTÓRA ŻYŁA WIATREM  
LEWY PRZYBOCZNY  
ROZMARYNA  
DIABEŁ KULAWY  
DZIEWCZYNA GOŁĘBICĄ  
SIOSTRA HRABIEGO  
MAJSTER FRANCISZEK NIERÓB  
O JEDNYM TAKIM, CO POSZEDŁ W ŚWIAT  
KRÓLEWICZ W KURNIKU  
WIELKI NARBOŃCZYK  
GOSPODARZ PRAWDA  
PRÓŻNY KRÓL  
MOC KWIATU PAPROCI  
ŚWIĘTY ANTONI DAJE LUDZIOM OGIEŃ  
GIOVAN BALENTO  
SKACZ DO MEGO WORKA!



## OD REDAKCJI

Niniejszy tom stanowi wybór z dwustu autentycznych ludowych baśni włoskich, które opracował i przełożył z dialektów prowincjonalnych na język literacki znany pisarz Italo Calvino; zaczerpnął je ze zbiorów wydawanych pod koniec XIX i na początku XX stulecia przez licznych badaczy folkloru.

---

## CZAROWNIK O CIELE BEZ DUSZY

**B**yła raz wdowa z synem, który nazywał się Giuanin. Kiedy miał trzynaście lat, chciał iść w świat szukać szczęścia. Matka powiedziała:

– I cóż ty będziesz robił na świecie? Czy nie widzisz, że jesteś jeszcze mały? Pójdiesz, jak będziesz mógł przewrócić kopnięciem sosnę, która rośnie za domem.

Od tego dnia co rano Giuanin, gdy tylko wstał, rozpędzał się i skakał obiema nogami na pień sosny. Sosna nie ruszała się, a on padał jak długi na ziemię. Wstawał, strzepywał sobie ziemię z pleców i wracał do swego kącika.

Wreszcie pewnego pięknego ranka skoczył na drzewo ze wszystkich sił, drzewo pochyliło się, pochyliło, korzenie wyszły z ziemi, i runęło. Giuanin pobiegł do matki, matka przyszła, popatrzała i powiedziała:

– Teraz, synu, możesz iść, gdzie chcesz.

Giuanin pożegnał się z nią i ruszył w drogę.

Po wielu dniach wędrówki doszedł do jakiegoś miasta. Król tego miasta miał konia imieniem Rondello, na którym nikt nie umiał jeździć. Gdy ktoś tego próbował, z początku wydawało się, że mu się uda, potem koń zrzucał każdego. Giuanin popatrzał chwilę i spostrzegł, że koń boi się własnego cienia. Wtedy udał się do Króla i powiedział, że ujeździ Rondella. Poszedł do stajni, zbliżył się do konia, zawołał na niego, pogłaskał go, potem nagle skoczył na siodło i wyjechał na dwór trzymając konia pyskiem na wprost słońca. Koń nie widział cienia i nie płoszył się. Giuanin ścisnął go kolanami, ściągnął wodze i ruszył galopem. Po kwadransie koń był

ujeżdżony, potulny jak jagnię, ale nie pozwalał dosiąść się nikomu prócz Giuanina.

Od tego dnia Król wziął Giuanina na służbę i tak go polubił, że inni słudzy zaczęli być zazdrośni. I zaczęli rozmyślać, jak by tu się go pozbyć.

Trzeba wiedzieć, że ten Król miał córkę i że tę córkę porwał przed laty Czarownik o ciele bez duszy i od tej pory słuch o niej zaginął. Słudzy donieśli Królowi, że Giuanin chełpi się przed ludźmi, iż pójdzie ją uwolnić. Król kazał go zawołać; Giuanin zdumiał się i odrzekł, że o niczym nie wie. Ale Król, któremu ciemno robiło się przed oczyma na samą myśl, że ktoś mógłby żartować z jego nieszczęścia, powiedział:

– Albo ją uwolnisz, albo każę ci uciąć głowę!

Giuanin, widząc, że nie sposób Króla przekonać, kazał sobie dać zardzewiały miecz, który wisiał na ścianie, osiodłał Rondella i pojechał. Jadąc przez las ujrzał lwa, który skinął nań, by się zatrzymał. Giuanin trochę bał się lwa, ale nie w smak mu było uciekać, więc zsiadł z konia i spytał lwa, czego chce.

– Giuanin – powiedział lew – widzisz, że jest tu nas czworo: ja, pies, orzeł i mrówka. Mamy do podziału nieżywego osła. Ty masz miecz: podziel i daj każdemu jego część!

Giuanin uciął łeb osła i dał go mrówce.

– Masz! Będzie ci służył za kryjówkę, a w środku znajdziesz pod dostatkiem jadła.

Potem uciął nogi i dał je psu.

– Będziesz mógł je ogryzać, ile zechcesz!

Wypruł trzewia i dał je orłu.

– To strawa dla ciebie, będziesz mógł ją unieść nawet na wierzchołki drzew, na których siadasz!

Całą resztę dał lwu, który był największy ze wszystkich, jemu się więc należała. Dosiadł konia i miał już odjechać, kiedy usłyszał, że go wołają.

„Biada mi – pomyślał – pewnie nie podzieliłem osła sprawiedliwie!” Ale lwem powiedział:

– Byłeś dobrym sędzią i dobrze nam usłużyłeś. Co możemy ci dać na znak wdzięczności? Masz tu jeden z moich szponów; kiedy go sobie nałożysz na palec, staniesz się najstraszniejszym lwem na świecie.

A pies:

– Masz tu jeden z moich wąsów; kiedy go sobie przyłożysz pod nos, staniesz się najszybszym psem, jakiego kiedykolwiek widziano.

A orzeł:

– Masz tu pióro z mojego skrzydła; będziesz mógł stać się największym i najsilniejszym orłem, jaki lata po niebie.

A mrówka:

– A ja ci dam jedną ze swoich nóżek i kiedy ją sobie przyłożysz, staniesz się mróweczką, ale taką malutką, taką malutką, że nie będzie jej można dostrzec nawet przez szkło powiększające.

Giuanin wziął wszystkie podarki, podziękował zwierzętom i odjechał. Nie wiedział jeszcze, czy ma wierzyć, czy nie w moc tych darów, bo możliwe było, że zwierzęta z niego zakpiły. Ale gdy tylko zniknęły mu z oczu, zatrzymał się i zrobił próbę. Stał się lwem, psem, orłem, mrówką – potem psem, mrówką, lwem, orłem – i upewnił się, że moc podarków działa. Zadowolony ruszył w dalszą drogę.

Za lasem było jezioro, a na jeziorze zamek. Był to zamek Czarownika o ciele bez duszy. Giuanin zamienił się w orła i poleciał na gzyms zamkniętego okna. Potem zamienił się w mrówkę i wśliznął się przez szparę do komnaty. Była to piękna komnata, a pod baldachimem spała Królowna. Giuanin, ciągle pod postacią mrówki, zaczął przechadzać się po jej policzku, póki się nie obudziła. Wtedy odjął sobie nóżkę mrówki i Królowna ujrzała nagle koło siebie pięknego młodzieńca.

– Nie bój się! – powiedział dając jej znak, żeby była cicho. – Przyszedłem cię uwolnić! Musisz dowiedzieć się od Czarownika, jak go można zabić.

Kiedy Czarownik wrócił, Giuanin znów zamienił się w mrówkę. Królowa przywitała Czarownika tysiącem przymileń, kazała mu usiąść u swoich nóg i położyć głowę na swoich kolanach. I rzekła doń:

– Kochany Czarowniku, wiem, że jesteś ciałem bez duszy i dlatego nie możesz umrzeć. Ale wciąż się boję, że ktoś odkryje, gdzie jest twoja dusza i zabije cię, dlatego się martwię.

Wtedy Czarownik odpowiedział:

– Tobie mogę to powiedzieć. I tak siedzisz tu zamknięta i nie możesz mnie zdradzić. Aby mnie zabić, musiałby się znaleźć lew tak silny, żeby mógł zabić czarnego lwa, który jest w lesie; po zabiciu lwa wybiegnie z jego brzucha czarny pies tak szybki, że doścignąć go mógłby tylko najszybszy pies na świecie. Po zabiciu czarnego psa wyleci z jego brzucha czarny orzeł, a nie wiem, czy jest gdzie taki orzeł, co śmiałyby stawić mu czoła. Ale nawet gdyby czarny orzeł został zabity, trzeba by wyjąć mu z brzucha czarne jajo i rozbić je o moje czoło, żeby moja dusza uleciała i żebym umarł. Zdaje ci się, że to takie łatwe? Uważasz, że jest się czego martwić?

Giuanin wysłuchał tego wszystkiego swoimi uszkami mróweczki, drobnymi kroczkami wyszedł przez szparę i wrócił na gzyms. Tam znowu zamienił się w orła i poleciał do lasu. W lesie zamienił się w lwa i zaczął krążyć między drzewami, aż spotkał czarnego lwa. Czarny lew rzucił się na niego, ale Giuanin był najsilniejszym lwem na świecie i rozszarpał go. (W zamku Czarownik poczuł, że kręci mu się w głowie). Kiedy rozpruł brzuch lwa, wyskoczył stamtąd czarny, chyży pies, ale Giuanin stał się najszybszym psem na świecie, dogonił go i zaczęli tarzać się i gryźć, aż czarny pies legł nieżywy na ziemi. (W zamku Czarownik musiał położyć się do łóżka). Kiedy Giuanin rozpruł brzuch psa, wyleciał stamtąd czarny

orzeł, ale Giuanin stał się największym orłem na świecie i zaczęli razem krążyć po niebie dziobiąc się i drapiąc, aż czarny orzeł stulił skrzydła i runął na ziemię. (W zamku Czarownik dostał silnej gorączki i leżał skulony pod przykryciem).

Giuanin, wróciwszy do postaci ludzkiej, rozpruł brzuch orła i znalazł tam czarne jajo. Poszedł do zamku i dał je uradowanej Królownie.

– Jak ty to zrobiłeś? – spytała.

– Drobiazg – odpowiedział Giuanin. – Teraz kolej na ciebie.

Królowna poszła do komnaty Czarownika:

– Jak się czujesz?

– Ach, biada mi, ktoś mnie zdradził...

– Przyniosłam ci kubek rosołu. Wypij.

Czarownik usiadł na łóżku i pochylił się, żeby wypić rosół.

– Czekał, wbiję ci jajko do rosołu, będzie pożywniejszy.

To mówiąc Królowna rozbiła czarne jajo o jego czoło i Czarownik o ciele bez duszy umarł na miejscu.

Giuanin odprowadził córkę Królowi, wszyscy byli szczęśliwi i zadowoleni, a Król dał mu ją zaraz za żonę.

*RIWIERA LIGURYJSKA*



---

## PAPUGA

**B**ył raz kupiec, który musiał udać się w podróż, ale bał się zostawić córkę samą w domu, bo wpadła w oko pewnemu Królowi.

– Córeczko – rzekł do niej – wyjeżdżam, ale musisz mi przyrzec, że nie wystawisz nosa z domu i nikomu nie będziesz otwierać, póki nie wrócę.

Owego rana córka widziała na drzewie za oknem piękną papugę. Była to dobrze wychowana papuga i dziewczyna z wielką uciechą wdała się z nią w pogawędkę.

– Drogi ojcze – rzekła – smutno mi, że zostanę sama w domu. Gdybyś przynajmniej mógł mi dać papugę, która dotrzymywałaby mi towarzystwa!

Kupiec, który świata poza córką nie widział, poszedł zaraz szukać papugi. Znalazł starca, który miał papugę i chciał ją tanio sprzedać. Darował więc papugę córce, dał jej jeszcze tysiąc zaleceń i udał się w podróż. Gdy tylko kupiec wyjechał, Król zaczął się zastanawiać, jak by tu dotrzeć do dziewczyny. I porozumiewszy się z pewną staruszką, posłał ją do niej z listem.

Ale tymczasem dziewczyna zaczęła gawędzić z papugą:

– Co mi opowiesz, papugo?

– Opowiem ci piękną baśń. Był raz Król, który miał córkę. Była to jedynaczka, bez braci i sióstr, i nie miała się z lam bawić. Zrobiono jej więc lalkę tak wielką, jak ona sama, z taką samą twarzą, tak samo ubraną. Brała tę lalkę ze sobą wszędzie, dokąd jechała, i nie można było poznać, kto jest Królową, a kto lalką. Pewnego dnia, gdy Król z córką i lalką jechali kareta przez las, napadli na nich wrogowie Króla, zabili Króla i porwali Królowę,



a lalka została w porzuconej karecie. Dziewczyna zaczęła tak głośno płakać, że wrogowie woleli ją puścić. Poszła sama lasem, zaszła na dwór pewnej Królowej i wstąpiła tam na służbę. Była tak zręczna, że Królowa przywiązała się do niej. Inne służące zaczęły jej zazdrościć i by ściągnąć na nią niełaskę, powiedziały jej:

„Wiesz, Królowa rzeczywiście cię lubi i mówi ci wszystko, ale nie powiedziała ci czegoś, co my wiemy, a ty nie: mianowicie, że miała syna, który umarł”.

Dziewczyna poszła do Królowej i spytała:

„Najjaśniejsza Pani, czy to prawda, że miałaś syna, który umarł?”

Usłyszawszy te słowa, Królowa omal nie zemdląca. Biada bowiem, jeśli ktoś jej o tym wspomniał; ustanowiła nawet karę śmierci dla każdego, kto by śmiał jej napomknąć o zmarłym synu. Także i dziewczyna miała zostać skazana na śmierć, ale Królowa ulitowała się nad nią i kazała ją zamknąć w podziemiu. Dziewczyna, zamknięta w ciemnicy, rozpaczała: nie chciała tknąć jedzenia i przepłakała całą noc. Kiedy tak płakała, posłyszała o północy szcęk rygli i zobaczyła przechodzących pięciu ludzi: byli to czterej czarownicy i syn Królowej, ich więzień, którego wyprowadzali na przechadzkę.

W tej chwili papudze przerwał sługa, który przyszedł z listem do córki kupca. Był to list od Króla, któremu nareszcie udało się go przysłać. Ale dziewczyna chciała usłyszeć dalszy ciąg baśni, która doszła właśnie do najciekawszego miejsca, i odpowiedziała:

– Nie przyjmuję żadnych listów, póki nie wróci ojciec. Nie przeszkadzaj mi. Papugo, opowiadaj dalej.

Sługa odszedł z listem, a papuga opowiadała dalej:

– Rano dozorczy spostrzegli, że uwięziona nic nie jadła, i donieśli o tym Królowej. Królowa wezwała ją, a dziewczyna opowiedziała jej, że Królewicz żyje, że więzi go w podziemiu czterech czarowników i że co noc

wyprowadzają go o północy na przechadzkę. Królowa posłała na dół dwunastu uzbrojonych w żelazne drągi żołnierzy, żołnierze zabili czarowników i uwolnili Królewicza, a Królowa ofiarowała jego rękę dziewczynie, która go wybawiła.

Sługa znowu zapukał nalegając, żeby panienska przeczytała list od Króla.

– Dobrze, baśń skończona, teraz mogę przeczytać – rzekła córka kupca.

– Nie, jeszcze nie skończona, jest jeszcze kawałek – śpiesznie powiedziała papuga. – Posłuchaj. Dziewczyna nie chciała poślubić Królewicza. Poprosiła tylko o sakiewkę z pieniędzmi i męskie przebranie i poszła do innego miasta. Syn Króla tego miasta był chory i żaden lekarz nie umiał go wyleczyć: od północy do rana przewracał oczami i bredził jak potępieniec. Przyszła dziewczyna przebrana za mężczyznę, powiedziała, że jest cudzoziemskim lekarzem, i poprosiła, żeby pozostawiono ją przez jedną noc z chorym. Pierwsza rzecz, jaką zrobiła, to zajrzała pod łóżko i zobaczyła w podłodze podnoszone drzwi. Zeszła tymi drzwiami w dół i znalazła się w długim korytarzu ze światłem w głębi.

W tej chwili zapukał sługa i powiedział, że przyszła jakaś staruszka, która twierdzi, iż jest ciotką panienska, i chce, żeby ją wpuścić. (Nie była to wcale żadna ciotka, ale staruszka przysłana przez Króla). Córka kupca nie mogła jednak doczekać się końca baśni i powiedziała, że nie przyjmuje nikogo.

– Opowiadaj dalej, papugo, opowiadaj.

I papuga opowiadała dalej:

– Dziewczyna doszła do światła i zobaczyła staruchę, która warzyła w kotle serce Królewicza, bowiem Król kazał zgładzić syna owej czarownicy. Dziewczyna wyjęła serce z kotła, dała je do zjedzenia Królewiczowi i Królewicz wyzdrowiał. Król rzekł:

„Obiecałem połowę królestwa lekarzowi, który wyleczy mi syna. Jesteś kobietą, poślubisz więc mojego syna i zostaniesz Królową”.

– Piękna baśń – rzekła córka kupca. – Teraz, kiedy jest skończona, mogę przyjąć tę kobietę, która powiada, że jest moją ciotką.

– Nie, jeszcze nie skończona – rzekła papuga – jest jeszcze kawałek. Posłuchaj. Dziewczyna przebrana za lekarza nie chciała poślubić także i tego Królewicza i znowu poszła dalej. Zaszła do innego miasta, gdzie był zaczarowany Królewicz, który nie mógł mówić. Dziewczyna ukryła się pod łóżkiem i ujrzała o północy, jak przez okno wchodziły dwie czarownice. Czarownice wyjęły Królewiczowi kamyk z ust i Królewicz przemówił. Przed odejściem znów włożyły mu kamyk do ust i Królewicz oniemiał.

Ktoś zapukał do drzwi, ale córka kupca, zasłuchana w baśń, nawet tego nie usłyszała. Papuga opowiadała dalej.

– Następnej nocy, kiedy czarownice położyły kamyk na łóżku, dziewczyna pociągnęła za pościel, strąciła kamyk i włożyła go sobie do kieszeni. Rano czarownice nie znalazły kamyka i musiały uciec. Królewicz był uzdrowiony. Dziewczyna została mianowana nadwornym lekarzem.

Do drzwi ciągle ktoś pukał, córka kupca już miała powiedzieć „Proszę!”, ale przedtem zapytała papugi:

– Czy to już koniec, czy jest coś jeszcze?

– Jeszcze kawałek – odrzekła papuga. – Posłuchaj. Dziewczyna nie chciała zostać w mieście jako nadworny lekarz i poszła do innego miasta. Mówiono tam, że Król tego miasta jest obłąkany. Znalazł kiedyś w lesie lalkę i zakochał się w niej. Zamknięty w swej komnacie wpatrywał się w nią i płakał z żalu, że nie jest to żywa kobieta. Przyszła do niego dziewczyna.

„To jest moja lalka!” – zawołała.

„A to jest moja żona!” – zawołał Król widząc, że jest kubek w kubek podobna do lalki.

Znowu ktoś zapukał do drzwi, a papuga nie wiedziała już, jak ciągnąć dalej baśń.

– Poczekaj, poczekaj, jest jeszcze kawałek – mówiła, ale opowiadać dalej nie umiała.

– Otwórz, otwórz, to ja, ojciec – odezwał się głos kupca.

– No, to baśń skończona – rzekła papuga. – Król ożenił się z dziewczyną i żyli oboje w szczęściu i weselu.

Dziewczyna pobiegła nareszcie otworzyć drzwi i uściskać ojca wracającego z podróży.

– Grzeczna córeczka! Nie ruszyła się z domu – rzekł kupiec. – A papuga? Poszli zobaczyć papugę, ale zamiast niej ujrzeli pięknego młodzieńca.

– Przebacz, panie kupcze – rzekł piękny młodzieniec. – Jestem Królem, który przemienił się w papugę, bo zakochał się w twojej córce. Wiedząc, że inny Król, mój rywal, chce ją porwać, zjawiłem się w postaci papugi, by dziewczynę godziwie zabawić i przeszkodzić mojemu rywalowi w jego knowaniach. Zdaje mi się, że tego dopiąłem i że mogę cię prosić o rękę twej córki.

Kupiec się zgodził. Córka poślubiła Króla, który opowiedział jej baśń, a tamten drugi Król umarł ze złości.

*MONFERRATO (PIEMONTE)*



---

## KRÓLEWICZ KANARKIEM

**B**ył Król i miał córkę. Jej matka umarła, a macocha była zazdrosna o pasierbicę i wciąż ją przed królem obmawiała. Dziewczyna tłumaczyła się, rozpaczała, ale macocha nie ustawała, aż Król, aczkolwiek przywiązany do córki, w końcu dał za wygraną i powiedział żonie, by usunęła ją z domu. Ale miała osadzić ją w miejscu, gdzie by jej było dobrze, bo nigdy by nie pozwolił, żeby się z nią źle obchodzono.

– Co do tego – odpowiedziała Królowa – możesz być spokojny, nie martw się o to – i kazała zamknąć dziewczynę w zamku w głębi lasu.

Dała jej dla towarzystwa zastęp dam dworu z zaleceniem, by nie pozwalały jej wychodzić ani nawet wyglądać przez okno. Oczywiście płaciła im pieniędzmi z królewskiej szkatuły.

Dziewczynie dano pięknie urządzoną komnatę, a do jedzenia i picia, co tylko zechciała; tyle tylko, że nie mogła wychodzić. Damy natomiast, dobrze opłacane, mając tyle wolnego czasu, robiły, co się im żywnie podobało, i nawet nie zwracały na nią uwagi.

Król od czasu do czasu pytał żony: „A jak się miewa nasza córka? Co porabia?” – więc Królowa, by pokazać, że się o nią troszczy, pojechała ją odwiedzić. Gdy tylko wysiadła z karety przed zamkiem, wszystkie damy wybiegły naprzeciw niej, zapewniając, że dziewczyna miewa się wyśmienicie i jest bardzo szczęśliwa. Królowa wstąpiła na chwilę do komnaty pasierbicy.

– Dobrze się tu czujesz, co? Niczego ci tu nie brak, prawda? Dobrze wyglądasz, widzę; powietrze ci tu służy. Bądź wesoła! Żegnam! – i

odjechała.

Królowi powiedziała, że nigdy jeszcze nie widziała jego córki tak zadowolonej.

Tymczasem Królowna, ciągle sama w komnacie, bowiem damy do towarzystwa nawet na nią nie patrzyły, całymi dniami wyglądała smutnie przez okno. Opierała się łokciami o parapet i nabawiłaby się odcisków, gdyby nie pomyślała, by podłożyć pod nie poduszkę. Okno wychodziło na las i Królowna przez cały dzień widziała tylko wierzchołki drzew, obłoki i ścieżkę myśliwych w dole. Pewnego dnia ścieżką przechodził Królewicz. Ścigał dzika i przechodząc koło zamku, o którym wiedział, że jest nie zamieszkały od Bóg wie ilu lat, zdumiał się spostrzegłszy ślady życia: suknie rozwieszane na blankach, dym z kominów, otwarte okna. Kiedy tak patrzył, ujrzał w oknie na górze piękną dziewczynę i uśmiechnął się do niej. Także dziewczyna spostrzegła żółto ubranego Królewicza w butach myśliwskich i z rusznicą, który patrzył w górę, uśmiechając się do niej, i wzajem się do niego uśmiechnęła. I w ten sposób przez całą godzinę spoglądali na siebie, uśmiechali się i kłaniali, bo dzieląca ich odległość nie pozwalała na inne porozumienie.

Nazajutrz żółto ubrany Królewicz przyszedł znowu pod pozorem, że idzie na polowanie, i oboje patrzeli na siebie przez dwie godziny. Tym razem nie tylko uśmiechali się i kłaniali, ale kładli sobie rękę na sercu, a potem długo powiewali chusteczkami. Trzeciego dnia Królewicz zatrzymał się przez trzy godziny i oboje przesłali sobie pocałunek ręką.

Kiedy Królewicz przyszedł czwartego dnia, zza drzewa wychyliła się Wiedźma i zaczęła rechotać:

- He! he! he!
- Kto ty jesteś? Z czego się śmiejesz? – spytał żywo Królewicz.
- Śmieję się, bo nigdy jeszcze nie widziałam takich głupich zakochanych, co trzymaliby się tak daleko od siebie!

– Ej, babciu, gdybym tylko wiedział, jak się do niej dostać! – odpowiedział Królewicz.

– Podobacie mi się – rzekła Wiedźma – i pomogę wam.

I zapukawszy do bramy zamku, dała damom do towarzystwa starą, zbutwiałą, zatłuszczoną księgę i powiedziała, że darowuje ją Królownie, żeby miała co czytać. Damy zaniósły księgę dziewczynie, a ona natychmiast otworzyła ją i przeczytała: „To jest czarodziejska księga. Kiedy przewrócisz karty w przód, człowiek zamieni się w ptaka, a kiedy przewrócisz je wstecz, ptak zamieni się z powrotem w człowieka”.

Dziewczyna pobiegła do okna, położyła księgę na parapecie i zaczęła śpiesznie przewracać karty, a jednocześnie patrzyła na żółto ubranego młodzieńca stojącego pośrodku ścieżki: i oto żółto ubrany młodzieniec poruszył ramionami, zatrzepotał skrzydłami i zamienił się w kanarka; kanarek frunął, wzbił się ponad wierzchołki drzew, przyleciał do niej i usiadł na poduszce na parapecie. Królowna nie mogła się powstrzymać, by nie wziąć pięknego kanarka do ręki i nie pocałować go; potem przypomniała sobie, że to jest młodzieniec, i zawstydzila się; potem przypomniała sobie o tym po raz drugi, ale już się nie wstydzila, nie mogła się tylko doczekać, kiedy kanarek zmieni się z powrotem w młodzieńca. Wzięła znów księgę, przewróciła karty wstecz i oto kanarek nastroszył żółte piórka, zatrzepotał skrzydełkami, poruszył ramionami i stał się z powrotem żółto ubranym młodzieńcem w butach myśliwskich, który ukląkł u jej stóp, mówiąc:

– Kocham cię!





Kiedy wyznali sobie całą swoją miłość, był już wieczór. Królowna zaczęła przewracać powoli karty księgi. Młodzieniec, patrząc w jej oczy, stał się znów kanarkiem, usiadł na poduszce, potem na rynnie, potem powierzył się wiatrowi, poleciał w dół, zataczając szerokie kręgi, i usiadł na

niskiej gałęzi drzewa. Wtedy Królowa przewróciła karty wstecz, kanarek zamienił się z powrotem w Królewicza, Królewicz zeskoczył na ziemię, gwizdnął na psy, przesłał ręką pocałunek ku oknu i odszedł ścieżką.

Tak to Królowa codziennie przewracała karty księgi, by Królewicz mógł przylecieć do okna na szczycie wieży, potem przewracała, by mógł odlecieć, i znowu przewracała je wstecz, by mógł wrócić do domu. Nigdy jeszcze oboje młodzi nie byli tacy szczęśliwi.

Pewnego dnia pasierbicę odwiedziła Królowa. Przechadzając się po komnacie, mówiła ciągle:

– Dobrze ci tutaj, co? Widzę, że trochę zeszczuplałaś, ale to nic, prawda? Nigdy ci jeszcze tak dobrze nie było, co?

A tymczasem sprawdzała, czy wszystko jest na swoim miejscu: otworzyła okno, wyglądnęła i ujrzała na ścieżce w dole żółto ubranego Królewicza nadchodzącego z psami. „Jeśli ta zbytnica myśli, że będzie się wdzięczyć w oknie, to ją tego oduczę” – pomyślała. Wysłała dziewczynę z komnaty po szklankę wody z cukrem, potem śpiesznie wyjęła z włosów pięć czy sześć szpilek i wbiła je w poduszkę tak, że ostrza wystawały w górę, ale nie było ich widać. „Odechce się jej wyglądać oknem!” Dziewczyna wróciła z wodą z cukrem, ale Królowa powiedziała:

– Nie chce mi się już pić, wypij sama, moja mała! Muszę już wracać do ojca. Trzeba ci może czegoś? Nie? No to bądź zdrowa!

I odjechała.

Zaledwie karetka Królowej oddaliła się, dziewczyna przewróciła śpiesznie karty księgi. Królewicz zamienił się w kanarka, pofrunął do okna i opadł jak strzała na poduszkę. Natychmiast rozległ się przeraźliwy pisk bólu. Żółte piórka zboczyły się krwią, kanarek wbił sobie szpilki w pierś. Podniósł się trzepocząc rozpaczliwie skrzydełkami, powierzył się wiatrowi, zataczając niepewne kręgi sfrunął w dół i usiadł z otwartymi skrzydełkami na ziemi. Przerazona Królowa, która nie zdawała sobie jeszcze dobrze

sprawy, co się stało, przewróciła szybko karty wstecz, spodziewając się, że skaleczenia znikną, kiedy przywróci Królewiczowi postać ludzką. Ale niestety! Królewicz broczył krwią z głębokich ran, które widniały poprzez rozdartą żółtą szatę, i leżał na wznak otoczony swymi psami.

Na wycie psów nadbiegli z pomocą inni myśliwi, położyli go na noszach z gałęzi i ponieśli, nie spojrzawszy nawet na okno jego ukochanej, odrętwiałej jeszcze z bólu i przerażenia.

Przyniesiony do pałacu, Królewicz nie mógł wyzdrowieć, a lekarze nie umieli przynieść mu żadnej ulgi. Rany nie goiły się i bolały ciągle. Król ojciec kazał rozgłosić na wszystkich rogach ulic, że wynagrodzi skarbami tego, kto zdoła uleczyć Królewicza, ale nikt się nie znalazł.

Tymczasem Królowna zamartwiała się nie mogąc dostać się do ukochanego. Zaczęła drzeć prześcieradła w wąskie paski i wiązać je razem, tak że zrobił się z nich długi sznur, i pewnej nocy spuściła się po nim z wysokiej wieży. Poszła przed siebie ścieżką myśliwych. Było ciemno choć oko wykol, wyły wilki, pomyślała więc, że lepiej będzie poczekać do rana, i znalazwszy stary dąb z wypróchniałym pniem, weszła do środka, skuliła się i zasnęła natychmiast, śmiertelnie zmęczona. Zbudziła się, kiedy była jeszcze głęboka noc: wydało się jej, że usłyszała jakiś gwizd. Wytężyła ucho, usłyszała drugi gwizd, potem trzeci i czwarty, i ujrzała cztery zbliżające się płomyki. Były to cztery wiedźmy, które naznaczyły sobie pod tym drzewem spotkanie i teraz schodziły się z czterech stron świata. Królowna, sama nie widziana, śledziła przez szczelinę w drzewie cztery staruszki ze świecami w rękach, które witały się z oznakami wielkiej radości i rechotały:

– He! he! he!

Wiedźmy rozpały ognisko u stóp drzewa i usiadły, by się ogrzać i upiec na wieczerzę dwa nietoperze. Kiedy już sobie dobrze podjadły, zaczęły wypytywać się wzajem, co ciekawego widziały na świecie.

– Widziałam sułtana tureckiego, który kupił sobie dwadzieścia nowych żon.

– Widziałam cesarza chińskiego, który zapuścił sobie warkocz na trzy metry.

– Widziałam króla ludożerców, który przez pomyłkę zjadł własnego szambelana.

– Widziałam niedaleko stąd Króla, który ma chorego syna, a nikt nie zna lekarstwa, bo ja jedna tylko je znam.

– Co to za lekarstwo? – spytały inne wiedźmy.

– W posadzce w jego komnacie jest ruchoma płytką, pod płytką flakonik, a we flakoniku maść, która zagoiłaby mu wszystkie rany.

Królewna w drzewie musiała ugryźć się w palec, żeby nie krzyknąć głośno z radości. Wiedźmy powiedziały już sobie wszystko, co miały do powiedzenia, i każda ruszyła w swoją drogę.

Królewna wyskoczyła z drzewa i w świetle brzasku udała się do miasta. W pierwszym z brzegu sklepie ze starzyzną kupiła znoszony strój lekarza i okulary, poszła do pałacu królewskiego i zapukała do bramy. Słudzy, widząc tak ubogo odzianego lekarza, nie chcieli go wpuścić, ale Król rzekł:

– Zaszkożdzić mojemu synowi i tak nie może, bo gorzej niż jest, już nie będzie. Dajcie mu spróbować.

Rzekomy lekarz zażądał, by zostawiono go sam na sam z chorym, i prośbie tej uczyniono zadość.

Kiedy Królewna stanęła u wezglowia ukochanego, który jęczał nieprzytomny w swoim łóżu, chciała wybuchnąć płaczem i okryć go pocałunkami, ale powstrzymała się, bo musiała śpiesznie wykonać zalecenia wiedźmy. Zaczęła chodzić wzdłuż i wszerz komnaty, aż stąpnęła na ruchomą płytkę. Podniosła ją i znalazła flakonik z maścią. Maścią tą zaczęła pocierać rany Królewicza, a wystarczyło dotknąć rany ręką posmarowaną maścią, by rana zniknęła. Ucieszona, zawołała Króla i Król

ujrzał syna już bez jednej rany, z twarzą jak dawniej rumianą, śpiącego spokojnie.

– Proś mnie, o co chcesz – rzekł Król. – Wszystkie skarby państwa należą do ciebie.

– Nie chcę pieniędzy – odrzekł lekarz – daj mi tylko tarczę Królewicza z herbem rodzinnym, jego chorągiew i żółtą kurtkę, tę pokłutą i pokrwawioną.

I otrzymawszy te trzy rzeczy, lekarz odszedł.

W trzy dni potem Królewicz znowu poszedł na polowanie. Minął zamek w lesie, ale nie podniósł nawet oczu ku oknu Królowny. Królowna natychmiast wzięła księgę, przewróciła karty i Królewicz, chociaż wbrew woli, musiał zamienić się w kanarka. Przyfrunął do komnaty, a Królowna zamieniła go z powrotem w człowieka.

– Zostaw mnie w spokoju – rzekł. – Czy ci nie dosyć, że pokaleczyłaś mnie swoimi szpilkami i sprawiłaś mi tyle cierpień?

Rzeczywiście, Królewicz stracił wszelką miłość do dziewczyny, myśląc, że była sprawczynią jego nieszczęścia.

Dziewczyna omal nie zemdląca.

– Ależ ja cię ocaliłam! To ja cię wyleczyłam!

– Nieprawda – odpowiedział Królewicz. – Ocalił mnie cudzoziemski lekarz, który za całą nagrodę wziął tylko moją tarczę z herbem, chorągiew i skrwawioną kurtkę!

– Tu jest twoja tarcza, chorągiew i kurtka! To ja byłam tym lekarzem! Szpilkami pokłuła cię moja okrutna macocha!

Królewicz popatrzył jej przez chwilę ze zdumieniem w oczy. Nigdy jeszcze nie wydała mu się taka piękna. Upadł jej do nóg, prosząc o przebaczenie i wyznając całą swoją wdzięczność i miłość.

Tego samego wieczoru oświadczył ojcu, że chce poślubić dziewczynę z zamku w lesie.

- Możesz poślubić tylko królową lub cesarzównę – odpowiedział ojciec.
- Poślubię kobietę, która ocaliła mi życie.

Na wesele sproszono wszystkich Królów i Królowe z sąsiedztwa. Przyjechał także Król, ojciec Królowy, który o niczym nie wiedział. Ujrzawszy pannę młodą, zawołał:

– Córeczko!

– Jak to? – spytał Król-gospodarz. – Moja synowa jest twoją córką? Dlaczego nam tego nie powiedziała?

– Dlatego – odpowiedziała panna młoda – że nie uważam się za córkę człowieka, który pozwolił macosze, by mnie uwięziła.

I wskazała palcem na Królową.

Król, kiedy usłyszał o wszystkich nieszczęściach córki, rozczulił się nad nią, a oburzył na przewrotną żonę. I nie czekając nawet na powrót do domu, kazał ją uwięzić. Tak więc wesele odbyło się pośród zadowolenia i radości wszystkich, wyjąwszy tylko tę nędznicę.

*TURYN (PIEMONTE)*

---

## Ludzie spod Bielli są uparci

**P**ewien chłop szedł raz do Bielli. Pogoda była taka brzydka, że prawie nie można było iść drogą. Ale chłop miał ważną sprawę do załatwienia w mieście i parł naprzód z pochyloną głową mimo deszczu i zawieruchy.

Spotkał jakiegoś starca, który się doń odezwał:

- Dzień dobry! Dokąd się tak śpieszycie, gospodarzu?
- Do Bielli – odpowiedział chłop nie zatrzymując się.
- Moglibyście przynajmniej powiedzieć: „Jeśli taka Boża wola”.

Chłop przystanął, spojrział starcowi w twarz i odpowiedział:

– Jeśli taka Boża wola, to idę do Bielli, a choćby i Bożej woli nie było, to i tak tam muszę iść. Otóż starcem tym był Pan Bóg.

– Skoro tak, to zajdziecie do Bielli za siedem lat – rzekł. – Tymczasem skoczycie do tego bagna i posiedzicie tam siedem lat.

I chłop w jednej chwili zamienił się w żabę i skoczył do bagna.

Minęło siedem lat. Chłop wyszedł z bagna, zamienił się z powrotem w człowieka, nacisnął kapelusz na głowę i ruszył dalej na targ.

Uszedłszy kilka kroków, spotkał znowu starca.

- Dokąd tak idziecie, gospodarzu?
- Do Bielli.
- Moglibyście powiedzieć: „Jeśli taka Boża wola”.
- Jeśli taka Boża wola, to dobrze, a jeśli i nie, to wiem, co to znaczy, i do bagna trafię już sam. I nie było sposobu, żeby coś innego od niego wydobyć.

*OKOLICE BIELLI (PIEMONT)*



---

## DONICZKA Z MAJERANKIEM

**B**ył raz aptekarz; był wdowcem i miał piękną, miłą córkę, która nazywała się Jutrzenka. Jutrzenka codziennie chodziła do krawczyni uczyć się szyć. W domu krawczyni był taras pełen doniczek z kwiatami i roślinami i każdego popołudnia Jutrzenka chodziła podlewać majeranek, który bardzo lubiła. Naprzeciw tarasu był balkon, z którego wyglądał młody pan. I pewnego dnia ów młody pan zapytał:

*– O, Jutrzenko, Jutrzenko, piękna jak poranek,  
Ile liści zielonych ma twój majeranek?*

A dziewczyna odpowiedziała:

*– Lepiej powiedz, szlachetny, miody kawalerze,  
Ile gwiazd ciemną nocą naszej ziemi strzeże.*

A on:

*– Nie policzyć człękowi złotych gwiazdek z nieba...*

Ona zaś:

*– A na mój majeranek spoglądać nie trzeba.*

Wówczas pan przebrał się za przekupnia ryb i poszedł z rybami pod okna krawczyni. Krawczyni posłała Jutrzenkę, by kupiła jej rybę do usmażenia na wieczerzę. Jutrzenka zeszła i spytała przekupnia, ile chce za rybę. Przekupień wymienił cenę, ale było to tyle pieniędzy, że Jutrzenka powiedziała, iż ryby nie kupi. Na to przekupień:

*– Dam ci ją darmo, jak mnie pocałujesz.*

Jutrzenka pocałowała go ukradkiem, a on dał jej rybę na wieczerę dla krawczyni.

Po południu, kiedy Jutrzenka pojawiła się między doniczkami na tarasie, pan z balkonu zapytał:

*– O, Jutrzenko, Jutrzenko, piękna jak poranek,  
Ile liści zielonych ma twój majeranek?*

A ona:

*– Lepiej powiedz, szlachetny, miody kawalerze,  
Ile gwiazd ciemną nocą naszej ziemi strzeże.*

A on:

*– Nie policzyć człękowi złotych gwiazdek z nieba...*

Ona zaś:

*– A na mój majeranek spoglądać nie trzeba.*

Na to pan powiedział:

*– Za małą rybkę dałaś pocałunek chętnie.*

Jutrzenka, zrozumiałwszy żart, rozgniewała się i odeszła z tarasu; i natychmiast postanowiła odpłacić mu podobnym żartem. Przebrała się za mężczyznę, włożyła piękny, cenny pas, dosiadła mulicy i zaczęła jeździć ulicą, przy której mieszkał ów pan. Pan zobaczył pas i zawołał:

*– Jaki piękny pas! Może byś mi go sprzedał?*

Ale Jutrzenka odpowiedziała grubym głosem, że nie sprzeda go za żadną cenę. Pan powiedział, że gotów jest na wszystko, byle tylko dostać pas; a Jutrzenka:

*– No to dam ci pas, ale musisz pocałować w ogon moją mulicę.*

Panu pas naprawdę się podobał, więc rozejrzawszy się wkoło, czy nikt go nie widzi, pocałował mulicę w ogon, wziął pas i poszedł.

Kiedy zobaczyli się znowu, ona na tarasie, a on na balkonie, powtórzyła się zwykła rozmowa:

- O, Jutrzenko, Jutrzenko, piękna jak poranek,  
Ile liści zielonych ma twój majeranek?*
- Lepiej powiedz, szlachetny, młody kawalerze,  
Ile gwiazd ciemną nocą naszej ziemi strzeże.*
- Nie policzyć człękowi złotych gwiazdek z nieba...*
- A na mój majeranek spoglądać nie trzeba.*
- Za małą rybkę dałaś pocałunek chętnie.*
- A tyś mulicę w ogon całował namiętnie.*

Usłyszawszy tę odpowiedź, pan obraził się nie na żarty. Poszedł do krawczyni i poprosił ją, by pozwoliła mu ukryć się pod schodami. Kiedy Jutrzenka wchodziła po schodach, młodzieniec pociągnął ją za spódnicę. Dziewczyna krzyknęła:

– Ratuj, pani krawczyni! Trzymają mnie schody!

A po południu między tarasem a balkonem odbyła się taka rozmowa:

- O, Jutrzenko, Jutrzenko, piękna jak poranek,  
Ile liści zielonych ma twój majeranek?*
- Lepiej powiedz, szlachetny, miody kawalerze,  
Ile gwiazd ciemną nocą naszej ziemi strzeże...*
- Nie policzyć człękowi złotych gwiazdek z nieba...*
- A na mój majeranek spoglądać nie trzeba.*
- Za małą rybkę dałaś pocałunek chętnie.*
- A tyś mulicę w ogon całował namiętnie.*
- Ratuj, pani krawczyni! Trzymają mnie schody!*

Tym razem obraziła się Jutrzenka i pomyślała: „Teraz ja ci pokażę!” Przekupiwszy służącego, weszła wieczorem do domu młodzieńca i ukazała

mu się w prześcieradle na głowie, z pochodnią i otwartą księgą w ręce. Młodzieniec, ujrawszy widmo, zaczął drzeć i wyjąkał:

– Idź, śmierci, do mej ciotki, bom ja jeszcze młody.

Jutrzenka zgasła pochodnię i odeszła. Nazajutrz rozmowa toczyła się dalej:

– *O, Jutrzenko, Jutrzenko, piękna jak poranek,  
Ile liści zielonych ma twój majeranek?*

– *Lepiej powiedz, szlachetny, młody kawalerze,  
Ile gwiazd ciemną nocą naszej ziemi strzeże.*

– *Nie policzyć człękowi złotych gwiazdek z nieba...*

– *A na mój majeranek spoglądać nie trzeba.*

– *Za małą rybkę dałaś pocałunek chętnie.*

– *A tyś mulicę w ogon całował namiętnie.*

– *Ratuj, pani krawczyni! Trzymają mnie schody!*

– *Idź, śmierci, do mej ciotki, bom ja jeszcze młody!*

Po tym figlu młodzieniec powiedział sobie: „Tym razem już tego nie ścierpię! Znajdę sposób, żeby się zemścić”. Nie zwlekając poszedł do aptekarza i poprosił o rękę Jutrzenki. Aptekarz bardzo się ucieszył i obaj natychmiast spisali umowę. Zbliżał się dzień ślubu i Jutrzenka bała się, że narzeczony knuje jeszcze jakąś zemstę za wszystkie jej żarty. Zrobiła więc z ciasta kukłę, która była taka wielka jak ona, podobna do niej jak dwie krople wody, a w miejsce serca włożyła pęcherz napełniony bitą śmietaną. Gdy po weselu poszła do sypialni, ubrała kukłę w swoją koszulę i czepek, położyła ją do łóżka, a sama się ukryła.

Wszedł pan młody.

– Ach, nareszcie jesteśmy sami! Nadeszła chwila zemsty za wszystkie przykrości, jakie mi wyrządziłaś!

I dobywszy sztyletu, wraził go w serce kukły. Pęcherz pękł i bita śmietana trysnęła na wszystkie strony, nawet do ust pana młodego.

– Ach, biada mi! Jaka słodka jest krew mojej Jutrzenki! A ja ją zabiłem!  
Cóż uczyniłem! Ach, gdybym mógł ją wskrzesić!

Na to Jutrzenka wyskoczyła z ukrycia, zdrowa jak ryba.

– Jestem tutaj! To ja jestem twoja Jutrzenka! Wcale mnie nie zabiłeś!  
Mąż uściskał ją ucieszony i odtąd żyli w szczęściu i weselu.

*MEDIOLAN (LOMBARDIA)*



---

## CHŁOP ASTROLOGIEM

**P**ewien Król zgubił drogocenny pierścień. Szukają wszędzie, pierścienia nie ma. Król ogłosił, że jeśli jakiś astrolog potrafi mu wskazać, gdzie jest pierścień, to uczyni go bogatym na całe życie. Był chłop bez grosza przy duszy, nie umiał czytać ani pisać, a nazywał się Rak. „Czy to tak trudno udawać astrologa? – rzekł do siebie. – Spróbuję”. I poszedł do Króla.

Król wziął go za słowo i zamknął w komnacie, by zbadał rzecz. W komnacie było tylko łóżko i stół, a na stole wielka księga astrologiczna, pióro, papier i kałamarz. Rak usiadł przy stole i zaczął wertować księgę, nic z niej nie rozumiejąc, i robić na niej znaki piórem. A ponieważ nie umiał pisać, wychodziły mu bardzo dziwne znaki i słudzy, którzy dwa razy dziennie przynosili mu jedzenie, pomyśleli, że musi to być bardzo mądry astrolog.

Właśnie ci słudzy ukradli pierścień. Za każdym razem, kiedy wchodzili, Rak, by dodać sobie powagi, łypał na nich groźnie okiem, a sługom, którzy mieli nieczyste sumienie, wydawało się, że są to spojrzenia podejrzliwe. Zaczęli się bać, że zostaną odkryci, i prześcigali się w czołobitnościach: „Tak, panie astrologu! Do usług, panie astrologu!”

Rak, który nie był astrologiem, ale chłopem, a zatem człekiem chytrym, pomyślał od razu, że słudzy muszą coś wiedzieć o pierścieniu, i postanowił wziąć ich fortelem.

Pewnego dnia ukrył się pod łóżkiem w porze, w której przynosili mu obiad. Wszedł pierwszy sługa i nie zobaczył nikogo. Spod łóżka Rak

powiedział głośno:

– To pierwszy!

Sługa zostawił talerz i umknął przerażony.

Wszedł drugi sługa i usłyszał ten sam głos, który zdawał się wychodzić spod ziemi:

– To drugi!

I uciekł także.

Wszedł trzeci.

– To trzeci!

Słudzy naradzili się.

– Jesteśmy odkryci. Jeśli astrolog wyda nas Królowi, to będzie po nas.

Postanowili więc udać się do astrologa i przyznać się do kradzieży.

– Jesteśmy biednymi ludźmi – powiedzieli mu – i jeśli powiesz Królowi o swoim odkryciu, będziemy zgubieni. Masz tu sakiewkę ze złotem, nie wydawaj nas.

Rak wziął sakiewkę i powiedział:

– Nie wydam was, ale musicie zrobić, co wam powiem. Weźcie pierścień i dajcie go indykowi, który chodzi po podwórzu, niech go połknie. Resztę zdajcie na mnie.

Na drugi dzień Rak poszedł do Króla i powiedział mu, że po długich badaniach zdołał dociec, gdzie jest pierścień.

– Gdzie?

– Połknął go indyk.

Indyka wypatroszono i pierścień się znalazł. Król obsypał astrologa bogactwami i wydał na jego cześć obiad, na którym byli wszyscy hrabiowie, margrabiowie, baronowie i wielmoże królestwa.

Między wieloma innymi potrawami przyniesiono na stół półmisek z rakami. Trzeba wiedzieć, że w kraju tym nie znano raków i biesiadnicy

widzieli je owego dnia po raz pierwszy, bo przysłał je w darze król innego państwa.

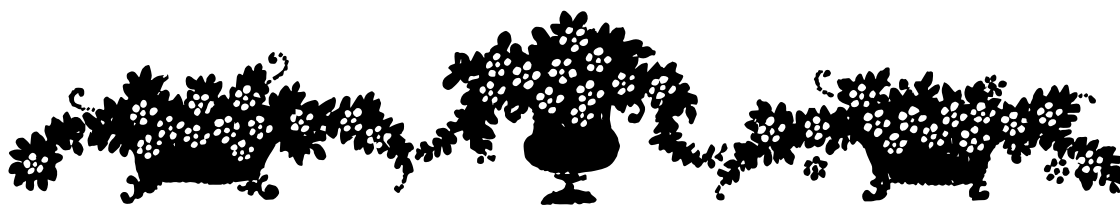
– Ty, który jesteś astrologiem – powiedział Król do chłopca – zapewne będziesz umiał mi powiedzieć, jak nazywa się to, co widzisz na półmisku.

Nieborak nigdy nie widział takich stworzeń ani też nie słyszał, jak się nazywają. I rzekł do siebie półgłosem:

– Ach, Raku, Raku, koniec z tobą!

– Brawo! – zawołał Król, który nie wiedział, jak chłopca się naprawdę nazywa. – Zgadłeś! Tak się to właśnie nazywa: raki! Jesteś największym astrologiem świata.

*MANTUA*





---

## JABŁUSZKO I ŁUPINKA

**B**yli raz mąż i żona, wielcy państwo. Chcieli mieć dziecko, ale nie mieli. Pewnego dnia ów pan spotyka na drodze Czarownika.

– Powiedz mi, panie Czarowniku – pyta go – co mam zrobić, żebyśmy mieli dziecko?

Czarownik daje mu jabłko i powiada:

– Daj je zjeść żonie, a za dziewięć miesięcy urodzi piękne dziecko.

Mąż wraca do domu z jabłkiem i daje je żonie:

– Zjedz to jabłko, a będziemy mieli piękne dziecko. Tak mi powiedział Czarownik.

Żona, uradowana, zawołała służącą i kazała jej obrać jabłko. Służąca obrała jabłko dla pani, a sobie zostawiła łupinkę i potem ją zjadła.

Pani urodził się syn i tego samego dnia urodził się syn służącej. Syn służącej był rumiany jak łupinka, a syn pani biały jak miąższ jabłka. Pan zatrzymał obydwóch jako swoich synów, kazał ich razem chować i razem posyłać do szkoły.

Jabłuszko i Łupinka, podrosłszy, kochali się jak bracia. Pewnego dnia usłyszeli na przechadzce o córce pewnego Czarownika, pięknej jak słońce, ale której nikt nigdy nie widział, bo w ogóle nie wychodziła z domu i nawet nie wyglądała przez okno. Jabłuszko i Łupinka kazali sobie zrobić wielkiego spiżowego konia z pustym brzuchem i ukryli się w środku z trąbką i skrzypcami. Koń szedł sam, bo oni poruszali kółkami. Dojechali tak pod pałac Czarownika i zaczęli grać. Czarownik wygląda, widzi spiżowego konia, który sam gra, i każe go wprowadzić do domu, żeby

córka miała zabawę. Córka bardzo się ucieszyła, ale kiedy została sama ze spiżowym koniem i zobaczyła, że z niego wychodzą Jabłuszko i Łupinka, bardzo się przelękała.

– Nie bój się – rzekli Jabłuszko i Łupinka. – Przyszliśmy zobaczyć, jaka piękna jesteś, i jeśli chcesz, żebyśmy sobie poszli, to zaraz odejdziemy. Jeśli jednak nasze granie ci się podoba i chcesz, żebyśmy trochę pograli, to potem wrócimy do naszego konia i wyprowadzimy go tak, że nikt nie spostrzeże, iż jesteśmy w środku.

Grali więc i zabawiali się, i w końcu córka Czarownika nie chciała ich puścić.

– Jeśli pojedziesz ze mną – rzekł jej Jabłuszko – to zostaniesz moją żoną.

Córka Czarownika przystała na to; wszyscy troje ukryli się w brzuchu spiżowego konia i ruszyli w drogę.

Ledwie wyjechali, wraca Czarownik, woła córkę, szuka, pyta odźwiernego: ani śladu. Wtedy zrozumiał, że jest tu zdrada, rozeźlił się, wyszedł na balkon i rzucił na córkę trzy klątwy:

– Niech spotka trzy konie, siwego, kasztana i karego, a że podobają się jej siwe, niech skoczy na siwego i niech ten siwy ją zdradzi.

Jeśli nie, to:

Niech spotka trzy pieski, białego, rudego i czarnego, a że podobają się jej czarne, niech weźmie na ręce czarnego i niech ten czarny ją zdradzi.

A jak nie, to:

W noc, w którą pójdzie spać z mężem, niech przez okno wejdzie wąż i niech ten wąż ją zdradzi.

Kiedy Czarownik rzucał te trzy klątwy z balkonu, drogą poniżej przechodziły trzy stare wróżki i wszystko słyszały.

Wieczorem wróżki, zmęczone długą podróżą, zatrzymały się w gospodzie i ledwie weszły, jedna z nich rzekła:

– Patrzcie, jest tutaj córka Czarownika! Nie spałaby tak spokojnie, gdyby wiedziała o trzech klątwach, jakie rzucił na nią ojciec!

I rzeczywiście, na ławce gospody spali Jabłuszko, Łupinka i córka Czarownika. Prawdę mówiąc, Łupinka właściwie nie spał, czy to dlatego, że nie mógł usnąć, czy też dlatego, że wiedział, iż zawsze lepiej jest spać z jednym okiem otwartym. I wszystko słyszał.

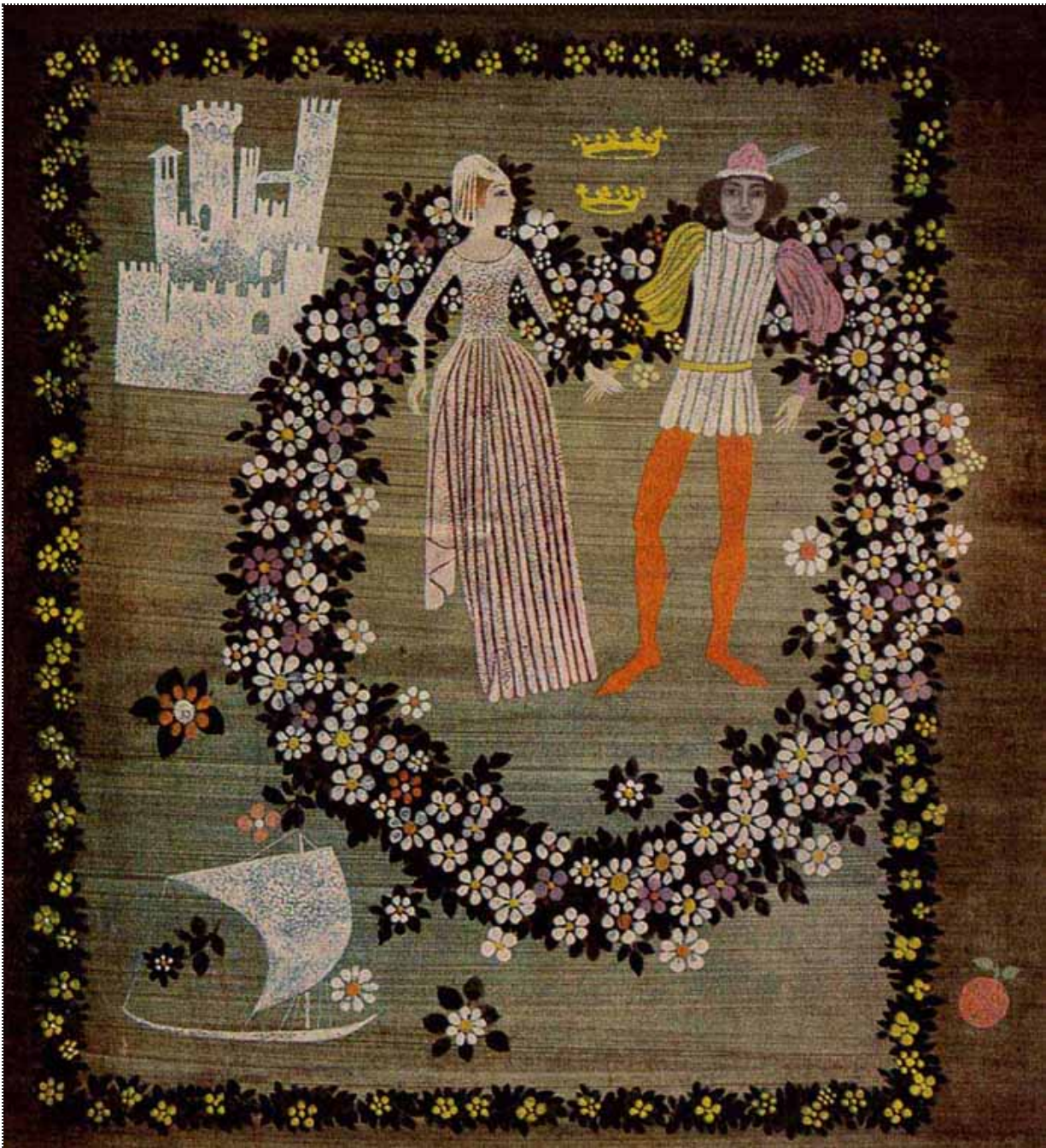
Słyszał więc, jak jedna z wróżek rzekła:

– Czarownik rzucił klątwę, żeby spotkała trzy konie, siwego, kasztana i karego, i żeby wskoczyła na siwego, który ją zdradzi.

– Ale – dodała druga wróżka – gdyby ktoś uprzedzony uciął natychmiast koniowi łeb, to nic by się nie stało.

A trzecia wróżka dodała:

– A jeśli ktoś to powie, obróci się w marmur.



- Potem czarownik rzucił klątwę – rzekła pierwsza wróżka – żeby spotkała trzy pieski i wzięła na ręce jednego, który ją zdradzi.
- Ale – rzekła druga wróżka – gdyby ktoś uprzedzony uciął natychmiast pieskowi głowę, to nic by się nie stało.
- A jeśli ktoś to powie, obróci się w marmur – rzekła trzecia.

– Potem rzucił klątwę, żeby w pierwszą noc, kiedy będzie spać z mężem, wszedł przez okno wąż, który ją zdradzi.

– Ale gdyby ktoś uprzedzony uciął wężowi głowę, to nic by się nie stało – rzekła druga wróżka.

– A jeśli ktoś to powie, obróci się w marmur.

Tak więc Łupinka dowiedział się trzech strasznych tajemnic, których nie mógł zdradzić, jeśli nie chciał obrócić się w marmur.

Nazajutrz ruszyli dalej i dojechali do stacji pocztowej, dokąd ojciec Jabłuszka wysłał naprzeciw nich trzy konie: siwego, kasztana i karego. Córka Czarownika natychmiast wskoczyła na grzbiet siwego, ale Łupinka szybko dobył miecza i uciął koniowi łeb.

– Co ty robisz? Czyś oszalał?

– Wybacz, nie mogę ci powiedzieć.

– Jabłuszko, ten Łupinka to człowiek o złym sercu! – zawołała córka Czarownika. – Nie pojedę z nim dalej.

Ale Łupinka powiedział jej, że uciął koniowi łeb w chwili gdy stracił rozum, i poprosił ją o przebaczenie, a ona w końcu mu przebaczyła.

Dojeżdżają do domu rodziców Jabłuszka i naprzeciw wybiegają trzy pieski: biały, rudy i czarny. Córka Czarownika chce wziąć na ręce czarnego, ale Łupinka wyciąga miecz i ucina mu głowę.

– Niech ten szalony i okrutny człowiek idzie zaraz precz od nas! – krzyczy oblubienica.

W tej chwili nadchodzą rodzice Jabłuszka: witają syna i jego oblubienicę z radością, a dowiedziawszy się o zatargu z Łupinką, tak się za nim wstawiają, że oblubienica przebacza mu znowu. Ale podczas obiadu, pośród ogólnej wesołości, jeden tylko Łupinka siedział zamyślony na uboczu i nikt nie mógł od niego wydobyć, co go gnębi. „Nic mi nie jest, nic mi nie jest” – powtarzał, ale wyszedł przed wszystkimi, mówiąc, że jest

śpiący. Zamiast jednak udać się do swego pokoju, poszedł do sypialni nowożeńców i schował się pod łóżkiem.

Małżonkowie kładą się do łóżka i zasypiają. Łupinka czuwa; słyszy, jak tłuką się szyby i widzi, że do sypialni włazi ogromny wąż; wtedy wyskakuje spod łóżka, obnaża miecz i ucina mu głowę. Na hałas budzi się żona Jabłuszka, widzi przed łóżkiem Łupinkę z dobytym mieczem, nie widzi węża, który już znikł, i krzyczy:

– Morderca! Morderca! Łupinka chce nas zabić! Dwa razy już mu przebaczyłam, ale teraz zapłaci za to życiem.

Łupinkę chwytają, wtrącają do więzienia, a po trzech dniach ubierają w śmiertelną koszulę, by wyprowadzić go na powieszenie. Tak czy tak musi umrzeć, prosi więc tylko o łaskę, żeby przed śmiercią mógł rzec kilka słów żonie Jabłuszka.

Żona Jabłuszka przychodzi do więzienia.

– Pamiętasz – pyta Łupinka – jak zatrzymaliśmy się w gospodzie?

– Pewnie, że pamiętam.

– Kiedy ty i Jabłuszko spaliście, weszły trzy wróżki i powiedziały, że Czarownik rzucił na swoją córkę trzy klątwy: ma spotkać trzy konie i dosiąść siwego konia, i ten siwy koń ma ją zdradzić. Ale – powiedziały – jeśli znajdzie się ktoś gotów uciąć koniowi łeb, wtedy nic się nie stanie; a kto to powie, obróci się w marmur.

Kiedy Łupinka wyrzekł te słowa, nogi zamieniły mu się w marmur.

Żona Jabłuszka zrozumiała.

– Dość, dosyć, na miłość boską! – krzyknęła. – Nie opowiadaj dalej!

A on:

– Tak czy tak muszę umrzeć, chcę, żebyś wiedziała wszystko. Trzy wróżki powiedziały także, że córka Czarownika spotka trzy pieski...

Opowiedział jej o klątwie z pieskami i skamieniał aż po szyję.

– Rozumiem już! Biedny Łupinko, przebacz mi! Nie opowiadaj dalej! – błagała żona Jabłuszka. Ale on, resztką głosu – bo gardło miał już z marmuru, i bełkocząc – bo i szczęki stawały się już marmurowe, powiedział jej o klątwie z wężem.

– Ale... kto to powie... obróci się w marmur...

I zamilkł, marmurowy od stóp do głów.

– Co ja uczyniłam! – rozpacziała żona Jabłuszka. – Ta wierna dusza jest zgubiona... Chyba że... Tak, tak, ocalić go może tylko mój ojciec.

I wzięła papier, pióro i kałamarz, napisała do ojca list, prosząc go o przebaczenie i zaklinając, by do niej przyjechał.

Czarownik, który za córką świata nie widział, przyjeżdża co koń wyskoczy.

– Ojcze – mówi córka ściskając go – proszę cię o łaskę! Spójrz na tego biednego młodzieńca z marmuru! By ocalić mi życie od twoich trzech klątw, obrócił się w marmur od stóp do głów.

A Czarownik wzdychając:

– Z miłości dla ciebie – rzekł – uczynię i to.

Wyciągnął z kieszeni flakonik z balsamem, potarł nim Łupinkę i Łupinka podskoczył, z krwi i ciała jak przedtem.

I tak, zamiast powieść go pod szubienicę, powiedli go w triumfie do domu z muzyką i śpiewem, wśród wielkiego tłumu, który krzyczał: „Niech żyje Łupinka! Niech żyje Łupinka!”

WENECJA





---

## SKRADZIONA KORONA

**P**ewien Król miał trzech synów i bardzo ich kochał. Któregoś dnia poszedł na polowanie z Pierwszym Ministrem, zmęczony legł pod drzewem i zasnął. Kiedy się budził, pierwsza rzecz, jaką robi, to szuka korony. Nie ma jej na głowie ani koło siebie, nie ma jej w torbie myśliwskiej. Gdzie się mogła podziać? Woła natychmiast Pierwszego Ministra i pyta:

– Kto mi zabrał koronę?

– Najjaśniejszy panie, czyż ja śmiałybym tknąć koronę? I nawet nie widziałem nikogo, kto by ją brał!

Król wrócił do domu wściekły i skazał Pierwszego Ministra na śmierć. Biedaczek! Nic tu nie zawinił: koronę ukradła wróżka Alcyna, królowa wróżek.

Królowi wstyd było pokazać się ludowi bez korony na głowie; zamknął się w komnacie i wydał rozkaz, żeby nikt do niego nie przychodził. Synowie nie wiedzieli o niczym i nie mogli zrozumieć, co się Królowi stało. Pewnego dnia najstarszy syn rzekł:

– Co to może znaczyć, że ojciec ciągle siedzi zamknięty w komnacie i nie chce nikogo widzieć? Musiało mu się zdarzyć jakieś nieszczęście. Pójdę do niego i może uda mi się go pocieszyć.

Ale ojciec przepędził go, krzycząc, i gdyby w porę nie uciekł, dobrze by mu się dostało.

– Spróbuję i ja – rzekł średni syn, ale zdarzyło mu się to samo i wrócił bardzo zmartwiony.

Został jeszcze najmłodszy, który nazywał się Beniamin i był beniaminkiem ojca. I on także wszedł do komnaty Króla i poprosił go, by mu się zwierzył, co go trapi.

– Tobie opowiedziałbym wszystko – rzekł Król – ale to zbyt wielka hańba; nie mogę.

A syn natychmiast:

– Skoro mi nie chcesz powiedzieć, to wolę się zabić niż patrzeć, jak cierpisz.

I przyłożył sobie pistolet do piersi.

– Wstrzymaj się, synu! – krzyknął Król. – Powiem ci wszystko!

I zaczął mu opowiadać szczegółowo, jak postradał koronę, prosząc go jednak, by nic nie mówił braciom.

Beniamin słuchał w milczeniu, po czym rzekł:

– Wiesz, kto ci ukradł koronę? To może być tylko wróżka Alcyna, która tak lubi dokuczać ludziom. Pójdę w świat i nie spocznę, póki jej nie odnajdę. Wrócę z koroną albo mnie więcej nie zobaczysz.

Jak powiedział, tak też i zrobił: osiodłał konia, wziął sakiewkę z pieniędzmi i pojechał. Na rozstaju znalazł trzy drogi: każda oznaczona była kamieniem. Na jednym kamieniu było napisane: „Kto pójdzie tą drogą, wróci zdrow i cały”. Na drugim: „Kto pójdzie tą drogą, zginie albo wróci”. Na trzecim zaś: „Kto pójdzie tą drogą, nie wróci już nigdy”. Beniamin miał już pojechać pierwszą, potem się rozmyślił i skierował konia na drugą, ale natychmiast zawrócił i pojechał trzecią.

Z początku droga była dobra, ale potem zaczęły się krzaki kolczaste, kamienie, węże, owady i najrozmaitsze dzikie zwierzęta. Kon nie mógł dalej iść. Beniamin zeskoczył z siodła, przywiązał konia do drzewa, pocałował go i rzekł do niego prawie z płaczem:

– Może się już nie zobaczymy.

Potem ruszył dalej pieszo.

Szedł i szedł, aż doszedł do jakiejś chaty. Zapukał do drzwi, bo był bardzo głodny.

– Kto tam? – spytał czyjś głos.

– Biedny podróżny bez konia, który prosi o trochę jadła.

Otworzyła mu drzwi jakaś staruszka i spytała bardzo zdziwiona:

– Czego tu szukasz, piękny młodzieńcze? Nie wchodź do środka, na miłość boską! Czyż nie wiesz? Jestem matką Wiedźmy Ludojadki. Poczekaj tutaj, to ci przyniosę coś do jedzenia.

Jedząc Beniamin opowiedział staruszce, jak i dlaczego ruszył w świat na poszukiwanie wróżki Alcyny. Staruszka nigdy o niej nie słyszała, ale że była dobrą kobieciną, obiecała mu pomóc. Wpuściła go do środka, ukryła pod łóżkiem, i kiedy nadeszła Wiedźma Ludojadka, wściekła i zgłodniała, najpierw dała jej jeść tyle, żeby całkiem zaspokoila głód, potem opowiedziała jej historię młodzieńca i kazała jej przyrzec, że nic mu nie zrobi.

Wiedźma Ludojadka, która już się nasyciła, pozwoliła wyjść Beniaminowi spod łóżka i przyjaźnie się doń odezwała. Powiedziała mu, że włócząc się po świecie, jak to zwykła czynić, widziała koronę jego ojca: wisiała nad łóżkiem wróżki Alcyny. A potem powiedziała mu, że prócz korony był tam gwiaździsty szal i grające złote jabłko, które zagrabione zostały dwom królowym, i że te królowe są więzione zaklęciem w studni. A potem wytłumaczyła mu, gdzie jest pałac wróżki Alcyny i gdzie jest studnia z dwiema królowymi.

– Ale jak wejść do pałacu? – spytał Beniamin.

– Masz tu butelkę – rzekła Wiedźma Ludojadka – którą uśpiasz strażnika. W ten sposób wejdiesz i spotkasz ogrodnika.

– A jak sobie poradzę z ogrodnikiem?

– O to się nie kłopotaj – rzekła Wiedźma Ludojadka. – Wiedz, że ogrodnikiem wróżki Alcyny jest mój ojciec. Zaraz damy ci do niego list

polecający.

Beniamin podziękował gorąco matce i córce i puścił się w drogę. Szedł, póki nie znalazł pałacu wróżki; uśpił strażnika i odnalazł ogrodnika, który obiecał mu pomoc.

– Uważaj na schodach na dwóch Murzynów; mają rozkaz zabić każdego, kto chce przejść, prócz mnie, kiedy idę zanieść kwiaty wróżce.

Teraz Beniamin przebrał się za ogrodnika, wziął wielki wazon z tuberozami, który zakrywał mu twarz, i minął szczęśliwie dwu Murzynów. Wszedł do komnaty wróżki, która spała, zabrał koronę wiszącą na szczycie baldachimu, gwiazdzisty szal i złote jabłko. Potem obrócił się, by spojrzeć na wróżkę: była taka piękna, że przyszyła mu chęć pocałować ją śpiącą. I już miał jej dotknąć ustami, kiedy złote jabłko zaczęło grać i Beniamin, bojąc się, by wróżka się nie zbudziła, uciekł natychmiast, kryjąc twarz w wazonie z jaśminem, żeby Murzyni go nie zobaczyli. Wystawił się na wielkie niebezpieczeństwo: kto pocałował wróżkę Alcyne, zamieniał się w marmur od stóp do głów.

Beniamin podziękował ogrodnikowi i ruszył w powrotną drogę. Po sześciu czy siedmiu godzinach znalazł wyschlą studnię, tak głęboką, że nie można było dojrzeć dna. A wokół tej studni krążyła gęś z takimi wielkimi skrzydłami, że mogłoby się pod nimi zmieścić kilku ludzi. Gęś od razu zrozumiała, że Beniamin chce zejść do studni, i zbliżyła się w taki sposób, żeby mógł umieścić się pod skrzydłem. Potem poleciała w głąb studni.

Na dnie studni siedziały dwie królowe więzione zaklęciem.

– Macie tu gwiazdzisty szal i grające złote jabłko! – zawołał Beniamin wyskakując spod skrzydła gęsi. – Jesteście wolne! Jeśli chcecie pójść ze mną, to siadajcie także na gęś.

Obie królowe, bardzo ucieszone, umieściły się pod skrzydłami, a gęś wyskoczyła ze studni i poleciała nad lasy i góry aż do miejsca, gdzie był przywiązany koń Beniamina.

Beniamin pożegnał się z gęsią, wziął obie królowe na siodło i wrócił do ojca.

Król, ujrawszy swoją koronę, nie posiadał się z radości. Kazał synowi uklęknąć i włożył mu koronę na głowę.

– Jest twoja, zasługujesz na nią.

Beniamin poślubił jedną z dwóch królowych, tę piękniejszą, i oboje pędzili życie w szczęściu i radości.

*DALMACJA*

---

## PIERZASTY POTWÓR

**P**ewien Król zachorował. Lekarze mu rzekli:

– Najjaśniejszy panie, uleczyć cię może tylko pióro Pierzastego Potwora. Trudno to lekarstwo dostać, bo Potwór pożera każdego, kogo ujrzy.

Król odpowiedział to wszystkim, ale nikt nie chciał pójść po pióro.

Wreszcie zażądał tego od jednego z poddanych, człowieka bardzo wiernego i odważnego, a ten rzekł:

– Pójdę.

Puczono go, jak ma iść:

– Na szczycie góry jest siedem pieczar; w jednej z nich mieszka Potwór.

Człowiek poszedł i w drodze zaskoczyła go noc. Zatrzymał się w oberży, a gospodarz rzekł mu w rozmowie:

– A może i mnie przyniósłbyś jedno pióro, skoro mają taką moc?

– Dobrze, chętnie ci przyniosę – odpowiedział człowiek.

– A jak będziesz rozmawiał z Potworem, zapytaj go o moją córkę, bo zginęła kilka lat temu i nie wiem, gdzie się podziewa.

Rano człowiek poszedł dalej. Doszedł do rzeki, zawołał na przewoźnika i kazał się przewieźć. W łodzi zaczęli rozmawiać.

– Nie przyniósłbyś i mnie jednego pióra? – spytał przewoźnik. – Słyszałem, że przynoszą szczęście.

– Dobrze, przyniosę ci.

– A spytaj go też, dlaczego od tylu lat, odkąd tu jestem, nie mogę wyjść z łodzi.

– Spytam.

Wysiadł z łodzi i ruszył dalej. Usiadł przy źródle, by zjeść kawałek chleba. Nadeszli dwaj dobrze ubrani panowie i przysiedli się, by pogawędzić.

– A nie przyniósłbyś i nam jednego pióra? – spytali.

– Dlaczego nie!

– I mógłbyś także spytać Potwora o przyczynę pewnej rzeczy. W naszym ogrodzie było niegdyś źródło, które płynęło złotem i srebrem. A teraz wyschło.

– Dobrze, spytam na pewno.

Poszedł dalej i znów zapadła noc. Napotkał jakiś klasztor i zapukał. Bracia mu otworzyli, a on poprosił o nocleg.

– Wejść, prosimy.

Zaczął opowiadać braciom, gdzie i po co się wybrał. A bracia:

– Ale czy wiesz, jak się do tego zabrać?

– Powiedziano mi, że jest tam siedem pieczar. W głębi jednej z nich są drzwi. Pukam i jestem u Potwora.

– Ech, przyjacielu – rzekł przeor – jeśli nie wiesz, jak się do tego zabrać, to koniec z tobą. Z Potworem nie ma żartów. Zaraz ci wszystko powiem. My wyświadczymy przysługę tobie, a ty nam.

– Zgoda.

– Słuchaj więc. Kiedy wyjdiesz na górę, policz siedem pieczar: w siódmej mieszka Potwór. Do tej wejdiesz. W głębi tych pieczar jest tak ciemno, że nic nie widać o krok. Damy ci świecę i zapalki, żebyś mógł widzieć. Ale musisz tam pójść w samo południe, bo o tej porze nie ma Potwora. Będzie za to jego żona; to dobra dziewczyna, która ci wszystko powie. Bo jeśli od razu natkniesz się na Potwora, to cię pożre.

– Dobrze, żeś mi o tym wszystkim powiedział; nic z tego nie wiedziałem.

– Teraz ci powiem, o co masz go zapytać dla nas. Żyliśmy tu zgodnie nie wiedzieć ile czasu, ale od dziesięciu lat wciąż tylko się kłócimy. Ten chce tego, tamten owego, krzyk i zamieszanie. Co to może znaczyć?

Nazajutrz rano człowiek wyszedł na górę. O jedenastej był na szczycie; usiadł, by odpocząć. Kiedy wybiła dwunasta, zagłębił się w siódmą pieczarę; było ciemno choć oko wykol, ale zapalił świecę i zobaczył drzwi. Ledwo zapukał, otworzyła mu piękna dziewczyna.

– Kto jesteś? Kto cię tu przyprowadził? Chyba nie wiesz, kim jest mój mąż! Pożera każdego, kogo zobaczy.

– Przeszedłem po kilka jego piór. Skoro już tu jestem, spróbuję. Jeśli mnie pożre, to trudno.

– Posłuchaj, jestem tu już od wielu lat i naprawdę nie mogę dłużej wytrzymać. Jeśli weźmiesz się mądrze do rzeczy, uciekniemy oboje. Mój mąż nie może cię tu zobaczyć, boby cię pożarł, ale ukryję cię pod łóżkiem. Kiedy pójdzie spać, wyrwę mu pióra. Ile?

– Cztery – i opowiedział jej wszystko: o Królu, o oberżyscie, o przewoźniku, o dwóch panach, o zakonnikach i ich pytaniach.

Rozmawiając tak, zjedli obiad. Tymczasem zrobiło się późno. Dziewczyna zabrała się do przyrządzania strawy dla Potwora.

– Kiedy jest głodny, natychmiast czuje ludzką woń; kiedy sobie podje, już nie czuje. Inaczej źle by z tobą było!

O szóstej dał się słyszeć wielki hałas u drzwi i człowiek wśliznął się zwinnie pod łóżko. Wszedł Potwór i zaczął mówić:

*Nos mój nigdy mnie nie ludzi:*

*Czuję tutaj zapach ludzi.*

*Albo są tu, albo byli,*

*Albo gdzieś się tu ukryli.*

– Skądże znowu! – rzekła żona. – Z głodu maści ci się w głowie. Siadaj i jedz.



Potwór zabrał się do jedzenia, ale ciągle czuł ludzką woń, tak że zjadłszy kręcił się dalej po domu. W końcu nadeszła pora udania się do łóżka. Rozebrali się, legli pod przykryciem i Potwór zasnął.

Człowiek pod łóżkiem zamienił się w słuch.

– Uważaj – rzekła doń półgłosem kobieta. – Teraz udam, że mi się coś śni, i wyrwę mu pióro.

Wyrwała pióro i podała mu pod łóżko.

– Ojej! Co robisz? Wyrwałaś mi pióro! – wrzasnął Potwór.

– Och... Coś mi się śniło...

– Co ci się śniło?

– Ten klasztor na dole; śniło mi się, że od dziesięciu lat bracia są tacy źli, że nie potrafią już razem żyć.

– To wcale nie sen, to prawda – rzekł Potwór. – Ci bracia dlatego są tacy źli, że dziesięć lat temu wstąpił do klasztoru diabeł przebrany za księdza.

– A co trzeba zrobić, żeby go wypędzić?

– Trzeba, żeby prawdziwi bracia zaczęli spełniać dobre uczynki. Wtedy zobaczyliby, kto wśród nich jest diabłem.

I rzekłszy to, Potwór zasnął znowu.

W chwilę potem żona wyrwała mu drugie pióro i podała człowiekowi pod łóżkiem.

– Ach! Sprawiałaś mi taki ból!

– Miałam sen...

– Znowu! I co ci się śniło?

– Śniło mi się, że wyszło to źródło w ogrodzie dwóch panów, które tryskało złotem i srebrem. Co to może znaczyć?

– Masz dzisiaj same prawdziwe sny. Źródło jest zatkane i nie może wyrzucać złota i srebra. Trzeba by kopać w głąb źródła, ale ostrożnie; jest tam kula, a wokół kuli zwinięta uśpiona żmija. Trzeba by zmiażdżyć kulą

głowę żmii, zanim się spostrzeże, a wtedy źródło znów zacznie płynąć złotem i srebrem.

W chwilę potem znowu wyrwała mu jedno pióro.

– Ach! Postanowiłaś mnie dzisiaj oskubać!

– Cierpliwości! Miałam sen.

– Jaki znowu?

– Śniło mi się, że przewoźnik na rzece od wielu lat nie może wyjść z łodzi.

– Także i to jest prawdą. On nie wie, co powinien zrobić: kiedy podróżny wejdzie do łodzi i zapłaci, przewoźnik zamiast go wysadzić, powinien wysiąść pierwszy. W ten sposób w łodzi zostanie tamten, a on sobie pójdzie, dokąd zechce.

Żona wyrwała mu czwarte pióro.

– Co ty robisz, do kroćset?!

– Wybacz, ciągle mi się coś śni. Śnił mi się oberżysta, który od wielu lat czeka na zaginioną córkę.

– Znaczy to, że śnił ci się twój ojciec. Bo to ty jesteś córką tego oberżysty...

Rano o szóstej Potwór wstał, pożegnał się z żoną i poszedł. Wtedy człowiek wyszedł spod łóżka, z czterema piórami w zawiniątku, wziął dziewczynę pod rękę i uciekli oboje.

Po drodze wstąpili do klasztoru i powiedzieli braciom:

– Słuchajcie, Potwór powiedział, że jeden wśród was jest diabłem. Musicie spełniać dobre uczynki, to wtedy ucieknie.

Bracia zaczęli spełniać dobre uczynki, aż diabeł uciekł.

Zbiegowie wstąpili do ogrodu, dali pióro dwom panom i opowiedzieli im o żmii. I źródło zaczęło znowu płynąć złotem i srebrem.

Doszli do przewoźnika.

– Masz pióro!

– Dziękuję. A co powiedział o mnie?

– Teraz ci nie powiem. Dopiero jak nas przewieziesz.

Kiedy już wysiedli, powiedzieli mu, co ma zrobić.

Doszedłszy do oberży, człowiek krzyknął:

– Słuchaj, oberżysto, mam tu dla ciebie pióro i twoją córkę!

Oberżysta chciał dać mu ją zaraz za żonę.

– Poczekaj, aż zaniosę pióro Królowi i poproszę go o pozwolenie.

Zaniósł pióro Królowi, Król wyzdrowiał i dał mu nagrodę. Człowiek rzekł:

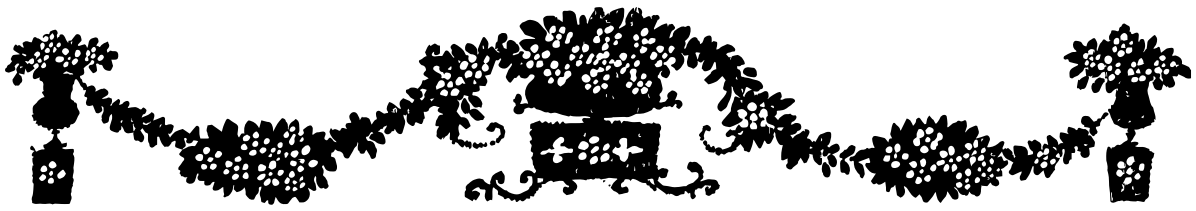
– Teraz, za pozwoleniem waszej królewskiej mości, pójdę na swoje wesele.

Król podwoił nagrodę i człowiek poszedł do oberży, ale Potwór spostrzegł już zniknięcie dziewczyny i właśnie biegł ją odebrać i wszystkich pożreć. Dobiegł do rzeki i wskoczył do łodzi.

– Zapłać za przejazd – rzekł przewoźnik.

Potwór zapłacił i nie spodziewając się, by przewoźnik znał tajemnicę, nie miał się na baczności: przewoźnik wyskoczył pierwszy na brzeg, a Potwór nie mógł już więcej wyjść z łodzi.

*GARFAGNANA (EMILIA)*



---

## PIĘKNOTKA I POTWÓR

**B**ył raz w Livorno kupiec, ojciec trzech córek, które nazywały się Assunta, Karolina i Pięknotka. Był bogaty i przyzwyczyił córki do tego, że niczego im nie brakowało. Wszystkie trzy były ładne, ale najmłodsza była taka piękna, że nazwano ją Pięknotką. A była nie tylko piękna, ale także dobra, skromna i rozumna, podczas gdy starsze siostry były pyszne, uparte i dokuczliwe, a prócz tego zawsze pełne zawiści.

Kiedy podrosły, najbogatsi kupcy w mieście przychodzili prosić o ich rękę, ale Assunta i Karolina odprawiały ich mówiąc z pogardą:

– Nigdy nie wyjdziemy za kupców.

Pięknotką natomiast odpowiadała uprzejmie:

– Nie mogę wyjść za mąż, bo jestem jeszcze za młoda. Pomówimy o tym, kiedy będę duża.

Ale powiadają: nikt nie może zwać się szczęśliwym, póki nie przeżyje życia do końca. Kupiec stracił okręt ze wszystkimi swoimi towarami i w krótkim czasie popadł w biedę. Z tylu dóbr, jakie posiadał, został mu tylko domek na wsi i jeśli chciał jakoś żyć, musiał udać się na wieś i uprawiać rolę jak chłop. Wyobraźcie sobie, jak musiały się krzywić starsze córki, kiedy usłyszały, że będą pędzić takie życie!

– Nie, ojciec – powiedziały – nie pojedziemy do winnicy, zostaniemy w mieście. Dzięki Bogu są jeszcze wielcy panowie, którzy zechcą nas wziąć za żony.

Ale szukaj tych panów! Kiedy się dowiedzieli, że pozostały bez grosza przy duszy, ulotnili się wszyscy. Powiadali nawet:

– Dobrze im tak! Będą miały nauczkę. Przestaną zadzierać nosa!

Ale jeśli radzi byli widzieć w nędzy Assuntę i Karolinę, to żal im było biednej Pięknotki, która nigdy na nikogo nie kręciła nosem. Dwóch czy trzech młodzieńców poszło nawet prosić o jej rękę, choćby i bez wiana. Ale ona nie chciała o tym słyszeć, bo postanowiła pomagać ojcu i nie mogła go teraz opuścić. I rzeczywiście wstawiała w winnicy wczesnym rankiem, wszystko w domu robiła, gotowała obiad dla ojca i sióstr. Siostry zaś wstawaly o dziesiątej i nawet palcem nie ruszały; wciąż nawet miały jej za złe – tej chamce, jak ją nazywały – że tak szybko przyzwyczała się do tego psiego życia.

Pewnego dnia przyszedł do ojca list z wiadomością, że jego statek, który miano za zaginiony, przyplłynął do Livorno z ocaloną częścią ładunku. Starsze siostry, myśląc już, że niebawem wrócą do miasta i skończy się bieda, prawie szalały z radości. Kupiec rzekł:

– Jadę teraz do Livorno i będę starał się odzyskać to, co mi się należy. Co mam wam przywieźć w darze?

Assunta powiada:

– Piękną jedwabną suknię koloru powietrza.

A Karolina:

– A mnie koloru brzoskwini.

Pięknotka zaś siedziała cicho i nie prosiła o nic. Ojciec musiał spytać ją ponownie, a ona odpowiedziała:

– To nie pora na robienie tylu wydatków. Przywieź mi jedną różę, a będę zadowolona.

Siostry zaczęły z niej drwić, ale ona na to nie zważała.

Ojciec pojechał do Livorno, ale kiedy miał odebrać swoje towary, stawili się inni kupcy i zaczęli mu dowodzić, że jest u nich zadłużony, zatem rzeczy te do niego nie należą. Po wielu targach biedak musiał odejść z niczym. Ale nie chciał zrobić córkom zawodu i za trochę pieniędzy, jakie

jeszcze miał, kupił suknię koloru powietrza dla Assunty i suknię koloru brzoskwini dla Karoliny. Nie zostało mu potem ani grosza i pomyślał, że i tak róża dla Pięknotki to taki drobiazg, iż niczego to nie zmieni, czy ją kupi, czy nie.

Ruszył więc do swojej winnicy. W drodze zaskoczyła go noc: zagłębił się w las i zgubił drogę. Padał śnieg, dął wiatr – rozpacz! Kupiec schronił się pod drzewem, spodziewając się, że lada chwila rozszarpia go wilki, których wycie słyszał już zewsząd. Rozglądając się wokoło, spostrzegł w dali światło. Zbliżył się i ujrzał piękny, oświetlony pałac. Wszedł do środka. Nie było żywego ducha; zagląda tu, zagląda tam – nie ma nikogo. Na jednym z kominków płonął ogień. Kupiec, przemoczony do nitki, zagrzał się myśląc przy tym: „Teraz ktoś się zjawi”. Czeka, czeka, nikt nie nadchodzi. Spostrzegł stół zastawiony wszelakim jadłem i zabrał się do jedzenia. Potem wziął lampę, przeszedł do komnaty, gdzie stało piękne, dobrze posłane łóżko, rozebrał się, położył i zasnął.

Zbudziwszy się rano, osłupiał: na krześle koło łóżka leżało nowiutkie ubranie. Ubrał się, zszedł ze schodów i udał się do ogrodu. Na środku klombu rósł przepiękny, rozkwitły krzak różany. Kupiec przypomniał sobie o życzeniu Pięknotki i pomyślał, że teraz może uczynić mu zadość. Wybrał różę, która wydała mu się najpiękniejsza, i zerwał ją. W tej chwili zza krzaka rozległ się ryk i spośród róż wychynął Potwór, taki brzydki, że na sam jego widok robiło się słabo. Ryknął:

– Jak śmiesz kraść mi różę, skoro przyjąłem cię w dom, nakarmiłem i odziałem?! Zapłacisz za to życiem!



Biedny kupiec rzucił się na kolana i powiedział Potworowi, że kwiat przeznaczony jest dla jego córki Pięknotki, która pragnęła dostać w darze tylko jedną różę. Potwór, wysłuchawszy opowiadania, udobruchał się i rzekł:

– Skoro masz taką córkę, to przyprowadź mi ją tutaj, chcę ją mieć u siebie, a będzie jej tutaj jak królowej. Ale jeśli mi jej nie przyslesz, to będę



prześladował ciebie i twoją rodzinę wszędzie, gdziekolwiek się znajdziecie.

Biedak, pólżywy ze strachu, przyrzekł chętnie, byle tylko móc jak najprędzej odejść, ale Potwór zaprowadził go z powrotem do pałacu, kazał mu wybrać klejnoty i brokaty, jakie tylko mu się spodobały, napełnił nimi skrzynię i obiecał, że sam się zatroszczy, by wysłać mu ją do domu.

Kiedy kupiec wrócił do swojej winnicy, córki wybiegły naprzeciw niego: dwie starsze, nadąsane, upominały się o podarki, tylko Pięknotka była ucieszona i czuła. Kupiec dał jedną suknię Assuncie, drugą Karolinie, potem spojrzał na Pięknotkę, podając jej różę wybuchnął płaczem i opowiedział ze szczegółami o swoim nieszczęściu.

Starsze siostry zaczęły zaraz mówić:

– A widzisz! A mówiłyśmy! Skoro ktoś ma takie dziwne pomysły! Różę jej się zachciało! Różę! Odpokutujemy teraz za to wszyscy.

Ale Pięknotka rzekła ojcu nie stropiona:

– Więc Potwór powiedział, że jak do niego pójde, to nic nam nie zrobi? No to pójde do niego, bo lepiej, żebym się poświęciła, niż żebyśmy wszyscy mieli cierpieć.

Ojciec odpowiedział, że nigdy, przenigdy jej do Potwora nie zaprowadzi, a także siostry – ale czyniły to nieszczerze – mówiły jej, że chyba rozum straciła. Pięknotka jednak nie słuchała już niczego: uparła się i powiedziała, że pójdzie.

Nazajutrz więc ojciec i córka ruszyli o świcie w drogę. Przedtem jednak ojciec, wstając, znalazł u nóg łóżka skrzynię ze skarbami, które wybrał w pałacu Potwora. Nie mówiąc nic starszym córkom, ukrył ją pod łóżkiem.

Wieczorem przyszedli do pałacu Potwora i zastali go rzeświście oświetlonym. Weszli po schodach: na pierwszym piętrze stał stół zastawiony potrawami, nakryty na dwoje. Nie byli bardzo głodni, ale usiedli, by skubnąć coś niecoś. Kiedy skończyli jeść, dał się słyszeć głośny ryk i zjawił się Potwór. Pięknotce głos zamarł w gardle: nie wyobrażała sobie, że może być aż taki

brzydki. Ale potem, powoli, nabrała odwagi i gdy Potwór zapytał, czy przysłała z własnej woli, odpowiedziała śmiało, że tak.

Potwór wydawał się bardzo zadowolony. Zwrócił się do ojca, dał mu kufer pełen złotych pieniędzy i kazał mu opuścić natychmiast pałac i więcej się tu nie pokazywać: on, Potwór, będzie myślał o wszystkim, czego potrzeba jego rodzinie. Biedny ojciec z ciężkim sercem ucałował córkę po raz ostatni i wrócił do domu, płacząc tak, że nawet kamień by się wzruszył.

Piękno tka, kiedy pozostała sama (Potwór powiedział jej dobranoc i natychmiast sobie poszedł), rozebrała się, położyła do łóżka i zasnęła spokojnie, zadowolona, że spełniła dobry uczynek i ocaliła ojca od Bóg wie jakich nieszczęść.

Rano wstała pogodna i ufna i zapragnęła zwiedzić pałac. Nad drzwiami jej komnaty było napisane: „Komnata Pięknotki”. Nad drzwiami szafy: „Garderoba Pięknotki”. Na każdej z pięknych sukien było wyhaftowane: „Suknia Pięknotki”. A wszędzie były tabliczki, które głosiły:

„KRÓLOWĄ TUTAJ JEST PIĘKNOTKA,  
CZEGO ZAPRAGNIE, BĘDZIE MIEĆ”.

Wieczorem, kiedy Pięknotka zasiadła do wieczerzy, dał się słyszeć zwykły ryk i zjawił się Potwór.

– Pozwolisz – spytał – bym ci towarzyszył przy jedzeniu?

Pięknotka odpowiedziała grzecznie:

– Jesteś tutaj panem.

Ale on zaprzeczył:

– Nie, panią tutaj jesteś ty. Cały pałac i wszystko, co w nim jest, należy do ciebie. Zamilkł na chwilę, jakby w zamyśleniu, potem zapytał:

– Czy to prawda, że jestem taki brzydki?

A Pięknotka:

– Że brzydki, to brzydki, ale masz takie dobre serce, że wydajesz się prawie piękny.

A on na to zaraz:

– Pięknotko, chciałabyś wyjść za mnie?

Pięknotka zadrżała od stóp do głów i nie wiedziała, co odpowiedzieć. Myślała sobie: „Bóg jeden wie, jak to przyjmie, kiedy mu powiem, że nie!” Potem zebrała odwagę i odpowiedziała:

– Jeśli mam ci powiedzieć prawdę, to nie mam ochoty wyjść za ciebie.

Potwór nic na to nie odrzekł, tylko powiedział jej dobranoc i odszedł wzdychając.

Pięknotka mieszkała w pałacu już trzy miesiące i co wieczór Potwór przychodził pytać ją o to samo, czy chce wyjść za niego, a potem odchodził wzdychając. Pięknotka tak do tego przywykła, że gdyby go któregoś wieczoru nie ujrzała, sprawiłoby jej to przykrość.

Pięknotka codziennie przechadzała się po ogrodzie, a Potwór wyjaśniał jej właściwości roślin. Rosło tam drzewo o gęstych liściach, które było drzewem płaczu i śmiechu.

– Kiedy liście sterczą do góry – powiedział jej Potwór – u ciebie w domu się śmieją; kiedy zwisają w dół, wtedy w twoim domu płaczą.

Pewnego dnia Pięknotka ujrzała, że na drzewie płaczu i śmiechu wszystkie liście zwrócone są w górę. Spytała Potwora:

– Dlaczego ono się tak nastroszyło?

A Potwór:

– Twoja siostra Assunta wychodzi za mąż.

– Czy nie mogłabym pojechać na wesele? – spytała Pięknotka.

– Jedź – powiedział Potwór – ale wróć, nim minie tydzień, inaczej zastaniesz mnie nieżywego. Daję ci ten pierścień: kiedy kamień zmętnieje, będzie to znaczyć, że jestem chory i że musisz do mnie zaraz przyjechać. Tymczasem zabierz z pałacu, co ci się podoba na podarek ślubny, i wieczorem włóż wszystko do kufra koło łóżka.

Pięknotka podziękowała, wzięła kufer i napełniła go jedwabnymi sukniami, cienką bielizną, klejnotami i złotymi pieniędzmi. Postawiła go koło łóżka i poszła spać, a rano obudziła się w domu ojca z kufrem i wszystkim, co w nim było. Powitano ją z wielką radością, także siostry, ale gdy dowiedziały się, jaka jest zadowolona i szczęśliwa i jaki dobry jest Potwór, zaczęła znowu gryźć je zazdrość, bo chociaż dzięki podarkom Potwora nic im nie brakowało, to jednak życia, jakie pędziły, nie można było nazwać dostatnim, a Assunta wychodziła za prostego drwala. By dokuczyć Pięknotce, wyłudziły od niej pierścień pod pozorem, że chcą go trochę ponosić na palcu, i ukryły go. Pięknotka zaczęła rozpaczać, bo nie mogła widzieć kamienia, a kiedy nadszedł siódmy dzień, tak płakała i prosiła, że ojciec nakazał siostrze oddać jej zaraz pierścień. Gdy tylko wzięła go do ręki, spostrzegła, że kamień nie jest już taki przejrzysty jak przedtem, i natychmiast pojechała do pałacu.

W porze obiadowej Potwór się nie zjawił, a zaniepokojona Pięknotka wszędzie go szukała i wołała. Przyszedł dopiero na wieczerzę z trochę cierpiącą miną. Rzekł:

– Czy wiesz, że byłem chory i że gdybyś jeszcze trochę zwlekała z przyjazdem, to nie zastałabyś mnie przy życiu? Czy wcale mnie już nie lubisz?

– Owszem, lubię cię – odpowiedziała.

– I wyszłabyś za mnie?

– Ach, co to, to nie! – krzyknęła Pięknotka.

Minęły znowu dwa miesiące i liście na drzewie płaczu i śmiechu podniosły się po raz drugi, bo wychodziła za mąż Karolina. Także tym razem Pięknotka pojechała do domu z pierścieniem i kufrem pełnym rzeczy. Siostry przywitały ją fałszywym uśmiechem, a Assunta zrobiła się jeszcze gorsza, bo jej mąż, drwal, okładał ją codziennie kijem. Pięknotka opowiedziała siostrze, na co się naraziła, gdy za pierwszym razem musiała

zabawić zbyt długo, i powiedziała im, że tym razem nie może się zatrzymać. Ale siostry znowu wykradły jej pierścień, a kiedy go oddały, kamień całkiem zmętniał. Wróciła przejęta strachem, a Potwór nie pokazał się ani na obiedzie, ani na wieczerzy. Zjawił się dopiero na drugi dzień rano, z obolałą miną, i rzekł:

– Byłem już umierający. Jeśli następnym razem spóźnisz się, będzie ze mną koniec.

Minęło znowu kilka miesięcy. Któregoś dnia wszystkie liście na drzewie płaczu i śmiechu zwisły jak uwiędłe.

– Co się dzieje w domu?! – krzyknęła Pięknotka.

– Twój ojciec umiera – rzekł Potwór.

– Ach, pozwól mi go odwiedzić! – zawołała Pięknotka. – Obiecuję ci, że tym razem wrócę na czas.

Biednemu kupcowi, kiedy zobaczył u wezglowia najmłodszą córkę, z radości zrobiło się lepiej. Pięknotka nie odstępowała go ni w dzień, ni w nocy, ale myjąc sobie raz ręce położyła pierścień na stoliku i więcej go nie znalazła. Zrozpaczona, szukała wszędzie, błagała siostry, a kiedy go odnalazła, kamień był czarny z wyjątkiem jednego kącika.

Kiedy wróciła, pałac był bez świateł, ciemny, jak gdyby nie zamieszkanym od stu lat. Zaczęła z płaczem wołać Potwora, ale nikt jej nie odpowiadał. Szukała go wszędzie, biegała zrozpaczona po ogrodzie, aż znalazła go leżącego pod krzakiem różanym, rzeżącego wśród cierni. Uklękła przy nim, usłyszała, że serce jeszcze bije, ale słabo. Przypadła do niego, całując go i płacząc, i mówiła:

– Potworze, Potworze, jeśli umrzesz, nie będzie już dla mnie szczęścia na ziemi! Ach, gdybyś żył, gdybyś żył jeszcze, wyszłabym za ciebie zaraz, by cię uszczęśliwić!

Nie skończyła jeszcze mówić, kiedy naraz pałac rozjarzył się światłami, a ze wszystkich okien rozbrzmiał śpiew i muzyka. Pięknotka odwróciła

głowę oszołomiona, a kiedy znowu spojrzała na krzak róży, Potwora nie było, a na jego miejscu zobaczyła pięknego młodzieńca, który podniósł się spośród róż, skłonił się jej i rzeki:

– Dziękuję ci, Pięknotko, wyzwoliłaś mnie.

A Pięknotka, zdumiona:

– Ale ja chcę Potwora – powiedziała.

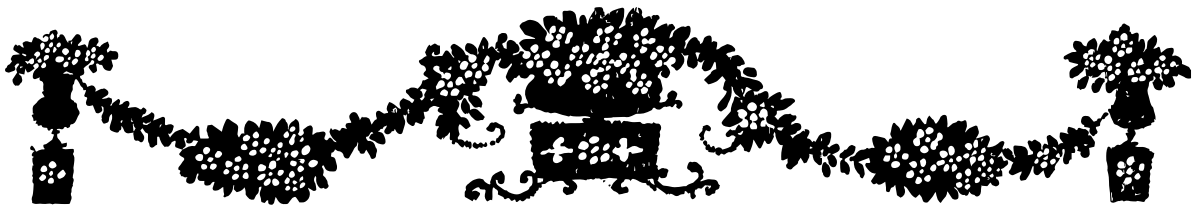
Młodzieniec rzucił się przed nią na kolana i rzekł:

– To właśnie ja byłem Potworem. Przez czary musiałem być Potworem tak długo, póki jakaś piękna dziewczyna nie obieca mi, że wyjdzie za mnie mimo mojej brzydoty.

Pięknotka podała rękę młodzieńcowi, który był Królem, i poszli razem do pałacu. Na progu stał ojciec Pięknotki i obie siostry. Ojciec uściskał ją, a siostry z zazdrości zamieniły się w dwa posągi i pozostały jedna z jednej, a druga z drugiej strony drzwi.

Młody Król poślubił Pięknotkę i uczynił ją Królową. I odtąd żyli i panowali w szczęściu i radości.

*MONTALE (TOSKANIA)*



---

## PAŁAC MAŁP

**B**ył raz Król, który miał dwóch synów bliźniaków: Giovanniego i Antonia. Ponieważ nie było dobrze wiadomo, który urodził się pierwszy, i sądy o tym były na dworze sprzeczne, Król nie wiedział, któremu przeznaczyć po sobie następstwo. I rzekł:

– Aby żadnemu z was nie stała się krzywda, idźcie w świat szukać żony, a która da mi piękniejszy i osobliwszy podarek, tej mąż odziedziczy królestwo.

Bliźniacy siedli na koń i ruszyli w świat jeden jedną drogą, drugi drugą.

Po dwóch dniach Giovanni dojechał do jakiegoś wielkiego miasta. Poznał tam córkę pewnego margrabiego i opowiedział jej o sprawie z podarkami. Margrabianka dała mu zapieczętowane puzdro, by zawiózł je Królowi, i wyprawili zrzekowiny. Król puzdra nie otwierał, czekając na podarek od żony Antonia.

Antonio jechał i jechał, nie napotykając żadnego miasta. Był ciągle w gęstym, bezdrożnym lesie, który zdawał się nie mieć końca, i musiał torować sobie drogę rąbiąc mieczem gałęzie, kiedy naraz rozpostarła się przed nim polana, a w głębi polany był pałac cały z marmuru, z błyszczącymi szybami.

Antonio zapukał, i któż otworzył mu drzwi? Małpa! Była to małpa w liberii majordoma; skłoniła mu się i ruchem ręki zaprosiła go, by wszedł. Dwie inne małpy pomogły mu zsiąść z konia, wzięły konia za uzdę i zaprowadziły go do stajni. Antonio poszedł po marmurowych, wysłanych dywanami schodach, a na balustradzie siedziało mnóstwo przykucniętych



małp, które kłaniały mu się w milczeniu. Antonio wszedł do sali, gdzie był stolik przygotowany do gry w karty. Jedna z małp zaprosiła go, żeby usiadł, dwie inne usiadły po bokach i Antonio zaczął grać z małpami. W pewnej chwili małpy zapytały go na migi, czy nie zechciałby czegoś zjeść. Zaprowadziły go do jadalni, gdzie przy suto zastawionym stole usługiwały małpy w fartuszkach, a biesiadnikami były same małpy w kapeluszach z piórami. Potem odprowadziły go z pochodniami do sypialni i zostawiły samego.

Antonio, aczkolwiek zaniepokojony i zdziwiony, był taki zmęczony, że zasnął. Ale gdy spał w najlepsze, zbudził go jakiś głos wołający w ciemności:

– Antonio!

– Kto mnie woła? – spytał Antonio kuląc się w łóżku.

– Antonio, czego szukałeś przychodząc aż tutaj?

– Szukałem żony, która by dała Królowi podarek piękniejszy niż żona Giovanniego, tak żeby mnie się dostała korona.

– Jeśli zgodzisz się mnie poślubić – rzekł głos w ciemności – będziesz miał piękniejszy podarek i koronę.

– No to pobierzmy się – rzekł Antonio słabym głosem.

– Dobrze. Wyślij jutro list do ojca.

Nazajutrz Antonio napisał do ojca list, że ma się dobrze i że wróci z żoną. Dał go małpie, która skacząc z drzewa na drzewo dotarła do królewskiego miasta. Król, chociaż zdumiony niezwykłym posłańcem, bardzo ucieszył się dobrymi wiadomościami i zaprosił małpę w gościnę do pałacu.

Następnego dnia Antonia znowu zbudził głos w ciemności:

– Antonio! Czy ciągle trwasz przy swoim postanowieniu?

A on:

– Pewnie, że trwam.

A głos:

– Dobrze! Wyślij jutro drugi list do ojca.

I nazajutrz Antonio znowu napisał do ojca list, że ma się dobrze, i wysłał list przez małpę. Król także i tę małpę zatrzymał w pałacu.

I tak co nocy głos pytał Antonia, czy nie zmienił postanowienia, i kazał mu pisać do ojca. I codziennie jedna małpa ruszała z listem do Króla. Działo się tak przez cały miesiąc i królewskie miasto było już pełne małp: małpy na drzewach, małpy na dachach, małpy na gzymsach. Szewcy wbijali ćwieki mając na ramieniu małpę, która ich przedrzeźniała, chirurdzy operowali pośród małp, które porywały im noże i nici do zszywania chorych, panie przechadzały się z małpą siedzącą na parasolce.

Król nie wiedział już, co ma robić.

Wreszcie, kiedy minął miesiąc, głos w ciemności rzekł:

– Jutro pojedziemy do Króla i weźmiemy ślub.

Kiedy Antonio zszedł rano na dół, przed drzwiami stała piękna karetka z małpą na koźle i dwoma małpimi lokajami uczepionymi z tyłu. A w środku karety, na aksamitnych poduszkach, w klejnotach, z wielkim przybraniem głowy ze strusich piór, kto siedział? Małpa. Antonio usiadł koło niej i karetka ruszyła.

Kiedy przyjechali do królewskiego miasta, ludzie utworzyli szpaler po obu stronach tej nigdy nie widzianej karety stali stropieni i zdziwieni, widząc księcia Antonia, który wziął sobie małpę za żonę. I wszyscy patrzyli na Króla, który oczekiwał syna na schodach pałacu, by zobaczyć, jaką będzie miał minę. Ale Król nie na darmo był Królem: ani mrugnął, jak gdyby poślubienie małpy było najzwyklejszą rzeczą na świecie. Powiedział tylko:

– Wybrał ją sobie, musi ją poślubić. Słowo królewskie to słowo królewskie.

I wziął z rąk małpy puzdro zapieczętowane podobnie jak puzdro żony Giovanniego. Puzdra miały zostać otwarte nazajutrz, w dzień zaślubin.

Małpę odprowadzono do jej komnaty i pozostawiono na jej życzenie samą.

Nazajutrz Antonio poszedł po oblubienicę. Kiedy wszedł, małpa przymierzała przed lustrem ślubną suknię. Powiedziała:

– Zobacz, czy ci się podobam.

I mówiąc to odwróciła się.

Antonio oniemiał: małpa, odwracając się, zamieniła się w piękną, jasnowłosą, wysoką, hożą dziewczynę, aż przyjemność było na nią patrzeć. Przetarł sobie oczy, nie mogąc w to uwierzyć, ale małpa rzekła:

– Tak, to ja, twoja oblubienica.

I rzucili się sobie w ramiona.

Przed pałacem był tłum ludzi, którzy przyszli zobaczyć księcia Antonia żeniącego się z małpą, ale kiedy ujrzeli, że wychodzi z taką piękną dziewczyną u boku, otworzyli szeroko usta. Dalej wzdłuż ulicy utworzyły szpaler wszystkie małpy, na gałęziach, dachach i gzymsach. Kiedy królewska para przechodziła, każda małpa obracała się w miejscu, i w tym obrocie wszystkie się przemieniały: ta w damę w płaszczu z trenem, tamta w kawalera w kapeluszu z piórami i ze szpadą przy boku, ta znów w zakonnika, ta w chłopca, tamta w pазia. I wszyscy utworzyli orszak za idącą do ślubu parą.

Król otworzył puzdra z podarkami. Otworzył puzdro żony Giovanniego: był tam w środku żywy, fruujący ptaszek, dziw, że mógł tam być zamknięty przez cały ten czas; ptaszek trzymał w dzióbku orzech, a w orzechu był płatek złota.

Otworzył puzdro żony Antonia: tam także był żywy ptaszek, a trzymał w dzióbku jaszczurkę – nie wiadomo, skąd się tam wzięła – a jaszczurka trzymała w pyszczku orzech laskowy – nie wiadomo, jak się tam dostał – a kiedy rozłupano orzech, było tam sto łokci pięknie złożonego haftowanego tiulu.

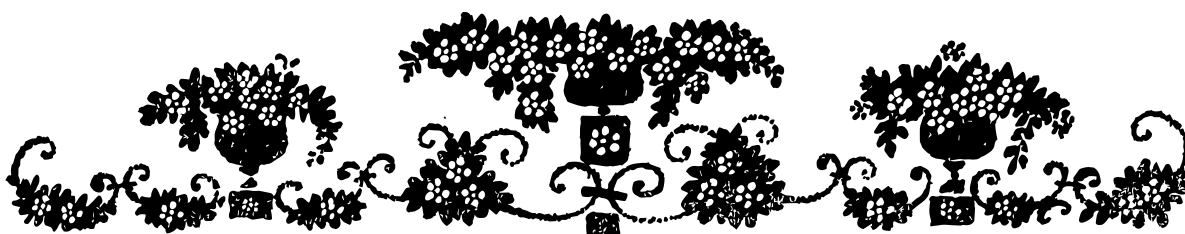
Król miał już ogłosić Antonia swoim następcą i Giovanniemu twarz już spochmurniała, ale żona Antonia rzekła:

– Antonio nie potrzebuje ojcowskiego królestwa, bo ma już królestwo, które wnoszę mu w wianie: poślubiając mnie wyzwolił je z zaklęcia, które zmieniło nas wszystkich w małpy!

I cały szczerp małp, który wrócił do ludzkiej postaci, obwołał Antonia swoim królem. Giovanni odziedziczył ojcowskie królestwo i obaj bracia żyli w pokoju i zgodzie.

*Obaj długo królowali,  
A mnie nic nie darowali.*

*MONTALE (TOSKANIA)*



---

## ALAMAŃSKIE WINOGRONA

**B**ył raz Król, który miał córkę, bardzo piękną jedynaczkę, na wydaniu. Król z sąsiedztwa miał trzech młodych synów i wszyscy trzech zakochali się w Królownie. Ojciec Królowny rzekł:

– Dla mnie wszyscy trzech jesteście tyle samo warci i żadnemu nie mogę dać pierwszeństwa. Ale nie chcę, żeby powstały między wami waśnie. Zróbcie tak: jedźcie w świat, a tego, który za pół roku wróci z najpiękniejszym podarkiem, wybiorę na zięcia.

Bracia pojechali i na rozstaju, gdzie gościniec dzielił się na trzy drogi, każdy ruszył w inną stronę.

Najstarszy brat szukał trzy miesiące, cztery, pięć, a jeszcze nie znalazł nic, co godne byłoby ofiarowania. Pewnego ranka w szóstym miesiącu, będąc w dalekim mieście, usłyszał pod oknem zajazdu głos:

– Kobierce! Piękne kobierce!

Zbliżył się, a kobiernik spytał go:

– Czy chcesz kupić piękny kobierzec?

Królewicz odpowiedział:

– Co mi po kobiercu! W moim pałacu jest pełno kobierców nawet w kuchni.

A kobiernik:

– Ale na pewno nie ma kobierca, który miałby taką moc, co ten.

– Jakaż to moc?

– To taki kobierzec – odpowiedział kobiernik – że kiedy postawisz na nim nogę, robi sto mil na dzień.

Królewicz pstryknął głośno w palce.

– Oto podarek, jakiego mi trzeba! Ile chcesz za niego?

– Równo sto skudów, ani jednego mniej, ani jednego więcej – odpowiedział kobiernik.

– Zgoda – rzekł Królewicz i wyliczył mu sto skudów.

Ledwo stanął na kobiercu, kobierzec poleciał nad góry i doliny i dotarł do gospody, gdzie umówił się na spotkanie z braćmi po upływie pół roku. Braci jeszcze nie było.

Także średni brat aż do ostatnich dni przebiegał świat we wszystkich kierunkach, nie znajdując podarku, który by mu się nadal. Aż spotkał wędrownego przekupnia, który krzyczał:

– Lornetki! Doskonałe lornetki! Młody panie, nie trzeba ci może lornetki?

– A mnie ona po co? – odpowiedział Królewicz. – U mnie w domu pełno jest lornetek, wszystkie najlepszej marki.

– Chcesz się założyć, żeś nigdy nie widział lornetek o takiej właściwości, jak te? – spytał przekupień.

– Jakaż to właściwość?

– Przez te lornetki możesz widzieć na odległość nawet stu mil, i to nie tylko przez wolną przestrzeń, ale i przez ściany.

Królewicz wykrzyknął:

– A więc to właśnie jest to, czego mi potrzeba! Ile kosztuje?

– Równo sto skudów.

– Masz sto skudów, daj mi jedną z tych lornetek.

I otrzymawszy lornetkę, wrócił zaraz do gospody. Zastał tam starszego brata i razem czekali na młodszego.

Najmłodszy jeszcze do przedostatniego dnia półrocza nie znalazł podarku i zwątpił już, by go znaleźć zdołał, kiedy w drodze powrotnej spotkał przekupnia owoców, który krzyczał:

– Alamańskie winogrona! Komu dać? Kupujcie alamańskie winogrona!

Królewicz, który nigdy nie słyszał o alamańskich winogronach, bo w jego stronach ich nie uprawiano, spytał:

– Co to za winogrona, które sprzedajesz?

– Nazywają się alamańskie – odpowiedział przekupień. – To najwyborniejsze winogrona ze wszystkich, a te mają nadto szczególną właściwość.

– Na czym ta właściwość polega?

– Kiedy się włoży jedną jagodę do ust umierającemu, natychmiast wraca do zdrowia.

– Nie może być! – zawołał Królewicz. – Kiedy tak, to zaraz je kupuję. Ile za nie chcesz?

– Sprzedaję je po jednej jagodzie. Tobie sprzedam jedną jagodę za równe sto skudów.

Królewicz miał w kieszeni trzysta skudów i mógł kupić tylko trzy jagody. Owinął je dobrze w bawełnę, włożył do pudełka i ruszył do braci.

Kiedy wszyscy trzej znaleźli się w gospodzie, zaczęli pytać się wzajem, co kupili.

– Ja? Och, nic takiego, kobierczyk... – rzekł najstarszy.

– A ja lornetkę... – rzekł średni.

– Trochę owoców, nic więcej – rzekł najmłodszy.

– Ciekaw jestem, co słyhać u nas w domu? I w pałacu Królowej? – rzekł jeden.

A średni, tak sobie, jakby nigdy nic, skierował lornetkę ku stolicy ojcowskiego królestwa. Wszystko było jak zwykle. Potem skierował lornetkę ku ościennemu królestwu, gdzie był pałac ich ukochanej, i krzyknął.

– Co się stało? – spytali go bracia.

– Wiecie, co widzę? – rzekł brat. – W pałacu naszej ukochanej pełno powozów, ludzie płaczą i wrywają sobie włosy z głowy. A w środku... w

środku widzę lekarza, księdza ze stulą przy wezłowiu łóżka... tak, łóżka Królowny, która leży blada jak trup. Prędko, bracia, biegnijmy, jeśli chcemy przybyć jeszcze na czas... Umiera!

– Co robić? To przeszło pięćdziesiąt mil!

– Nie bójcie się – rzekł najstarszy brat – przybędziemy na czas. Prędko: stawajcie wszyscy na mój kobierzec.

I kobierzec poleciał aż do komnaty Królowny, wleciał przez okno i położył się przed łóżkiem jak pierwszy lepszy kobierczyk, razem z trzema braćmi.

Najmłodszy brat wyjął już z bawełny trzy alamańskie jagody i włożył jedną Królownie do bladych ust. Królowna połknęła ją i zaraz otworzyła oczy, a Królewicz natychmiast włożył jej do ust drugą jagodę i usta nagle zabarwiły się. Dał jej jeszcze trzecią jagodę, a Królowna odetchnęła i wyciągnęła ramiona: była uleczona. Podniosła się na łóżku i zażądała od służebnic, by podały jej najpiękniejsze suknie.

Pośród ogólnej radości najmłodszy brat rzekł:

– Zatem moje jest zwycięstwo i Królowna jest moją narzeczoną. Gdyby nie moje alamańskie winogrona, już by teraz nie żyła.

– Nie, bracie – sprzeciwił się średni brat. – Gdybym nie miał lornetki i nie powiedział wam, że Królowna umiera, twoje jagody na nic by się nie zdały. Dlatego ja poślubię Królownę.

– Przykro mi, bracie – wdał się najstarszy – ale Królowna jest moja i nikt nie może mi jej odebrać. Wasze racje są niczym wobec mojego kobierca, bo tylko mój kobierzec mógł sprawić, żebyśmy tu przybyli na czas, a nie wasza lornetka czy wasze alamańskie jagody.

Tak więc spór, którego Król chciał uniknąć, wybuchnął jeszcze gwałtowniej niż przedtem, i Król, by położyć mu kres, postanowił wydać córkę za czwartego zalotnika, który przyszedł z próżnymi rękoma.

*MONTALE (TOSKANIA)*





---

## KROWIA GŁOWA

**P**ewien chłop, kopiąc w polu zaciekle swoją nędzną ziemię, uderzył motyką w coś twardego. Odgarnął ostrożnie ziemię po bokach i ukazała się krowia głowa, dwakroć większa niż zwykły krowi łeb, z prostymi rogami, lśniącą sierścią i otwartymi ślepiami; wydawała się żywa. I nie tylko się wydawała: kiedy chłop na ten brzydki widok zamierzył się, by rąbnąć ją motyką, głowa przemówiła:

– Wstrzymaj się, nie zabijaj mnie. Dam szczęśliwą dolę jednej z twoich córek. Odłóż mnie na bok.

Chłop, węsząc tu czary, ujął ostrożnie głowę, położył ją na skraju pola i przykrył kurtką. A kiedy najstarsza córka przyniosła mu placek na śniadanie, rzekł jej:

– Zobacz, co tam jest pod moją kurtką.

Dziewczyna podniosła kurtkę i wrzasnęła:

– Ach! Jaki brzydki potwór!

I uciekła do domu, ciągle wrzeszcząc.

Matka, widząc ją taką przerażoną, pomyślała, że coś się stało jej chłopu, i rzekła do średniej córki:

– Idź ty do ojca i zobacz, czy mu czegoś nie trzeba.

Jej także chłop kazał zajrzeć pod kurtkę, i ona także uciekła co sił w nogach, krzycząc:

– Ach! Jaka straszna morda!

Wtedy matka zawołała najmłodszą, która była także najbystrzejsza i najodważniejsza, i posłała ją w pole.

Dziewczyna, kiedy ojciec powiedział jej, by podniosła kurtkę, usłuchała i zaczęła się uśmiechać i głaskać krowią głowę.

– Ach! Jaka śliczna główka! Jakie śliczne rożki! Jakie śliczne wąsiki! Ojczy, gdzie znalazłeś tę śliczną krowią głowę?

Krowia głowa na te pieszczoty uniosła pysk w górę, pomrukując z zadowolenia, i spytała:

– Czy chciałabyś zamieszkać ze mną, śliczna dziecino?

A dziewczyna:

– Jeśli ojciec pozwoli, to zaraz pójdę z tobą.

Chłop nie potrafił odmówić. Krowia głowa zaczęła iść, robiąc koziołki na rogach, a dziewczyna szła za nią, skacząc i klaszcząc w ręce.

W środku lasu były na łące spuszczone drzwi. Krowia głowa otworzyła je rogiem i zeszła w dół, podskakując. Z głębi dziewczyna usłyszała jej głos:

– Zdejmij trepki i zejź także. Schodź ostrożnie, bo stopnie są ze szkła.

Dziewczyna zeszła po szklanych schodach i znalazła się w książęcej komnacie; krowia głowa siedziała na fotelu.

W tym podziemnym domu dziewczyna czuła się bardzo dobrze. Krowia głowa zaprawiała ją do wszelakich robót, uczyła utrzymywać czystość w pokojach, gotować, prasować, lepiej niż prawdziwa matka; a uczennica robiła postępy we wszystkim, także w czytaniu i pisaniu, i rosła w oczach, tak że rychło zrobiła się z niej bardzo piękna dziewczyna, i tak się przywiązała do krowiej głowy, że nazywała ją „mamą”.

Po kilku latach spędzonych w tej jaskini, dziewczyna zaczęła prosić:

– Mamo, puść mnie na chwilę na łąkę, żebym zaczerpnęła trochę powietrza.

Krowia głowa zdawała się nierada, ale kiedy dziewczyna nalegała, dała jej srebrną suknię i krzeselko i pozwoliła jej usiąść na łące i robić pończochę.

Kiedy tak robiła pończochę na środku łąki, nadszedł zbłąkany myśliwy i ujrzał ją. Był to syn Króla tego kraju. Zaczął z nią rozmawiać i wystarczyła mu mała chwila, by się w niej zakochać.

– Śliczna dziewczyno – rzekł do niej – bardzo mi się podobasz i jeśli się nie sprzeciwisz, to się z tobą ożenię.

Dziewczyna odpowiedziała:

– Co do mnie, nie sprzeciwiam się, ale wpierw chcę poradzić się mamy.

Oddaliła się i zeszła po szklanych schodach do jaskini.

Krowia głowa nie sprzeciwiła się.

– Czyń, jak ci się podoba, i skoro chcesz mnie opuścić, to mnie opuść. Pamiętaj tylko, żebyś nie okazała się niewdzięczną. Wszystko, co miałaś, zawdzięczasz mnie, nawet jeśli nagle znalazłaś Królewicza na męża.

Królewicz obiecał wrócić po oblubienicę za tydzień z damami, kawalerami i królewskimi karetami, a oblubienica tymczasem przygotowywała wyprawę z pomocą krowiej głowy, a była to zaiste królewska wyprawa.

– Miej się na baczności – mówiła jej krowia głowa – kiedy będziesz miała opuścić ten dom; uważaj, żeby o niczym nie zapomnieć. Jeśli zapomnisz o czymś, może ci się zdarzyć wielkie nieszczęście.

Ale kiedy przyjechał Królewicz z orszakiem, oblubienica była taka podniecona i tak się śpieszyła, że nie tylko zapomniała zabrać ze sobą grzebień, ale i pożegnać się z krowią głową, i wybiegła nie zamknąwszy nawet drzwi.

Orszak już się bardzo oddalił, kiedy naraz oblubienica uderzyła się ręką w czoło.

– Zawróćmy, zawróćmy, wasza królewiczowska mość! Zapomniałam grzebienia.

Królewicz spytał:

– Boisz się, że nie znajdziesz grzebieni w moim pałacu? Albo że zabrakło ich w miejskich sklepach?

Ale ona odrzekła ze łzami w głosie:

– Boję się, żeby mi się nie przydarzyło jakieś nieszczęście, bo mama powiedziała mi, że nie wolno mi niczego w domu zapomnieć, jeśli nie chcę, by mi się przytrafiło coś złego. Błagam waszą królewiczowską mość, zawróćmy.

I Królewicz kazał zawrócić konie i wrócili do lasu.

Drzwi były wciąż otwarte; oblubienica zbiegła w dół i zaczęła szukać grzebienia.

– No cóż, odjechałaś? – spytała krowia głowa.

– Tak, mamó – odpowiedziała – i w pośpiechu zapomniałam grzebienia, a teraz nie mogę go znaleźć.

– Hm, zapomniałaś grzebienia, tak? – spytała krowia głowa. – Czy tylko grzebienia? Szukaj go sama.

Oblubienica, zdyszana, otworzyła szufladę i, by tam poszperać, wsunęła głowę do środka. Kiedy się wyprostowała, ujrzała się w lustrze i krzyknęła: głowa jej zamieniła się w wielki krowi łeb.

– Mamó! Mamó! – krzyknęła. – Nieszczęście! Ratuj mnie!

Krowia głowa odpowiedziała:

– Nie mogę. To jest nagroda za twoją wdzięczność. Odjechałaś, nawet się ze mną nie pożegnawszy.

– I co teraz powie mój narzeczony?

– Będzie musiał zatrzymać cię taką, jaka jesteś. Przyrzekł cię poślubić.

Krótko mówiąc, dziewczynie nie pozostało nic innego, jak owinąć sobie głowę gęstą zasłoną i stanąć tak przed Królewiczem.

– Czemu się tak zakutałaś? – spytał. A dziewczyna odpowiedziała, że cieknie jej z oczu.

W pałacu matka Królewicza i wszystkie wielkie damy czekały z ciekawością na tę wielką piękność. Ale dziewczyna, pod pozorem, że cieknie jej z oczu, przyjechała w zasłonie i nie dała się ujrzyć nikomu. Nadeszła chwila, kiedy została sama z Królewiczem i musiała podnieść zasłonę – wyobraźcie sobie, jak się zdumiał Królewicz, kiedy ujrzał, że jego oblubienica stała się potworem! Zakrył sobie oczy rękoma i nie chciał jej widzieć. Z początku pomyślał, żeby kazać ustawić stos i Spalić ją, ale porozmawiał z matką i matka doradziła mu, żeby zamknąć tę stworę na pałacowym strychu. Tak też i zrobił, a na dworze puścił pogłoskę, że trzyma ją w zamknięciu z zazdrości. Jedną tylko matka znała jego tajemnicę i martwiła się, widząc go coraz smutniejszym. Pewnego dnia rzekła doń:

– Synu, trzeba będzie odesłać tę krowią głowę i pomyśleć o wybraniu ci nowej oblubienicy jak się patrzy.

A on:

– Jak mogę ją odesłać, skoro dałem jej słowo, że się z nią ożenię?

– Jest na to rada, posłuchaj – rzekła matka. – Są na dworze dwie piękne dworki, które marzą tylko o tym, żeby się za ciebie wydać. Urządzimy zawody między nimi a krowią głową. Niech w ciągu tygodnia każda uprzedzie funt lnu; tę, która uprzedzie lepiej, pojmiesz za żonę.

Królewicz usłuchał rady. Obie dworki zabrały się z wielką pilnością do przedzenia swojego funta lnu, każda zamknięta w swojej komnacie. Biednej zaś oblubienicy nic się nie udawało, umiała tylko płakać nad swoją złą dolą. W sobotę wieczorem spuściła się po sznurze ze strychu i pobiegła do lasu aż do drzwi krowiej głowy.

– Mamo, mamó – rzekła do niej – pomóż mi jakoś, wydobądź mnie z tych utrapień, ty to możesz. Tak mnie ukarałaś! Taką szczęśliwą uczyniła mnie twoja dobroć, a teraz jestem najniezszczęśliwsza ze wszystkich kobiet!

Krowia głowa odpowiedziała:

– A tobie niewdzięczność wydaje się błahą przewiną? Nie mogę ci pomóc. Mogę tylko dać ci ten orzech. Daj go jutro Królewiczowi i powiedz mu, żeby zjadł jądro, bo wdzięczna mu jesteś za funt lnu, który ci dał do uprzedzenia.

W niedzielę dworki pokazały Królowej, nic za nią, uprzedzony len, a Królowa orzekła:

– Nieźle! Ale są jeszcze skazy: nie jest całkiem równy. Zobaczymy teraz robotę tamtej.

Oblubienica pokazała orzech.

– Chcesz ze mnie jeszcze kpić? – spytał Królewicz.

Ale rozłupał orzech i znalazł w środku funtowy motek lnu, doskonale uprzedzonego, jakiemu równego nie widziano nigdy.

Aliści Królowa powiedziała:

– Len jest piękny, to prawda, nie można zaprzeczyć. Ale chyba nie zechcesz za funt lnu trzymać żony potwora? Trzeba zrobić drugą próbę. Teraz damy tym pannom do uszycia koszulę z płótna, a która w ciągu tygodnia najlepiej uszyje, ta zostanie twoją żoną.

I znowu zamykają wszystkie trzy osobno; dworki szyją zapamiętale, minuta za minutą, po jednym ściegu na raz, oblubienica zaś płacze, nawet nie tykając płótna. W sobotę wieczorem spuszcza się znowu po sznurze i wraca do krowiej głowy.

– Mamo, pomóż mi! Odpuść mi, co zawiniłam. Czy naprawdę straciłaś wszelką miłość do swojej córki?

– Umiesz tylko płakać i skarżyć się – powiada krowia głowa. – Nie moja wina, że tak się z tobą stało. Czyż nie ostrzegałam cię może w swoim czasie? To tylko mogę zrobić: masz tu orzech laskowy, daj go Królewiczowi, niech go rozłupie i zje, a jeśli mu nie będzie smakował, niech wypluje.

Kiedy Królewicz rozłupał orzech, ze środka wysunęła się koszula cała haftowana złotem, szyta tak gęstym i drobnym ścięciem, że nie odkryłoby go żadne oko.

Królowa rzekła:

– Teraz zrobimy rozstrzygającą próbę. Za tydzień będzie wielki bal. Poleć tym trzem pannom, żeby postarały się upiększyć, a która będzie najpiękniejsza, ta zostanie twoją żoną.

Obie dworki, znalazłszy się w swoich komnatach, zaczęły czynić zabiegi, by zrobić się jak najpiękniejszymi; nacierały się wonnościami, kładły róż na policzki, trefiły włosy, przymierały suknie i nie spały już wcale, a gdyby zwierciadło mogło się zużywać, to nie zostałyby z niego ani okrucha. Cóż natomiast miała począć oblubienica, mając krowią głowę na karku? Przeplakała cały tydzień, a w sobotę wieczorem wróciła do jaskini w lesie.

– Znowu przyszłaś becząć? – spytała krowia głowa.

– Cóż miałam począć, mamó? Jeśli mi nie przebaczysz, to tym razem stracę oblubienca bez ratunku.

– Masz to, czego chciałaś. Odeszłaś stąd jak pies, niepomna dobrodziejstw, jakie ci wyświadczyłam.

– To nie ze złości, mamó, cóż chcesz? Byłam taka ucieszona, nie myślałam, nie miałam głowy na nic.

– A dzisiaj, gdybyś odchodziła jak wtedy, to co byś zrobiła?

– Och, mamó! Pożegnałabym się z tobą, ucałowałabym cię i uściskała i nie zapomniałabym niczego, i zamknęłabym za sobą drzwi.

– No dobrze, przebaczam ci – rzekła krowia głowa. – Poszukaj swojego grzebienia.

Oblubienica poszła do komody, otworzyła swoją szufladę, poszperała i znalazła grzebień.

Jakież było jej zdziwienie, kiedy podnosząc się ujrzała w zwierciadle swoją dawną głowę, ale dwakroć piękniejszą niż przedtem. Skacząc i



krzycząc z radości podbiegła do krowiej głowy, uściskała ją i ucałowała, obsypała tysiącem pieścizot i podziękowań.

W niedzielę w sali królewskiej zebrał się cały dwór z Królem i Królową wysoko na tronie i Królewiczem u stopni na dole. Przychodzą trzy damy osnute od stóp do głowy gęstą zasłoną. Królewicz podnosi zasłonę pierwszej i mówi:

– Cóż to, cała wypchana gałganami!

Zbliża się druga, a Królewicz podnosi zasłonę.

– A to co takiego? Cała ze wstążek i farby!

Zasłony swojej oblubienicy nie śmiał podnieść, ale kiedy podniósł, osłupiał.

– Oto moja żona! Oto jaką ujrzałem, kiedy robiła pończochę w głębi lasu! Jest jeszcze piękniejsza niż wtedy! Droga mamó, dokonałem wyboru: moją żoną będzie ta, która zachwyca mnie swoją urodą i wdziękami.

Wziął ją za rękę i posadził obok siebie na tronie, a cały dwór okrzyknął ją Królową. Od tego dnia byli zawsze razem i żyli długo, szczęśliwie jak w raju.

*MONTALE (TOSKANIA)*



---

## PIĘKNA FANTA-GHIRÒ

**W**dawnych czasach żył pewien Król, który nie miał synów, tylko trzy piękne córki: najstarsza nazywała się Karolina, średnia – Assuntina, a najmłodszą zwano piękną Fantą-Ghirò, bowiem była najpiękniejsza z sióstr.

Król był wciąż chory i chmurny i cały boży dzień siedział zamknięty w swojej komnacie. Miał trzy krzesła: niebieskie, czarne i czerwone, i córki, idąc przywitać się z nim rano, spoglądały natychmiast na krzesło, na którym siedział. Jeśli siedział na niebieskim, oznaczało to wesołość, jeśli na czarnym – śmierć, jeśli na czerwonym – wojnę.

Pewnego dnia córki zastały ojca siedzącego na czerwonym krześle. Pierworodna spytała:

– Ojcze! Co się stało?

Król odpowiedział:

– Otrzymałem od Króla ościennego państwa list z wypowiedzeniem wojny. Ale ja, taki schorowany, nie wiem, co począć, bo nie mam nikogo, kto by dowodził moim wojskiem. Gdzie znajdę na poczekaniu dobrego hetmana?

– Jeśli mi pozwolisz – powiada pierworodna córka – to ja będę hetmanem. Czy to taka sztuka dowodzić wojskiem? Sądzisz, że nie dam sobie rady?

– Cóż ty opowiadasz! To nie są sprawy dla kobiet – odparł Król.

– Wypróbuj mnie! – nalegała pierworodna.

– Wypróbować mogę – rzekł Król. – Ale pamiętaj, jeśli w drodze zaczniesz mówić o jakichś kobiecych sprawach, to natychmiast wrócisz do domu.

Ugodzili się i Król kazał swemu wiernemu koniuszemu, Toninowi, żeby dosiadł konia i towarzyszył Królownie na wojnę, ale za pierwszym razem, kiedy Królowna wspomni o jakichś kobiecych sprawach, ma natychmiast odwieźć ją do pałacu.

Tak więc Królowna i koniuszy pojechali na wojnę, a za nimi całe wojsko. Ujechali już spory szmat drogi, kiedy wypadło im przejeżdżać przez oczerety. Królowna wykrzykuje:

– Ach, jaka piękna trzcina! Ileż zrobilibyśmy z niej pięknych kądzieli, gdybyśmy ją mieli w domu!

– Stać, królowno! – krzyknął Tonino. – Mam rozkaz odprowadzić waszą królewską mość do pałacu. Wasza królewska mość mówiła o sprawach kobiecych!

Zawrócili konie i całe wojsko zrobiło w tył zwrot.

Wtedy do Króla przyszła średnia córka.

– Najjaśniejszy panie, ja pojedę dowodzić bitwą.

– Pod tym samym warunkiem, co twoja siostra?

– Pod tym samym warunkiem.

Pojechali więc konno, ona z koniuszym o krok za sobą, a za nimi całe wojsko. Cwałują i cwałują, przejechali przez oczerety, ale Królowna ani pisnęła. Przejeżdżali przez las i Królowna rzekła:

– Spójrz, Tonino, jakie piękne, proste, cienkie pręty! Ileż zrobilibyśmy z nich pięknych wrzecion, gdybyśmy je mieli w domu!

– Stać, królowno! – krzyknął Tonino zatrzymując konia. – Wracamy do domu! Wasza królewska mość wspomniała o sprawach kobiecych!

I całe wojsko, z bronią i ekwipunkiem, zawróciło do miasta.

Król nie wiedział już, co ma robić, kiedy przyszła do niego Fanta-Ghirò.

– Nie, nie – rzekł. – Jesteś za młoda! Skoro nie powiodło się twoim siostram, to jakże chcesz, żebym tobie zawierzył?

– Cóż w tym złego, ojcze, że mnie wypróbujesz? – rzekła dziewczyna. – Zobaczysz, że nie przyniosę ci wstydu! Wypróbuj mnie!

Ustalono więc, że pojedzie Fanta-Ghirò. Dziewczyna przebrała się za rycerza, włożyła zbroję i hełm, wzięła miecz i dwa pistolety i pojechała z Toninem, który cwałował u jej boku. Przejechali przez oczerety – Fanta-Ghirò milczy, przejechali przez las – Fanta-Ghirò ciągle milczy. Tak dojechali do granicy.

– Przed bitwą – powiedziała Fanta-Ghirò – chcę rozmówić się z nieprzyjacielskim Królem.

Nieprzyjacielski Król był pięknym młodzianem; gdy tylko ujrzał Fantę-Ghirò, powziął podejrzenie, że to dziewczyna, a nie hetman, i zaprosił ją do swego pałacu, by obgadać przyczyny wojny, zanim zaczną się bić.

Dojechali do pałacu Króla i Król natychmiast pobiegł do swojej matki:

– Mamo, mam – zawołał – wiesz, mam tu ze sobą hetmana nieprzyjacielskiego wojska, ale gdybyś go zobaczyła!

*Oczy ma czarne  
I słodką mowę,  
To dziewczę, mam,  
Dam za to głowę!*

Matka powiedziała:

– Zaprowadź go do zbrojowni. Jeśli to kobieta, nic ją nie będzie obchodziła broń i nawet na nią nie spojrzysz.

Król zaprowadził Fantę-Ghirò do zbrojowni. Fanta-Ghirò zaczęła zdejmować miecze wiszące na ścianie, patrzeć, jak się je ujmuje, i podnosić, by zważyć ich ciężar; potem przeszła do rusznic i pistoletów, zaczęła je otwierać i patrzeć, jak się je nabija. Król pobiegł z powrotem do matki.

– Mamo, hetman ogląda broń jak mężczyzna. Ale im bardziej mu się przypatruję, tym bardziej trwam w swoim przypuszczeniu.

*Oczy ma czarne  
I słodką mowę,  
To dziewczę, mamo,  
Dam za to głowę!*

Matka odpowiedziała:

– Zaprowadź go do ogrodu. Jeśli to kobieta, to zerwie różę lub fiołka i przypnie sobie do piersi; jeśli to mężczyzna, to wybierze jaśmin, powącha, a potem zatknie go sobie za ucho.

Król jął przechadzać się z Fantą-Ghirò po ogrodzie. Fanta-Ghirò wyciągnęła rękę po jaśmin, zerwała gałązkę, powąchała, a potem zatknęła sobie za ucho. Król wrócił do matki wielce zatroskany.

– Uczyniła jak mężczyzna, ale trwam w swoim przypuszczeniu.

*Oczy ma czarne  
I słodką mowę,  
To dziewczę, mamo,  
Dam za to głowę!*

Matka zrozumiała, że syn zakochał się bez pamięci, i rzekła mu:

– Zaproś hetmana na obiad. Jeśli krając chleb oprze go o pierś, to jest kobietą, jeśli zaś będzie go trzymał w powietrzu, to na pewno jest mężczyzną i ty daremnie się zakochałeś.

Ale także ta próba zawiodła. Fanta-Ghirò ukroiła chleb jak mężczyzna. Król jednak dalej powtarzał matce:

*Oczy ma czarne  
I słodką mowę,  
To dziewczę, mamo,  
Dam za to głowę!*

– Zrób więc ostatnią próbę – rzekła matka. – Zaproś hetmana, by wykąpał się z tobą w ogrodowej sadzawce. Jeśli to kobieta, to na pewno odmówi.

Król zaprosił Fantę-Ghirò do kąpieli, a ona odrzekła:

– Dobrze, z przyjemnością, ale jutro rano.

I wzięwszy na stronę Tonina, rzekła mu:

– Odjedź z pałacu i jutro rano przywieź mi list z pieczęciami mojego ojca.

W liście ma być napisane: „Drogi Fanta-Ghirò, jestem chory, bliski śmierci, i chcę cię zobaczyć, zanim umrę”.

Nazajutrz poszli do sadzawki. Król rozebrał się, wszedł do wody pierwszy i wezwał Fantę-Ghirò, by uczyniła to samo.

– Jestem spocony – odpowiedziała Fanta-Ghirò – poczekaj jeszcze chwileczkę – i wyteżyła ucho, czy nie usłyszy konia Tonina.

Król nalegał, by się rozebrała. A Fanta-Ghirò:

– Nie wiem, co to ma znaczyć. Czuję dreszcze na plecach... Zdaje mi się, że to jakiś zły znak; stanie się chyba jakieś nieszczęście.

– Jakie nieszczęście! – mówił w wodzie Król. – Rozbierz się i skacz do wody, tu jest tak przyjemnie! Jakie może się stać nieszczęście?

W tej chwili daje się słyszeć tupot kopyt, nadjeżdża koniuszy i wręcza Fancie-Ghirò list z królewskimi pieczęciami.

Fanta-Ghirò zbladła.

– Przykro mi, najjaśniejszy panie, ale dostałem złe wiadomości. Mówiłem, że te dreszcze coś złego znaczą! Mój ojciec jest umierający i chce mnie widzieć. Muszę zaraz jechać. Pozostaje nam zawrzeć pokój, a jeśli są jeszcze jakieś sprawy do omówienia, to przyjedź do mojego królestwa. Bądź zdrow. Wykąpiemy się innym razem.

I pojechała.

Przed odjazdem Fanta-Ghirò poszła do swojej komnaty po swoje rzeczy i zostawiła na łóżku kartkę z napisem:

DZIEWCZYNA PRZYBYŁA, DZIEWCZYNA ODJECHAŁA,  
MŁODEMU KRÓLOWI POZNAĆ SIĘ NIE DAŁA.

Kiedy Król znalazł kartkę, stanął jak wryty, trochę z gniewu, a trochę z radości. Pobiegł do matki.

– Mamo! Mamo! Zgadłem! To była kobieta!

I nie zostawiając matce czasu na odpowiedź, wskoczył do karety i ruszył w skok za Fantą-Ghirò.

Fanta-Ghirò, stanąwszy przed obliczem ojca, uściskała go i opowiedziała, jak wygrała wojnę i dopięła, że nieprzyjacielski Król zaniechał najeżdźczych zamiarów. Ale tu dał się słyszeć na dziedzińcu turkot karety. Był to nieprzyjacielski Król, który przyjechał aż tutaj, zakochany bez pamięci, i gdy tylko ujrzał Fantę-Ghirò zawołał:

– Hetmanie, czy chcesz zostać moją żoną?

Sprawiono wesele, obaj królowie zawarli pokój, a kiedy stary Król umarł, pozostawił całe królestwo zięciowi i piękna Fanta-Ghirò została panią obu królestw.

*MONTALE (TOSKANIA)*





---

## CHYTRA WIEŚNIACZKA

**P**ewien chłop, okopując raz winorośl w swojej winnicy, uderzył motyką w coś twardego. Schyla się i widzi, że wykopał piękny móździerz. Podnosi go, zaczyna oskrobywać i spostrzega, że pod skorupą z ziemi jest cały ze złota.

– To coś dla Króla! – powiada. – Zaniosę go Królowi i ciekaw jestem, co mi da w nagrodę. W domu czekała nań jego córka Katarzyna, a on pokazał jej złoty móździerz, mówiąc, że chce go podarować Królowi. Katarzyna powiada:

– Że piękny to piękny, nie można zaprzeczyć. Ale jeśli zaniesiesz go Królowi, znajdzie coś do zganienia, bo czegoś tu brakuje, i jeszcze na tobie się to skrupi.

– A czegoż tu może brakować? Co tu może znaleźć do zganienia choćby sam Król, głuptasie? A Katarzyna odpowiedziała:

– Zobaczysz, że Król powie:

*Piękny móździerz, ale gdzie  
Jest do niego tłuczek, kpie?*

Chłop wzruszył ramionami.

– Król miałby przemawiać w taki sposób? Zdaje ci się, że jest taki głupi, jak ty?

I wzięwszy móździerz pod pachę, poszedł do pałacu królewskiego. Wartownicy nie chcieli go wpuścić, ale gdy powiedział, że przynosi cudowny podarek, zaprowadzili go przed oblicze jego królewskiej mości.

– Najjaśniejszy panie – rzekł chłop – znalazłem w swojej winnicy ten oto złoty moździerz i wydało mi się, że godzin jest stać tylko w pałacu waszej królewskiej mości, i dlatego przyniosłem go tutaj, bo chcę go podarować waszej królewskiej mości, jeśli wasza królewska mość raczy go przyjąć.

Król wziął moździerz do rąk i zaczął go obracać i przyglądać mu się ze wszystkich stron. Potem potrząsnął głową i rzekł:

*Moździerz wielki, piękny, tak,  
Ale tłuczka, tłuczka brak!*

Całkiem tak jak powiedziała Katarzyna, tyle tylko, że nie nazwał go „kpem”, królowie bowiem są ludźmi dobrze wychowanymi. Chłop uderzył się ręką w czoło i powiedział mimo woli:

– Całkiem tak samo! Przepowiedziała!

– Kto taki przepowiedział?

– Wybacz, najjaśniejszy panie – odrzekł chłop. – To moja córka powiedziała, że Król mi tak odpowie, a ja nie chciałem jej usłuchać.

Król rzekł:

– Łebska musi to być dziewczyna, ta twoja córka. Chciałbym ją wystawić na próbę. Masz tu len. Powiedz jej, by mi z niego zrobiła – ale szybko, bo natychmiast mi trzeba – koszule dla pułku żołnierzy.

Chłop na ten rozkaz osłupiał; ale królewskich rozkazów się nie roztrząsa: wziął zawiniątko, w którym było wszystkiego trzy kądziele lnu, i pokłoniwszy się jego królewskiej mości, poszedł do domu, zostawiając moździerz, za który nie otrzymał ani grosza nagrody.

– Córko – rzekł do Katarzyny – ściągnęłaś sobie na głowę nie lada nieszczęście!

I powiedział jej, co rozkazał Król.

– Strachasz się bez powodu – powiada Katarzyna. – Daj mi ten len.

Bierze len i zaczyna nim potrząsać. Wiadomo, że w lnie są paździerze, nawet kiedy go czesał mistrz; i na ziemię wypadły trzy paździerze, takie

małe, że prawie ich nie było widać. Katarzyna podniosła je i powiedziała ojcu:

– Weź to. Wracaj zaraz do Króla i powiedz mu ode mnie, że utkam mu płótno na koszule, ale ponieważ nie mam krosien, niech mi je każe zrobić z tych trzech paździerzy, a potem zostanie obsłużony wedle życzenia.

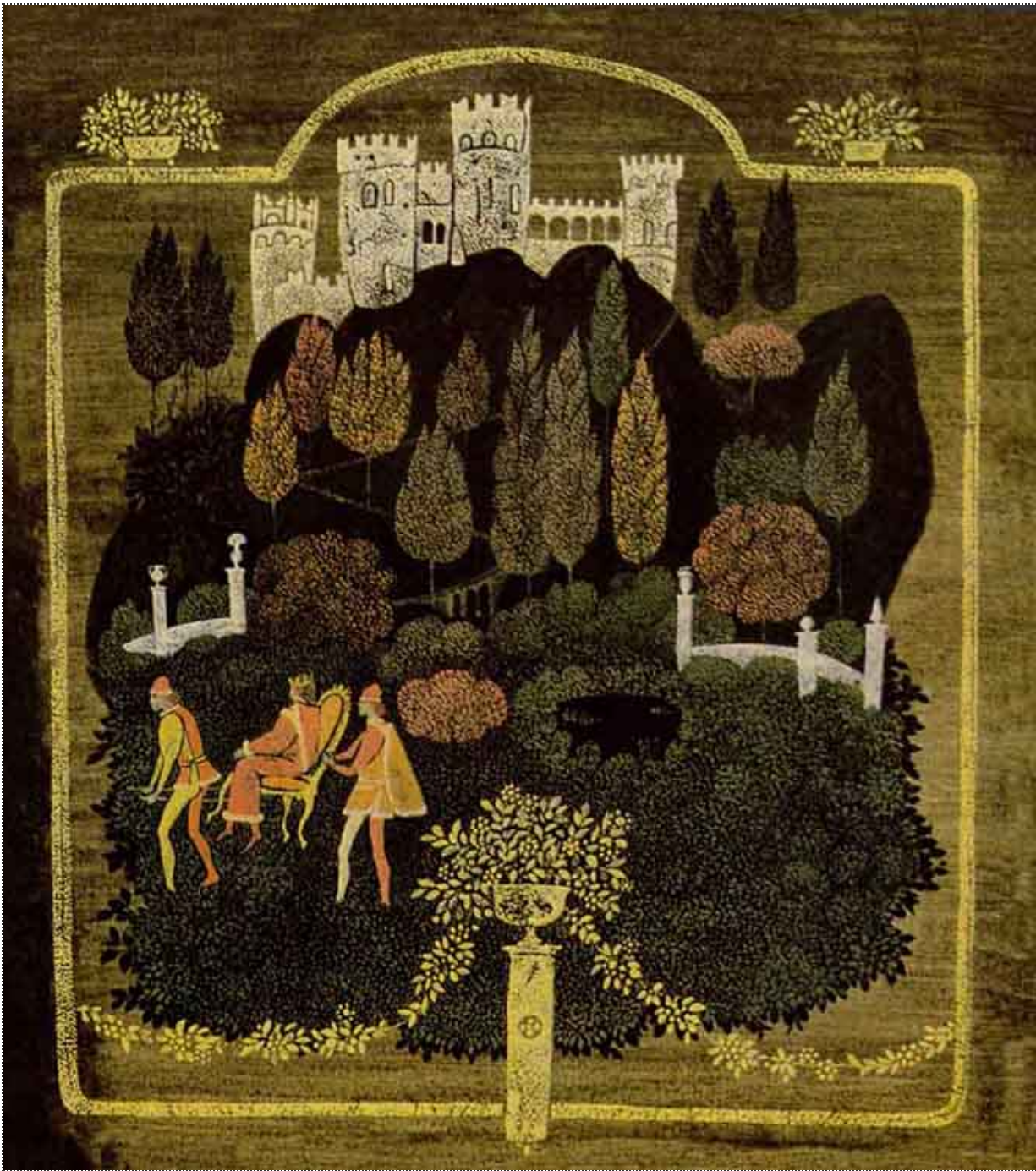
Chłop bał się wrócić do Króla z tym posłaniem, ale Katarzyna tak nalegała, że wreszcie się odważył.

Król, widząc, jak chytra jest Katarzyna, zapragnął ją ujrzeć. Powiedział:

– Zuch z tej twojej córki! Przyślij mi ją do pałacu, chciałbym z nią trochę porozmawiać. Ale niech pamięta: ma przybyć do mnie nie naga ani odziana, nie na czczo ani syta, nie w dzień ani w nocy, nie pieszo ani na koniu. Ma być posłuszna tym wszystkim warunkom, inaczej oboje zapłacicie głową.

Chłop wrócił do domu półżywy. Ale córka, jak gdyby nigdy nic, powiada:

– Ojczy, wiem, co mi należy czynić. Znajdź mi tylko sieć rybacką.



Rano, przed świtaniem, Katarzyna wstaje z łóżka i wkłada na siebie sieć (w ten sposób nie była ani naga, ani odziana), zjada ziarnko łąbinu (w ten sposób nie była ani na czczo, ani syta), bierze kozę i dosiada jej okrakiem dotykając jedną nogą ziemi, a drugą trzymając w powietrzu (w ten sposób nie była ani pieszo, ani na koniu) i przybywa tak do pałacu Króla, kiedy

ledwie dniało (w ten sposób nie było to ani w dzień, ani w nocy). Wartownicy wzięli ją za wariatkę i nie chcieli jej wpuścić, ale kiedy dowiedzieli się, że wypełnia rozkaz monarchy, zaprowadzili ją na królewskie pokoje.

– Najjaśniejszy panie, przybywam podług woli waszej królewskiej mości.

Król nie mógł się powstrzymać, żeby nie wybuchnąć śmiechem, i rzekł:

– Zuch z ciebie, Katarzyno! Jesteś naprawdę dziewczyną, jakiej szukałem: ożenię się z tobą i zrobię cię Królową. Ale pod jednym warunkiem. Pamiętaj: nie wolno ci nigdy mieszać się do moich spraw. (Król zrozumiał, że Katarzyna jest chytrzejsza od niego).

Chłop, dowiedziawszy się o tym, rzekł jej:

– Skoro Król chce cię pojąć za żonę, nie ma co się sprzeciwiać. Ale zważ, co robisz, bo jak się Królowi szybko zachciało, tak też może mu się szybko odechcieć. W każdym razie zostaw mi swoje zgrzebne odzienie, żebym powiesił je tu na kołku; gdybyś musiała wrócić do domu, znajdziesz je na swoim miejscu, by się w nie przebrać.

Ale Katarzyna była uszczęśliwiona i po kilku dniach odbyły się zaślubiny z wielkimi uroczystościami w całym Królestwie, a w mieście urządzono nawet wielki jarmark. Chłopi, którzy nie mogli nocować pod dachem, spali na placach, nawet pod oknami Króla.

Pewien chłop przyszedł sprzedać cielną krowę i nie znalazł obory, gdzie by ją mógł umieścić na noc. Karczmarz powiedział mu, że może trzymać ją pod podcieniem, przywiązaną do wozu drugiego chłopca. W nocy krowa urodziła cielę i rano właściciel przychodzi uradowany po dwoje swoich bydła. Ale wyskakuje właściciel wozu i zaczyna gardłować:

– Krowa, zgoda, jest twoja, ale cielę zostaw, bo jest moje!

– Jak to: twoje? Skoro urodziła je w nocy moja krowa?

– To co z tego? – odpowiada tamten. – Krowa była uwiązana do wozu, wóz jest mój i cielę należy do właściciela wozu.

Powstała stąd nie kończąca się kłótnia; od słów do czynów droga niedaleka: złapali kłonicę i dalejże walić się na oślep. Na hałas zbiegli się ludzie, przylecieli strażnicy miejscy, rozdzielili obydwóch i poprowadzili niezwłocznie przed sąd królewski.

Trzeba wam wiedzieć, że w mieście królewskim był niegdyś zwyczaj, że w sądzie wypowiadała swoje zdanie także Królowa. Ale teraz, za królowej Katarzyny, tak się trafiało, że za każdym razem, kiedy Król wydawał wyrok, ona była zawsze przeciwna i Król szybko to sobie uprzykrzył. I powiedział jej:

– Ostrzegam cię, byś się nie wtrącała do spraw państwowych! Nie będziesz więcej zasiadać w sądzie.

I tak też odtąd było, chłopci stanęli więc przed samym Królem.

Wysłuchawszy racji jednego i drugiego, Król orzekł:

– Cielę należy do wozu.

Właściciel krowy nie mógł pogodzić się z tak niesprawiedliwym wyrokiem, ale nie było sposobu, by się sprzeciwić: Król powiedział, że on tu rozkazuje i że jego słowo jest święte dla wszystkich. Karczmarz, widząc, że chłop jest taki strapiony, poradził mu, żeby udał się do Królowej, która znajdzie może jakąś radę.

Chłop poszedł do pałacu królewskiego, zbliżył się do lokaja i spytał:

– Możesz mi powiedzieć, czy dałoby się rzec kilka słów Królowej?

– To niemożliwe – odrzekł lokaj – bo Król zakazał jej dawać posłuchania.

Chłop zaczął wtedy krążyć wokół ogrodowego muru. Zobaczył Królową, przeskoczył przez mur i wybuchnął przed nią łkaniem, opowiadając o niesprawiedliwości, jakiej doznał od jej małżonka. Królowa rzekła:

– Moja rada jest taka. Jutro Król jedzie na polowanie za miasto. Jest tam jezioro, które w tej porze roku jest suche, bez kropli wody. Zrobisz tak: przytroczysz sobie do pasa wydrążoną dynię rybacką, w ręce będziesz trzymał sieć i poruszał nią tak, jak gdybyś łowił. Król, zobaczywszy, że

łowisz ryby w wyschłym jeziorze, najpierw się roześmieje, a potem spyta cię, dlaczego łowisz ryby tam, gdzie nie ma wody. Wtedy mu odpowiesz: „Najjaśniejszy panie, jeśli mogło się zdarzyć, że wóz urodził cielę, to może się także przytrafić, że złowię rybę w wyschłym jeziorze”.

Nazajutrz rano chłop z dynią dyndającą na biodrze i z siecią w ręce poszedł do bezwodnego jeziora, usiadł na brzegu i zaczął zarzucać sieć i wyciągać ją, jak gdyby były w niej ryby. Najeżdża Król ze swoją świtą i widzi to. Roześmiał się, a potem spytał chłopą, czy postradał rozum. A chłop odpowiedział, jak mu poradziła Królowa.

Król, usłyszawszy odpowiedź, krzyknął:

– Mój gospodarzu, to nie jest mąka z twojego młyna! Chodziłeś po radę do Królowej!

Chłop nie zaprzeczył, a Król zmienił wyrok i przysądził mu cielę.

Potem zawołał Katarzynę i rzekł jej:

– Wtrąciłaś się do moich spraw, a wiesz, że ci tego zabroniłem. Możesz więc zaraz wracać do ojca. Zabierz z pałacu, co ci się najbardziej podoba, i wracaj dziś wieczorem do domu, do swych wieśniaczych zajęć.

Katarzyna odpowiedziała pokornie:

– Jak wasza królewska mość sobie życzy; pozostaje mi jedynie być posłuszną. Proszę tylko o tę jedną łaskę, żebym mogła poczekać z odejściem do jutra. Wieczorem byłby to zbyt wielki wstyd i dla waszej królewskiej mości, i dla mnie, i wiele by stąd było gadania wśród ludu.

Król powiada:

– Łaska ta będzie ci użyczona. Będziemy po raz ostatni wieczerzać razem, a jutro rano odejdziesz.

Cóż robi ta szczywana Katarzyna? Każe kucharzom przygotować pieczone mięsiwo, szynki, wszystko, co głowę czyni ciężką i wzbudza pragnienie, i podać do stołu najlepsze wino z królewskich piwnic. Na wieczerzę Król zjadł tyle, że więcej już nie mógł, a Katarzyna otwierała mu jedną butelkę

po drugiej. Najpierw zaczęło mu się mącić przed oczami, potem zaczął mu się plątać język i wreszcie usnął jak Świnia w swoim fotelu.

Wtedy Katarzyna powiedziała lokajom:

– Bierzcie fotel razem ze śpiącym i idźcie za mną. Biada temu, który odezwie się choćby jednym słowem.

I wyszła z pałacu, skierowała się za bramę miejską i zatrzymała się dopiero przed ojcowską chatą, kiedy była już późna noc.

– Otwórz, ojcze, to ja! – zawołała.

Stary chłop, usłyszawszy głos córki, wyglądał natychmiast.

– To ty, o tej porze! Ach, mówiłem ci! Dobrze zrobiłem, że zachowałem twoje zgrzebne odzienie. Ciągłe tu jest, wisi na kołku w twojej izbie.

– Otwórz mi, szybko! – rzekła Katarzyna. – I nie gadaj tyle!

Chłop otwiera i widzi lokajów trzymających fotel z Królem. Katarzyna każe zanieść go do izby, rozebrać i położyć do swojego łóżka. Potem odprawia lokajów i kładzie się także do łóżka obok Króla.

Koło północy Król się zbudził: zdawało mu się, że materac jest twardszy niż zwykle, a prześcieradła bardziej szorstkie. Poruszył się i poczuł obok żonę. Spytał:

– Katarzyno, czyż nie powiedziałem ci, żebyś sobie poszła do swego domu?

– Tak, najjaśniejszy panie – odpowiedziała – ale jeszcze nie dnieje. Śpij, śpij.

Król zasnął znowu; rano zbudził go ryk osła i bek owiec, zobaczył światło słońca poprzez dach, poderwał się i nie poznał swej królewskiej komnaty. Spytał żony:

– Katarzyno, gdzie my jesteśmy?

A ona:

– Czyż nie powiedziałeś mi, najjaśniejszy panie, że mam wrócić do domu i zabrać ze sobą to, co najbardziej mi się podoba? Zabrałam ciebie i



zatrzymam.

Król zaczął się śmiać i pogodzili się. Wrócili do pałacu królewskiego i jeszcze dziś tam żyją, a od owego dnia Król nigdy nie przychodzi na sąd bez żony.

*MONTALE (TOSKANIA)*

---

## PIETRUSZKA

**B** yli raz mąż i żona, którzy mieszkali w pięknym domku, a domek ten miał okno wychodzące na ogród wróżek.

Żona spodziewała się dziecka i miała ochotę na pietruszkę. Wygląda przez okno i widzi w ogrodzie wróżek całą grzędę pietruszki. Czeką, aż wróżki wyjdą z domu, bierze sznurową drabinę i schodzi po niej do ogrodu. Objadłszy się pietruszki, wspina się po drabinie i zamyka okno.

To samo nazajutrz. Tak sobie pojadała dzień w dzień, aż wróżki, przechadzając się po ogrodzie, spostrzegły, że prawie wszystka pietruszka zniknęła.

– Wiecie, co zrobimy? – rzekła jedna. – Udamy, że wyszłyśmy wszystkie z domu, a tymczasem jedna zostanie ukryta. W ten sposób zobaczymy, kto nam kradnie pietruszkę.

Kiedy kobieta zeszła do ogrodu, czatująca wróżka wyskoczyła z ukrycia.

– Ach, ty łajdaczko! Nareszcie cię złapałam!

– Miej litość! – rzekła kobieta. – Miałam ochotę na pietruszkę, bo spodziewam się dziecka...

– Przebaczymy ci – odpowiedziała wróżka. – Ale jak będziesz mieć chłopca, nazwiesz go Pietruszek, a jak dziewczynkę, to Pietruszka. A gdy tylko podrośnie, czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka, weźmiemy dziecko do siebie.

Kobieta wybuchnęła płaczem i wróciła do domu. Mąż, dowiedziawszy się o układzie z wróżkami, straszliwie się rozgniewał.

– Ach, ty łakomcze! Widzisz, co narobiłaś?

Urodziła się dziewczynka, Pietruszka. A z czasem rodzice przestali myśleć o układzie z wróżkami.

Kiedy Pietruszka podrosła, zaczęła chodzić do szkoły. A gdy wracała do domu, spotykała codziennie wróżki, które mówiły jej:

– Dziecko, powiedz matce, żeby przypomniła sobie, co ma nam dać.

– Mamo – mówiła Pietruszka po powrocie do domu – wróżki mówią, żebyś przypomniła sobie, co masz im dać.

Matka czuła, że serce jej się ściska, i nic nie odpowiadała.

Pewnego dnia matka była roztargniona. Pietruszka wróciła ze szkoły i powiedziała:

– Wróżki mówią, żebyś przypomniła sobie, co masz im dać – a matka odpowiedziała myśląc o czymś innym:

– Tak, powiedz im, żeby sobie to wzięły.

Nazajutrz dziewczynka poszła do szkoły.

– Jakże więc, czy mama sobie przypomniła? – spytały wróżki.

– Tak, powiada, że możecie sobie wziąć, co miała wam dać.

Wróżkom nie trzeba było tego dwa razy mówić. Schwytały Pietruszkę i zabrały ją do siebie.

Matka, nie widząc jej wracającej, była coraz bardziej zatroskana. Nagle przypomniła sobie, co jej córka powiedziała, i rzekła do siebie:

– Biada mi! Teraz nie można już tego odwołać!

Wróżki zabrały Pietruszkę do swego domu, pokazały jej czarną izbę, w której trzymały węgiel, i powiedziały:

– Widzisz, Pietruszko, tę izbę? Kiedy wrócimy wieczorem, musi być biała jak mleko, a na ścianach mają być wymalowane wszystkie ptaki, jakie tylko latają w powietrzu. Jak nie, to cię zjemy.

Odeszły i zostawiły Pietruszkę w rozpacz, całą we łzach.

Nagle ktoś puka do drzwi. Pietruszka idzie otworzyć, pewna, że to wracają wróżki i że nadchodzi jej ostatnia godzina. Ale zamiast nich wszedł

Memé, krewniak wrózek.

– Czemu płaczesz, Pietruszko? – spytał.

– I ty byś płakał – odpowiedziała Pietruszka – gdybyś musiał pobielić tę czarną izbę tak, żeby była biała jak mleko, i wymalować na ścianach wszystkie ptaki, jakie latają w powietrzu, zanim przyjdą wróżki. Bo jak nie, to mnie zjedzą!

– Jeżeli mnie pocałujesz – rzekł Memé – to zrobię to wszystko.

A Pietruszka odpowiedziała:

*Chcesz całusa od Pietruszki?*

*Wolę, by mnie zjadły wróżki!*

– Odpowiedź ma tyle wdzięku – rzekł Memé – że i tak wszystko zrobię.

Skinął różdżką czarodziejską i izba zrobiła się cała biała i wymalowana w ptaki, tak jak powiedziały wróżki.

Memé odszedł, a wróżki wróciły.

– Jakże tam, Pietruszko, zrobiłaś, co miałaś zrobić?

– Tak, spójrzcie, proszę.

Wróżki spojrzały po sobie.

– Powiedz prawdę, Pietruszko: tutaj był nasz krewniak Memé.

A Pietruszka:

*Anim krewniaka tu nie widziała,*

*Ani mi mama nie pomagała.*

Nazajutrz wróżki naradzały się:

– Co zrobić, żeby ją zjeść? Hej, Pietruszko!

– Słucham!

– Jutro rano pójdziesz do wróżki Morgany i powiesz jej, żeby ci dała szkatułkę Kuglarza.

– Dobrze – odpowiedziała Pietruszka i rano ruszyła w drogę.

W drodze spotkała Memé, krewniaka wrózek, który spytał jej:

– Dokąd idziesz, Pietruszko?

– Do wróżki Morgany po szkatułkę Kuglarza.

– To nie wiesz, że ona cię zje?

– Lepiej tak dla mnie, raz będzie temu koniec.

– Masz tu dwa garnki ze smalcem – rzekł Memé – znajdziesz bramę, która bije skrzydłami, posmaruj ją, a pozwoli ci przejść. Tu masz dwa bochenki chleba; spotkasz dwa gryzące się psy; rzucisz im po bochenku, a pozwolą ci przejść. Tu masz dratwę i szydło; spotkasz szewca, który do łątania butów wyrywa sobie włosy i brodę; daj mu to, a pozwoli ci przejść. A tutaj masz miotły; spotkasz piekarsową, która wymiata piec rękami; daj jej miotły, a pozwoli ci przejść. Tylko zwijaj się rażno.

Pietruszka wzięła smalec, bochenki, dratwę i miotły i dała je bramie, psom, szewcowi i piekarsowej, a wszyscy jej dziękowali. Wyszła na plac, a na placu stał pałac wróżki Morgany. Pietruszka zapukała.

– Poczekaj, dziecko – rzekła wróżka Morgana – poczekaj trochę.

Ale Pietruszka, pamiętając, że ma się rażno zwijać, pobiegła schodami na górę, zobaczyła szkatułkę Kuglarza, chwyciła ją i w nogi.

Wróżka Morgana, słysząc, że Pietruszka ucieka, wychyliła się przez okno.

– Piekarsowo, która wymiatasz piec rękami, zatrzymaj tę dziewczynę, zatrzymaj ją!

– Głupia bym była! Tyle lat się męcę, a dopiero ona dała mi miotły do wymiatania pieca!

– Szewcze, który szyjesz buty własnymi włosami! Zatrzymaj tę dziewczynę, zatrzymaj ją!

– Głupi bym był! Tyle lat się męcę, a dopiero ona dała mi szydło i dratwę!

– Psy, które się gryziecie! Zatrzymajcie tę dziewczynę!

– Głupie byśmy byli! Dała nam po bochenku chleba!

– Bramo, która bijesz skrzydłami! Zatrzymaj tę dziewczynę!

– Głupia bym była! Posmarowała mnie od stóp do głów!

I Pietruszka przeszła. Gdy tylko znalazła się w bezpiecznym miejscu, zapytała się w duchu: „Co w tej szkatułce Kuglarza może być?” i nie umiała się oprzeć pokusie, by ją otworzyć.

Ze środka wyskoczył cały zastęp malutkich ludków z orkiestrą, ruszył naprzód przy dźwiękach muzyki i nie chciał się już zatrzymać. Pietruszka usiłowała zawrócić ich do szkatułki, ale chwyciła jednego, a dziesięciu innych się jej wymykało. Wybuchnęła płaczem i właśnie w tej chwili nadszedł Memé.

– Ach, ty ciekawska! – zawołał. – Widzisz, co narobiłaś?

– Och, chciałam tylko zobaczyć...

– Teraz już przepadło. Ale jeżeli mnie pocałujesz, to temu zaradzę.

A ona:

*Chcesz całusa od Pietruszki?*

*Wolę, by mnie zjadły wróżki!*

– Powiedziałaś to tak skromnie, że i tak ci pomogę.

Skinął różdżką czarodziejską i wszyscy ludkowie wrócili do szkatułki Kuglarza.

Wróżki, usłyszawszy, że Pietruszka puka do drzwi, poczuły się zawiedzione.

– Jak to się stało, że wróżka Morgana jej nie zjadła?

– Dzień dobry – powiedziała Pietruszka. – Przyniosłam szkatułkę.

– A to zuch z ciebie... I co ci powiedziała wróżka Morgana?

– Że przesyła wam serdeczne pozdrowienia.

– Rozumiemy! – rzekły wróżki po cichu. – Mamy ją zjeść same.

Wieczorem odwiedził je Memé.

– Wiesz, Memé? – rzekły doń. – Wróżka Morgana nie zjadła Pietruszki. Musimy zjeść ją same.

– Ach, to dobrze! – zawołał Memé. – To bardzo dobrze!

– Jutro, kiedy wszystko w domu zrobi, każemy jej postawić na ogniu wielki kocioł do prania i kiedy zakipi, wrzucimy ją do środka.

– Tak, tak – rzekł Memé. – To dobra myśl.

Kiedy wróżki wyszły, Memé poszedł do Pietruszki.

– Wiesz, Pietruszko, chcę cię wrzucić do kotła, kiedy zakipi. Ale ty powiesz, że nie ma drzewa i że idziesz po nie do piwnicy. Potem przyjdę tam ja.

Wróżki powiedziały więc Pietruszce, że trzeba zrobić pranie, i kazały jej postawić kocioł na ogniu. Pietruszka rozpałała ogień, a potem rzekła:

– Ale nie ma prawie nic drzewa.

– Idź do piwnicy i przynieś.

Pietruszka zeszła i usłyszała:

– Jestem tu już, Pietruszko.

Był to Memé. Ujął ją za rękę i powiódł do miejsca w głębi piwnicy, gdzie płonęło wiele światełek.

– To są dusze wrózek. Dmuchnij!

Zaczęli dmuchać, a za każdym zgaszonym światełkiem umierała jedna wróżka.

Zostało tylko jedno światło, największe ze wszystkich.

– To jest dusza wróżki Morgany!

Zaczęli dmuchać razem ze wszystkich sił, póki go nie zgasili i w ten sposób stali się panami wszystkiego.

– Teraz zostaniesz moją żoną – rzekł Memé i Pietruszka wreszcie go pocałowała.

Poszli do pałacu wróżki Morgany; szewca zrobili księciem, piekarczową – margrabiną; psy wzięli do siebie do pałacu, a bramę zostawili, gdzie była, pamiętając tylko, by ją od czasu do czasu smarować.

*Szczęścia, bogactw używali,  
A mnie nic nie darowali.*

*FLORENCJA (TOSKANIA)*





---

## ŁÓDŹ ŻEGLUJĄCA PO MORZU I ŁĄDZIE

**P**ewien Król ogłosił raz taki edykt:

„Kto zbuduje łódź żeglującą po morzu i łądzie, otrzyma moją córkę za żonę”.

Żył w tym kraju człowiek, który miał trzech synów, a za cały majątek konia, osła i wieprza. Najstarszy syn, zasłyszawszy o edykcie, rzekł do ojca:

– Ojcze, sprzedaj konia, za otrzymane pieniądze kup mi narzędzia do budowania łodzi, a za pomocą narzędzi do budowania łodzi zbuduję łódź żeglującą po morzu i łądzie i poślubię Królową.

I tak długo nalegał, aż ojciec dla świętego spokoju sprzedał konia i kupił mu narzędzia. Syn wstał rano, wziął narzędzia i poszedł do lasu ścinać drzewa na łódź.

Kiedy zbudował już pół łodzi, przechodził мимо jakiś staruszek.

– Co takiego robisz, synu?

A on:

– To, co mi się podoba.

A staruszek:

– A co ci się podoba?

A on:

– Klepki na beczkę!

– No to będziesz miał gotowe klepki na beczkę – odpowiedział staruszek i odszedł.

Najstarszy syn, wróciwszy rano do lasu, gdzie zostawił łódź w połowie gotową, drzewo i narzędzia, znalazł tylko stos klepek na beczkę. Wrócił do domu, płacząc rzewnymi łzami, i opowiedział ojcu o nieszczęściu, jakie go spotkało. Możecie sobie wyobrazić, jaki wściekły był ojciec, który pozbył się konia, by uczynić zadość jego zachciance! Mało brakowało, a byłby go zatłukł!

Nie minął miesiąc, a myśl, żeby spróbować zbudować łódź, wpadła do głowy średniemu synowi. Zaczął chodzić koło ojca i tak się naprzykrzać, że ojciec musiał pozbyć się osła, by kupić mu potrzebne narzędzia. I on także wziął narzędzia i poszedł do lasu ścinać drzewa. Kiedy zbudował pół łodzi, przechodził мимо ów staruszek i spytał:

– Co robisz, piękny chłopcze?

A on:

– To, co mi się chce.

A staruszek:

– A co ci się chce?

– Kijów do miotły!

– No to będziesz miał gotowe kije do miotły! – rzekł staruszek i skręcił w bok.

Średni syn idzie wieczorem do domu, je, śpi, a rano o świcie wraca do lasu. Tam zdarzyło mu się to samo, co bratu: znalazł tylko stos kijów do miotły.

Ojciec, kiedy także średni syn przyszedł doń zrozpaczony, by opowiedzieć mu, co się stało, krzyknął:

– Dobrze ci tak! Dobrze tak wam obu, skoro się was takie pomysły trzymają! I dobrze tak mnie, żem was usłuchał!

Wtedy najmłodszy, który przy tym był, rzekł:

– Skoro powiedzieliśmy „a”, to musimy powiedzieć „b”: ojcze, pozwól i mnie spróbować. Sprzedajmy wieprza i kupmy nowe narzędzia. Kto wie,

czy to, co nie udało się im, nie uda się mnie.

Krótko mówiąc, sprzedano wieprza i najmłodszy syn dostał narzędzia, by pójść do lasu. Kiedy zbudował już pół łodzi, zjawił się ten sam staruszek, co przedtem.

– Co robisz, synu?

A on:

– Buduję łódź żeglującą po morzu i lądzie.

Wtedy staruszek powiada:

– No to będziesz miał gotową łódź żeglującą po morzu i lądzie.

I odszedł.

Chłopiec idzie wieczorem do domu, je, śpi, a o świcie wraca. Znalazł łódź wykończoną we wszystkich szczegółach, z rozwiniętymi żaglami, wszedł do niej, rzekł: „Żegluj, łodzi, po lądzie” i łódź, gładko jak po wodzie, zaczęła żeglować przez las, wzięła kierunek ku domowi, i ukazała się ojcu i braciom, którzy na ten widok zdębieli.

Najmłodszy syn, ciągle mówiąc: „Żegluj, łodzi, po lądzie”, wzięł kierunek ku królewskiemu pałacowi. Kiedy trzeba było przebyć rzekę, łódź płynęła, kiedy trzeba było przejechać przez równiny lub góry, łódź sunęła lekko po ziemi.

Łódź już chłopiec miał, ale brakowało mu załogi. Dotarł do jakiejś rzeki w miejscu, w którym wpadała do niej mniejsza rzeczka. Ale woda rzeczki nie dopływała do rzeki, bo trochę powyżej klęczał na brzegu olbrzym, który ją wszystką wypijał.

– Do licha, pijesz jak żuraw! – powiada doń chłopiec. – Nie pojechałbyś ze mną? Zawiozę cię do pałacu królewskiego.

Olbrzym wypił jeszcze łyk, zagulgotał i odpowiedział:

– Chętnie, kiedy już trochę zaspokoilem pragnienie – i wszedł do łodzi.

Łódź żegluje po wodzie, żegluje po ziemi i dojeżdża do miejsca, gdzie drugi olbrzym kręci nad ogniem kij, a na kij nawleczona jest cała krowa.

– Hej! – zawołał doń chłopiec z łodzi. – Chcesz jechać ze mną do pałacu królewskiego?

A olbrzym:

– Nie mogę się stąd ruszyć.

– Dlaczego nie możesz się ruszyć?

– Bo podtrzymuję plecami górę, inaczej by runęła.

– No to niech runie.

Olbrzym przytrzymał górę dłonią i wskoczył do łodzi. Łódź ledwie się oddaliła, kiedy – buum! rozległ się huk: góra runęła.

Łódź pozęglowała przez drogi i wzgórza i dotarła do pałacu królewskiego; chłopiec wysiada i mówi:

– Najjaśniejszy panie, zbudowałem łódź żeglującą po morzu i lądzie. Teraz więc ty dotrzyмай obietnicy i daj mi swoją córkę za żonę.

Król, który się tego nie spodziewał, stropił się i pożałował, że wydał taki edykt. Teraz wypadało dać córkę jakiemuś łapserdakowi, którego nawet nie znał!

– Dam ci córkę – odpowiedział – pod warunkiem, że ty i twoja świta zjecie obiad, jaki dla was wydam, nie zostawiając jednego kurzego skrzydełka i ani jednego rodzynka.

– Zgoda. Kiedy będzie ten obiad?

– Jutro.

I kazał przygotować obiad z tysiąca dań. „Ten oberwaniec – myślał – na pewno nie ma takiej świty, która by to wszystko zjadła”.

Chłopiec przyszedł tylko z jednym człowiekiem ze świty: z owym olbrzymem, który zjadał krowy jak gdyby to były drozdy. Olbrzym je, je, zjadł jedną po drugiej dziesięć potraw, potem połknął sto, pożarł tysiąc; a Król, który patrzył na to bez słowa, otrząsnął się, by spytać służących:

– Nic już nie zostało w kuchni?

– Trochę resztek.

Przyniesiono te resztki do stołu, a olbrzym zmiotł nawet okruszki.

– Rozumie się, że poślubisz moją córkę, przedtem jednak chcę postawić twojej świecy wszystkie wina z mojej piwnicy; ale musicie wypić wszystko, nie zostawiając ani kropli w kieliszku.

Przyszedł olbrzym, który wypijał rzeki, i wysączył beczkę, potem baryłkę, potem gąsiorek; w końcu dobrał się nawet do dwóch antałów małmazji, które Król ukrył, chcąc je zachować dla siebie, i wypił oba.

– Jasne – rzekł Król – że nie mam nic przeciw temu, by ci dać moją córkę. Ale moja córka ma wyprawę: komody, kredensy, łóżko, umywalnię, bieliznę, skrzynie ze skarbami i wszystko, co jest w domu. Musisz to zabrać na raz, natychmiast, z moją córką na wierzchu.

– Mógłbyś zrobić mały wysiłek? – spytał chłopiec olbrzymia, który podpierał góry.

– Z przyjemnością! – odrzekł tamten. – Przepadam za tym!

Idą do pałacu.

– Jesteście gotowi? – spytał olbrzym tragarzy. – Tak? No to ładujcie mi rzeczy na plecy. Zaczęli ładować szafy, stoły, skrzynie z klejnotami, zrobiła się z tego na plecach olbrzymia góra sięgająca dachu, a Królowna, by się na nią wspinać, musiała wejść na wieżę. Kiedy była już na górze, olbrzym rzekł:

– Niech się wasza miłość mocno trzyma!

I ruszył pędem, dobiegł z całym brzemieniem do łodzi i wskoczył na pokład.

Chłopiec rzekł:

– Teraz się zwijaj, łodzi moja!

I łódź zaczęła śmigać przez plac, przez ulice, przez pola.

Król, który patrzył na to ze swojej loggii, krzyczy:

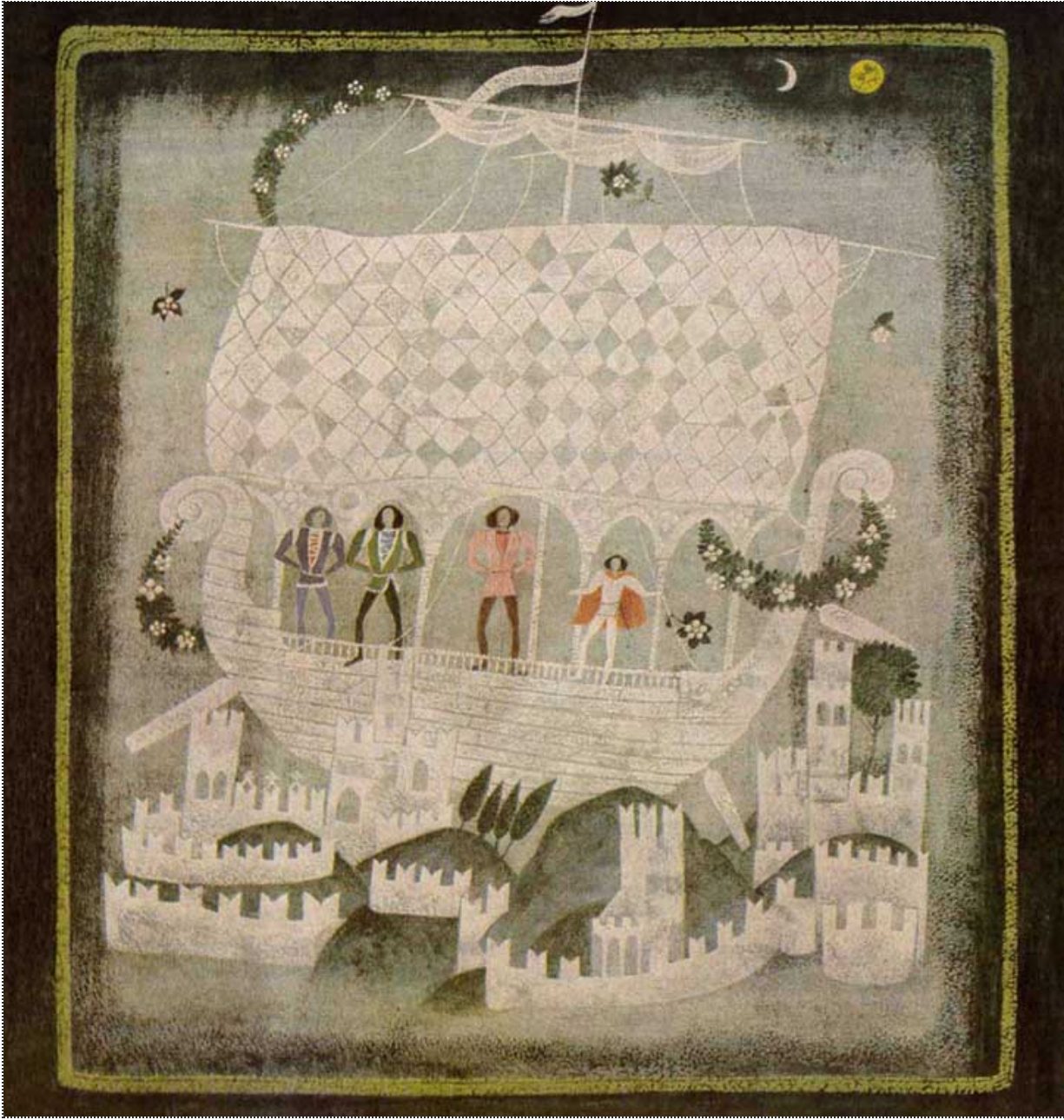
– Szybko, gońcie ich, chwytajcie, przyprowadźcie mi ich w kajdanach!

W pościg ruszyło wojsko, ale po to tylko, żeby łykać kurzawę, jaką wzbijała za sobą łódź, i ustać w pół drogi z wywieszonym językiem.

Ojciec chłopca, widząc najmłodszego syna wracającego w łodzi pełnej dostatków i z Królowną w ślubnej sukni, uradował się w sercu. Chłopiec kazał zbudować pałac, który był cudem świata, dał jedno piętro ojcu i braciom i po jednym każdemu ze swoich towarzyszy, a całą resztę zatrzymał dla siebie i Królowny, swojej żony.

*RZYM (LACJUM)*





## NEAPOLITAŃSKI ŻOŁNIERZ

Trzech żołnierzy zbiegło z pułku i puściło się w pola. Jeden był rzymianinem, drugi florentczykiem, a najmłodszy – neapolitańczykiem. Kiedy już przewędrowali okolicę wzdłuż i wszerz, zaskoczyła ich w lesie noc. Rzymianin, który był najstarszy, rzekł:

– Chłopcy, nie możemy spać wszyscy trzej, każdy musi godzinę stać na straży.

Pierwszy stanął on, podczas gdy tamci dwaj, zrzuciwszy plecaki na ziemię i rozłożywszy koce, zabrali się do spania. Godzina prawie się skończyła, kiedy z lasu wyszedł olbrzym.

– Co ty tutaj robisz? – spytał żołnierza.

A rzymianin, nie spojrzawszy mu nawet w twarz:

– Nie twoja rzecz!

Olbrzym rzuca się na niego, ale żołnierz, szybszy od napastnika, dobywa szabli i ucina mu głowę. Potem jedną ręką bierze głowę, drugą tułów i idzie rzucić wszystko do studni. Czyści dobrze szablę, wkłada ją z powrotem do pochwy i woła kolegę, który miał go zluzować. Ale nim go zbudził, pomyślał: „Lepiej nic mu nie powiem, bo inaczej ten florentczyk przestraszy się i czmychnie”. Toteż kiedy zbudzony florentczyk spytał go: – Widziałeś co? – odpowiedział mu: – Nie, wszystko w porządku – i poszedł spać.

Florentczyk stanął na straży i także jemu, właśnie kiedy miała się skończyć jego godzina, ukazał się olbrzym, taki sam jak tamten, i spytał go:

– Co tutaj robisz?

A on:

– To moja rzecz.



Olbrzym rzuca się na niego, ale żołnierz uprzedza go i jednym cięciem szabli odrąbuje mu głowę od tułowia. Potem bierze głowę, bierze tułów i wrzuca wszystko do studni. Nadeszła pora zmiany straży i pomyślał: „Lepiej nic nie będę mówił temu tchórzliwemu neapolitańczykowi. Jak się dowie, że tutaj zdarzają się takie rzeczy, weźmie nogi za pas i tyle go będziemy widzieli”.

I rzeczywiście, kiedy neapolitańczyk spytał go: – Nic ci się nie przydarzyło? – odpowiedział mu: – Nic, możesz być spokojny – i poszedł spać.

Neapolitański żołnierz stał już na straży prawie godzinę, a w lesie było całkiem cicho. Naraz dają się słyszeć w gęstwinie kroki i wychodzi olbrzym.

– Co tutaj robisz?

– A ciebie co to obchodzi? – odpowiedział neapolitańczyk.

Olbrzym wzniosł nad nim pięść, tak że zgniótłby go na miazgę, ale żołnierz był szybszy, podniósł szablę i odciął mu równo głowę. Potem wziął go i wrzucił do studni. Był już czas, by z kolei zbudzić rzymianina, ale pomyślał: „Wpierw zobaczę, skąd przyszedł ten olbrzym”. I zagłębił się w las. Spostrzegł światło i zbliżył się do jakiegoś domku. Przyłożył oko do dziurki od klucza i zobaczył trzy staruszki rozmawiające koło ognia.

– Wybiła północ, a naszych mężów nie widać – mówiła jedna starka.

– Może się im coś stało? – mówiła druga.

A trzecia:

– Może by tak wyjść naprzeciw nich, jak się wam zdaje?

– Chodźmy zaraz – rzekła pierwsza – wezmę latarnię, przy której można widzieć o tysiąc mil.

– A ja – powiedziała druga – wezmę miecz, który za każdym obrotem kładzie trupem całe wojsko.

A trzecia:

- A ja strzelbę, z której można zastrzelić wilczycę z pałacu królewskiego.
- Chodźmy.

I otworzyły drzwi.

Neapolitańczyk czekał na nie za drzwiami ze swoją szablą. Wyszła pierwsza z latarnią w ręce, a żołnierz, łup! – wyprawił ją na tamten świat tak, że nie zdążyła nawet zipnąć. Wyszła druga i, łup! – już gryzie ziemię. Wyszła trzecia i, łup! – już po niej.

Żołnierz miał teraz latarnię, miecz i strzelbę czarownic i postanowił je zaraz wypróbować. „Zobaczymy, czy to prawda, co mówiły te zdzięcinniełe starki”. Podniósł latarnię i ujrzał, że o sto mil stoi wojsko w ordynku bojowym, z dzidami i tarczami, i broni jakiegoś zamku, a w zamkowej loggii stoi uwiązana na łańcuchu wilczyca z płomienistymi oczami. „A teraz ciekaw jestem, co wart jest ten miecz” – rzekł do siebie żołnierz. Podniósł miecz i wywinął nim w powietrzu. Potem wziął znów latarnię i popatrzał: wszyscy żołnierze leżeli na ziemi martwi, z połamanymi dzidami, nogi koni sterczały w górę. Wtedy wziął strzelbę i strzelił do wilczycy, która padła na miejscu bez życia.

- Teraz pójde przyglądnąć się wszystkiemu z bliska – rzekł żołnierz.

Szedł, szedł, aż doszedł do zamku. Puka, woła, nikt nie odpowiada. Otworzył drzwi, przestąpił próg, obszedł wszystkie komnaty, nie spotykając żywej duszy. Aż w najpiękniejszej komnacie, na aksamitnym fotelu, zobaczył uśpioną piękną dziewczynę.

Żołnierz podszedł do niej, ale ona spała dalej. Z nogi zsunął się jej pantofelek. Żołnierz podniósł go i włożył sobie do kieszeni. Potem pocałował ją i odszedł na palcach.

Ledwie odszedł, dziewczyna się zbudziła. Zawołała na dworki, które były w sąsiedniej komnacie, także uśpione. Dworki też się obudziły i przybiegły.

- Czar przełamany! Czar przełamany! Zbudziłyśmy się! Królowa się zbudziła! Kim może być ten rycerz, który nas uwolnił?

– Prędko – rzekła Królowna – wyglądajcie przez okno, czy nie zobaczycie kogoś.

Dworki wyglądnęły i zobaczyły rozgromione wojsko i zabitą wilczycę. Wtedy Królowna rzekła:

– Prędko, biegnijcie do miłościwego pana, mego ojca, i powiedzcie mu, że przybył jakiś waleczny rycerz, pobił wojsko, które trzymało mnie w niewoli, zabił wilczycę, która mnie strzegła, i pocałunkiem zdjął ze mnie czar.

Spojrzała na swoją bosą stopę i dodała:

– A nadto zabrał mi pantofelek z lewej nogi.

Uszczęśliwiony Król kazał rozlepić w całym kraju ogłoszenia:

„Kto stawi się jako wybawca mojej córki, temu dam ją za żonę, czy to będzie książę, czy łapserdak”.

Tymczasem neapolitańczyk wrócił do kolegów i był już dzień. Zbudził ich.

– Dlaczego nie zawołałeś nas wcześniej? Ile godzin sterczałeś na straży?

Neapolitańczyk nie miał ochoty opowiadać wszystkiego i odrzekł:

– I tak nie chciało mi się spać, więc sterczałem.

Minęło wiele dni, a w kraju Królowny nikt się jeszcze nie stawiły by ubiegać się o jej rękę jako jej prawowity wybawca.

– Jak się to dzieje? – pytał się Król.

Królownie przyszła do głowy myśl.

– Ojczy, zróbmy tak: otwórzmy za miastem karczmę z łózkami do spania i wypiszmy na szyldzie: „Tu się przez trzy dni za darmo je, pije i śpi”. Zatrzymać się w niej będzie wiele ludzi i na pewno się czegoś dowiemy.

Tak też uczynili i Królowna została karczmarką. I oto nadchodzą trzej żołnierze, głodni jak wilki. Przechodzą mimo, śpiewając, jak to czynili zawsze, nawet kiedy musieli zaciskać pasa, czytają napis i neapolitańczyk powiada:

– Chłopcy, tu się za darmo je i śpi.

A koledzy:

– Tak, wierz w to! Piszą tak, żeby nabierać ludzi.

Ale w drzwiach stanęła Królowna-karczmarka i zaprosiła ich, by weszli, bowiem to, co głosi napis, jest prawdą. Żołnierze weszli, a Królowna podała im pańską wieczerzę. Potem usiadła z nimi przy stole i rzekła:

– Przychodzicie pewnie z daleka, opowiedzcie coś nowego. Ja siedząc ciągle tutaj, nigdy nie wiem, co się dzieje na świecie.

– Co możemy ci opowiedzieć? – odrzekł rzymianin. I, tak sobie, udając skromnego, opowiedział jej, jak to stał na straży i ukazał mu się olbrzym, i jak uciął olbrzymowi głowę.

– Patrzcie! – zawołał florentczyk. – I mnie się to samo zdarzyło.

I opowiedział także o swoim olbrzymie.

– A ty? – spytała Królowna neapolitańczyka. – Tobie się nic nie zdarzyło?

Koledzy zaczęli się śmiać:

– Co miałyby mu się zdarzyć? Ten nasz przyjaciel to tchórz, jak usłyszy w nocy, że liść się rusza, to ucieka i nie można go znaleźć przez cały tydzień.

– Dlaczego tak oczerniacie tego biedaka? – spytała dziewczyna i nalegała, żeby i on coś opowiedział.

Wtedy neapolitańczyk rzekł:

– Jeśli chcecie wiedzieć, to i mnie, kiedy spaliście, ukazał się olbrzym, a ja go zabiłem.

– Kto by w to uwierzył! – odpowiedzieli koledzy śmiejąc się szyderczo. – Gdybyś go tylko zobaczył, umarłbyś ze strachu! Dostyć, nie chcemy nic więcej słyszeć. Chodźmy spać.

I zostawili go samego z karczmarką.

Karczmarka nalewała neapolitańczykowi do picia i zachęcała go, by dalej opowiadał. I w ten sposób, po trochu, wszystko jej opowiedział: o trzech

staruszkach, o latarni, o strzelbie, o mieczu i o uśpionej pięknej dziewczynie, którą pocałował, i o tym, jak zabrał jej pantofelek.

– A masz jeszcze ten pantofelek?

– Mam – odpowiedział żołnierz wyciągając go z kieszeni.

Wtedy uradowana Królowna zaczęła mu znowu nalewać do picia, póki nie zasnęła, potem powiedziała do usługującego chłopca:

– Zanieś go do tego pokoju, który kazałam umyślnie przygotować, zdejmij z niego mundur i połóż mu na krześle królewskie szaty.

Neapolitańczyk zbudził się rano w komnacie całej ze złota i brokatu. Wstał, by poszukać swego munduru, i znalazł królewskie szaty. Uszczypnął się, by sprawdzić, czy nie śni, i nie mogąc sam się w tym wszystkim połapać, zadzwonił.

Weszli z głębokimi ukłonami trzech lokaje w liberii.

– Co wasza wysokość rozkaże? Czy wasza wysokość dobrze wypoczął?

Neapolitańczyk zrobił okrągłe oczy.

– Czyście poszaleli? Co za wysokość? Dajcie mi mój mundur, bo chcę się ubrać, i skończmy z tą krotochwilą.

– Niech wasza wysokość się uspokoi. Wasza wysokość pozwoli się ogolić i uczesać.

– Gdzie są moi koledzy? Gdzie schowaliście moje rzeczy?

– Zaraz przyjdą, zaraz wszystko się znajdzie, ale niech wasza wysokość pozwoli się ubrać.

Kiedy żołnierz zobaczył, że nie ma innego sposobu, by się od nich uwolnić, dał się ogolić, uczesać i ubrać w królewskie szaty. Potem przyniesiono mu czekoladę, tort i cukierki. Skończywszy śniadanie, spytał:

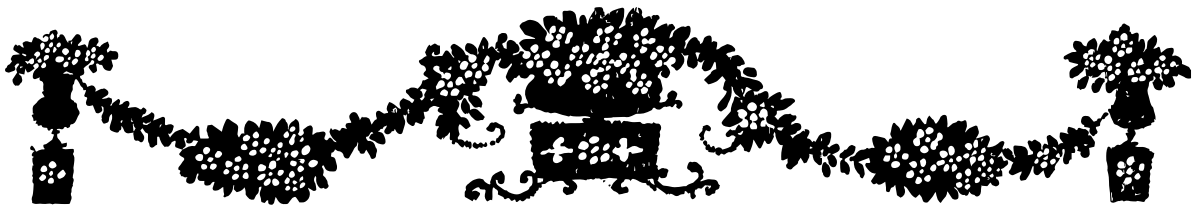
– Czy mogę zobaczyć swoich kolegów?

– Natychmiast, wasza wysokość!

I wpuścili rzymianina i florentczyka, którzy zobaczywszy go tak przyodzianego, otworzyli szeroko usta.

- Cóż się tak przebrał?
  - Nic o tym nie wiecie? I ja też nic nie wiem.
  - Coś ty nabroił? – spytali koledzy. – Musiałeś wczoraj wieczorem naopowiadać karczmarce ładnych bzdur!
  - Żebyście wiedzieli, że żadnych bzdur nikomu nie opowiadałem – odpowiedział neapolitańczyk.
  - No to co to wszystko znaczy?
  - Ja wam powiem, co to znaczy – rzekł Król wchodząc w tej chwili z Królową odzianą w swój najcenniejszy płaszcz. – Moja córka była zaczarowana, a ten chłopiec ją wyzwolił.
- I od słowa do słowa dowiedzieli się o wszystkim, co się zdarzyło.
- Dlatego – rzekł Król – czynię go swoim zięciem i następcą. Co się zaś tyczy was obu, to nie troszczcie się. Zrobię was książętami, bo gdybyście nie zabili dwóch olbrzymów, moja córka nie zostałaby ocalona.
- I sprawiono wesele wśród ogólnej radości.

*RZYM (LACJUM)*



## MIÓD I SŁONECZKO

**B**ył raz ojciec, który miał dwoje dzieci, syna i córkę, a byli tacy piękni i jasnowłosi, że chłopca nazwano Miód, a dziewczynkę Słoneczko. Człowiek ów był ochmistrem na dworze królewskim, a ponieważ Król mieszkał w innym mieście, ojciec musiał przebywać z dala od swych dzieci. Król, który ich nigdy nie widział, słysząc pochwały ich urody, powiedział ochmistrowi:

– Skoro masz takiego pięknego syna, sprowadź go na dwór, a zrobię go paziem.

Ojciec pojechał i przywiózł chłopca, a dziewczynkę zostawił z niańką; Miód został paziem Króla, a Król go bardzo polubił i nawet kiedy ochmistrz z czasem umarł, trzymał go nadal jako pazia w pałacu, a nawet powierzył mu bardzo poufne zadanie odkurzania obrazów w swojej galerii. Odkurzając obrazy, Miód za każdym razem zatrzymywał się, by podziwiać jeden portret kobiety, i Król zastawał go zawsze stojącego przed nim w oczarowaniu z miotełką w ręce.

– Dlaczego się tak wpatrujesz w ten portret?

– Najjaśniejszy panie, ten portret jest kubek w kubek podobny do mojej siostry.

– Nie wierzę ci. Kazałem szukać po całym świecie kobiety, która by była podobna do tego portretu, i nie znalazłem. Jeśli twoja siostra jest do niego podobna, sprowadź ją tutaj, a zostanie moją żoną.

Miód napisał niańce, żeby natychmiast przywiozła mu Słoneczko, bo Król chce ją poślubić, i czekał. Niańka, jeśli jeszcze o tym nie wiecie, miała córkę brzydką jak noc i żółkła z zazdrości, patrząc na piękność Słoneczka. Otrzymawszy rozkaz Miodu, udała się w podróż ze Słoneczkiem i swoją brzydką córką; była to podróż morzem i wszystkie trzy wsiadły do łodzi.



W łodzi Słoneczko usnęła, a mańka zaczęła szemrać:

– Patrzcie, co się dzieje! Jedzie poślubić Króla! Właśnie jej musiało się zdarzyć takie szczęście! Czy nie byłoby lepiej, gdyby Król poślubił moją córkę?

– Dałby to Bóg! – odpowiedziała córka.

A matka:

– Zdaj się na mnie, już ja tego nie daruję tej zbytnicy!

Tymczasem Słoneczko zbudziła się i rzekła:

– Nianiu, jestem głodna.

– Mam tu chleb i śledzia, ale nie wystarczy nawet dla mnie.

– Bądź tak dobra, nianiu, daj mi kawałeczek.

Wtedy ta nikczemnica dała jej kawałek chleba ze śledziem, lecz był to prawie sam śledź, a chleba ledwie okruszyna. Toteż Słoneczko dostała straszego pragnienia; biedactwo nie mogło już wytrzymać i rzekło do niańki:

– Nianiu, chce mi się pić!

A ta nikczemnica:

– Wody mam tylko odrobinę; jak chcesz, to dam ci morskiej wody.

Kiedy Słoneczko nie mogła już oddychać z pragnienia, powiedziała:

– Daj mi choćby morskiej wody – ale po jednym łyku poczuła jeszcze większe pragnienie niż przedtem.

– Nianiu, jeszcze bardziej mi się chce pić!

A ta okrutnica:

– Ja ci dam teraz pić!

Chwyła ją wpół i, chlup! – wrzuciła do morza.

Morzem płynął wieloryb. Zobaczył w wodzie Słoneczko i połknął ją.

Niańka przyjechała do królewskiego portu, a na pomoście stał Miód wypatrując siostry z utęsknieniem. I widzi zamiast niej to brzydactwo, przystrojone już w szaty godowe. Ręce mu opadły.

– Jak to? To ma być moja siostra? Moja siostra o oczach jak gwiazdy? Moja siostra o ustach jak kwiat?

– Ach, mój synu, gdybyś wiedział! – rzekła niańka. – Przebyła ciężką chorobę; zrobiła się taka w ciągu kilku dni.

Wysunął się Król.

– Ach, więc to ma być ta piękność, którą mi tak zachwalałeś? To ma być ta dziewczyna piękna jak słońce? Wygląda jak strach na wróble! Słowo królewskie jest święte i teraz muszę pojąć ją za żonę. Ale ty, paziu od siedmiu boleści, od dzisiaj zmienisz zajęcie i będziesz pasał gęsi.

Król poślubił więc córkę niańki, ale tak się z nią obchodził, iż wydawało się, że to jest pomiotło kuchenne, a nie żona.

Tymczasem Miód pasał gęsi nad brzegiem morza. Siadał na brzegu, patrzył na pływające gęsi i rozmyślał o swoich nieszczęściach, o siostrze, takiej, jaką pamiętał, a jakiej nie udało mu się odnaleźć. I nagle posłyszał jakiś głos z głębi morza:

*O wielorybie, popuść łańcucha,  
Stanę na brzegu, gdzie ziemia sucha,  
By mnie braciszek miły wysłuchał.*

Miód nie mógł zrozumieć, co może znaczyć ten głos, kiedy nagle z głębi morza wynurzyła się przepiękna dziewczyna uwiązana łańcuchem za nogę, dziewczyna kubek w kubek podobna... nawet można by powiedzieć, że to jest... nawet to była z pewnością ona, to była jego siostra Słoneczko, piękniejsza jeszcze niż kiedykolwiek!

– Siostrzyczko, skąd się tutaj wzięłaś?

– Jestem tu przez zdradę niańki, braciszku – i opowiedziała mu o swojej przygodzie, a jednocześnie rzucała gęsiom złoto i perły.

– Co ty opowiadasz, siostrzyczko? – zdumiał się biedny Miód.

– To niańka wrzuciła mnie do morza, a na moje miejsce podstawiła swoją córkę – mówiła Słoneczko i wiązała gęsiom na szyi barwne wstążeczki.

Zapadał wieczór i morze robiło się czarne.

– Do widzenia, braciszku – rzekła Słoneczko i zanurzyła się powoli, ciągniona przez łańcuch, który kończył się w morzu.

Miód spędził przystrojone wstążkami gęsi i ruszył wybrzeżem w drogę powrotną. A gęsi śpiewały:

*Gę, gę, wracamy z morza,  
Złotem, perłami nakarmione.  
Gdyby Król ujrzał to śliczne dziewczę,  
Wziąłby je zaraz za żonę.*

Przechodzący ludzie słuchali i stawali z otwartymi ustami: nigdy nie słyszano gęsi śpiewających w taki sposób. Wieczorem, w królewskim kurniku, gęsi, zamiast spać, śpiewały dalej przez całą noc:

*Gę, gę, przyszłyśmy z morza,  
Złotem, perłami nakarmione.  
Gdyby Król ujrzał to śliczne dziewczę,  
Wziąłby je zaraz za żonę.*

Posłyszał to jeden kuchcik i nazajutrz powiedział Królowi, że gęsi, które były z Miodem na pastwisku, przez całą noc śpiewały tę piosenkę. Król słuchał zrazu roztargniony, potem coraz bardziej zaciekawiony, a na końcu postanowił, że kiedy Miód będzie wyprowadzał swoje gęsi na pastwisko, pójdzie nie widziany za nim.

Ukrył się w trzcinach i posłyszał głos z głębi morza:

*O wielorybie, popuść łańcucha,  
Stanę na brzegu, gdzie ziemia sucha,  
By mnie braciszek miły wysłuchał.*

I z morza wynurzyła się dziewczyna uwiązana łańcuchem za nogę i popłynęła do brzegu. Król, widząc ją taką piękną, wyszedł z trzcin i rzekł:

– To ty jesteś moją prawdziwą żoną!

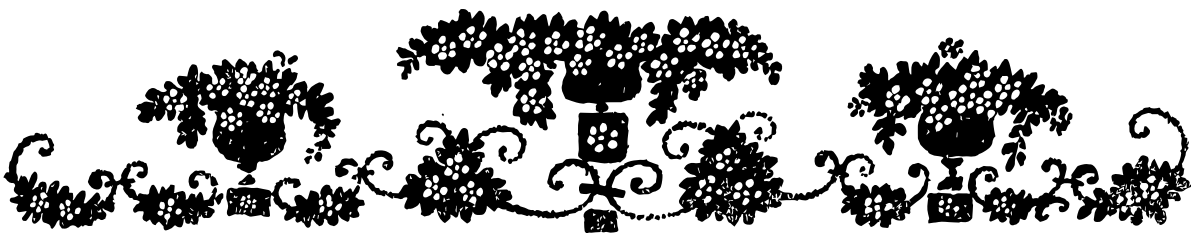
I poznali się, i razem z Miodem jęli się zastanawiać, jak uwolnić ją od wieloryba. Król z Miodem wzięli głaz ważący mniej więcej tyle samo, co

Słoneczko, przecięli łańcuch i przywiązali do łańcucha gład. Król wziął Słoneczko pod rękę i poprowadził do pałacu; z tyłu szedł Miód z orszakiem gęsi, które śpiewały:

*Gę, gę, wracamy z morza,  
Złotem, perłami nakarmione.  
Kiedy Król ujrzał to śliczne dziewczę,  
Wziął je od razu za żonę.*

Niańka i jej córka, gdy tylko usłyszały ten śpiew i ujrzały nadchodzący orszak, uciekły z pałacu i nikt ich więcej nie widział.

*RZYM (LACJUM)*



---

## CICCO PETRILLO

**B** yli raz mąż i żona, którzy mieli córkę i wydali ją za mąż. Na wesele sprosili wszystkich krewnych i po ślubie zasiedli do stołu. Podczas obiadu zabrakło wina. Ojciec rzekł do panny młodej:

– Zejdź do piwnicy i przynieś wina.

Panna młoda idzie do piwnicy, stawia butelkę pod beczką, otwiera czop i czeka, żeby butelka się napełniła. Gdy tak czeka, zaczyna myśleć: „Dzisiaj się wydałam, za dziewięć miesięcy urodzi mi się syn, dam mu na imię Cicco Petrillo, ubiorę go, włożę mu butki, podrośnie... a jak mi umrze? Ach! Biedny synek!” I wybuchnęła płaczem, ale to takim płaczem, że się go nie da opisać.

Tymczasem beczka była wciąż otwarta i wino zalewało piwnicę. Biesiadnicy na górze czekają i czekają, ale panna młoda nie wraca. Ojciec mówi do żony:

– Zejdź no do piwnicy i zobacz, czy ona tam czasem nie zasnęła!

Matka poszła do piwnicy i zastała córkę zanoszącą się od płaczu.

– Co ci się stało, córeczko?

– Ach, mamó, pomyślałam sobie, że dzisiaj wyszłam za mąż, za dziewięć miesięcy urodzę syna i nazwę go Cicco Petrillo; a jak on mi umrze?

– Ach! Biedny wnuczek!

– Ach! Biedny synek!

I obie kobiety wybuchnęły płaczem.

Tymczasem piwnica napełniała się winem. Biesiadnicy, którzy zostali przy stole, czekają na wino, czekają, wina nie ma.

Ojciec powiada:

– Zmorzyło je tam obie, czy co? Pójdę zobaczyć.

Poszedł do piwnicy i zastał obie kobiety płaczące jak bobry. Spytał:

– Co się wam stało, do diabła?

– Ach, mój mężu, gdybyś wiedział! Tak sobie myślimy, że teraz nasza córka wyszła za mąż i wkrótce urodzi syna, i damy synowi na imię Cicco Petrillo; a jak Cicco Petrillo umrze?

– Ach! – krzyknął ojciec. – Biedny nasz Cicco Petrillo!

I zaczęli płakać wszyscy troje, stojąc po kolana w winie.

Pan młody, widząc, że nikt nie wraca, powiada:

– Co, u diabła, oni tam robią na dole? Pozwólcie, że tam pójde – i poszedł do piwnicy.

Usłyszawszy ten płacz pyta:

– Co się stało, u diabła, czemu płaczecie?

A panna młoda:

– Ach, mój mężu! Tak sobie myślimy, że teraz się pobraliśmy i będziemy mieli syna, i damy mu na imię Cicco Petrillo; a jak nam Cicco Petrillo umrze?

Pan młody z początku się zastanawiał, czy to nie żarty, potem, kiedy zrozumiał, że to wszystko naprawdę, rozgniewał się i zaczął krzyczeć:

– Że jesteście trochę pomyleni – powiada – tego się domyślałem, ale żeby aż tak – powiada – tego naprawdę nie przypuszczałem! – powiada. – A teraz będę musiał tracie czas z takimi durniami! – powiada. – Ani mi się śni! Idę w świat! – powiada. – Tak! A ty, moja droga, bądź spokojna, bo mnie więcej nie zobaczysz. Chyba że chodząc po świecie, spotkam trzech jeszcze większych głupców niż wy! – powiada i idzie w świat.

Wyszedł z domu i nawet się nie oglądnął za siebie.

Doszedł do rzeki i ujrzał człowieka, który widłami chciał wybrać orzechy laskowe z łodzi.

– Co ty robisz tymi widłami?  
– Próbuję już chwilę, ale nie udało mi się wyjąć ani jednego.  
– Wierzę! Ale dlaczego nie spróbujesz łopata?  
– Łopata? A prawda, nie pomyślałem o tym.  
– To pierwszy – rzekł do siebie pan młody. – Jeszcze większy bałwan niż cała rodzina mojej żony.

Ruszył dalej i dotarł do drugiej rzeki. Był tam chłop, który usiłował napoić małą łyżką dwa woły.

– Co ty robisz?  
– Tkwią tu już od trzech godzin i nie mogę napoić swoich zwierząt!  
– A dlaczego nie dasz im zanurzyć pyska w wodzie?  
– Pyska w wodzie? Słusznie, nie pomyślałem o tym.  
– To drugi! – rzekł do siebie pan młody i poszedł dalej.

Idzie, idzie, aż ujrzał na wierzchołku morwy kobietę trzymającą w ręce parę spodni.

– Co tam robisz na górze, kumo?  
– Ach, gdybyś wiedział! – odpowiedziała. – Mój mąż umarł, a ksiądz mi powiedział, że poszedł do nieba. Czekam tutaj, aż wróci na dół i wlezie w swoje spodnie.

– To trzecia! – pomyślał pan młody. – Zdaje mi się, że na świecie spotkać można tylko ludzi jeszcze głupszych od mojej żony. Lepiej już wrócę do domu!

Tak też zrobił i był zadowolony, bo, jak powiadają, zawsze może być jeszcze gorzej.

*RZYM (LACJUM)*





---

## GIUSEPPE FUJARA, KTÓRY KIEDY NIE KOPAŁ, TO GRAŁ NA FUJARCE

**B**ył raz młodzieniec, który kiedy nie kopał w polu, to grał na fujarce, a zwał się Giuseppe Fujara. Pewnego razu grał sobie i tańczył, by wypocząć po kopaniu, kiedy naraz ujrzał na miedzy nieżywego człowieka, leżącego pod chmurą much. Wyjął fujarkę z ust, zbliżył się do trupa, odpędził muchy i przykrył go zielonymi gałązkami. Wrócił na miejsce, w którym zostawił motykę, i ujrzał, że motyka zaczęła sama kopać i że spulchniła mu już pół pola. Od owego dnia Giuseppe Fujara stał się najszcześniejszym kopaczem na świecie: kopał, póki się nie zmęczył, potem wyjmował z kieszeni fujarkę, a motyka kopała dalej sama.

Ale Giuseppe Fujara pracował dla ojczyzna, a ojczyzna go nie lubił i koniecznie chciał się go pozbyć z domu.

Dawniej mówił zawsze, że pasierb kopie dobrze, ale mało, teraz zaczął mówić, że kopie dużo, ale źle. Wtedy Giuseppe Fujara wziął fujarkę i poszedł precz.

Obszedł wszystkich gospodarzy, ale nikt nie dał mu pracy. W końcu napotkał starego żebraka i jego także, w imię litości, poprosił o pracę, inaczej umrze z głodu.

– Chodź ze mną – odpowiedział żebrak – będziemy dzielić się jałmużną.

Tak to Giuseppe Fujara zaczął chodzić z żebrakiem i obaj śpiewali:

*Matka Boska patrzy z nieba,  
Dajcie biednym skibkę chleba!*

Wszyscy jednak dawali jałmużnę starcowi, a Fajarze mówili:

- Taki młody i chodzi po prośbie? Dlaczego nie pójdziesz pracować?
- Nie mogę znaleźć pracy – odpowiadał Giuseppe Fajara.
- Głupie gadanie! Król ma wiele ziemi leżącej odłogiem i dobrze by zapłacił temu, kto by ją uprawił.

Giuseppe Fajara poszedł na ugory Króla i zabrał ze sobą starca, który zawsze dzielił z nim swoją jałmużnę. Ziemie Króla nie były nigdy przez nikogo uprawiane; Giuseppe Fajara skopał je, obsiał zbożem, oczyścił zboże z chwastów i potem je zżął. A kiedy był zmęczony żęciem, grał na fujarce, kiedy zaś był zmęczony graniem, śpiewał:

*Weseli się kosa, weseli, raduje,  
Bo mi pan gospodarz córkę obiecuje!*

Królewna, usłyszawszy śpiew, wyglądnęła przez okno: ujrzała Giuseppa Fajarę i zakochała się w nim. Ale ona była Królewną, a on parobkiem; było niemożliwą rzeczą, by Król zgodził się na małżeństwo. Dlatego postanowili razem uciec.

Uciekli łodzią, w nocy. Byli już na pełnym morzu, kiedy Giuseppe Fajara przypomniał sobie o żebraku. Rzekł do ukochanej:

- Muszę poczekać na starego: dzielił się ze mną swoją jałmużną. Nie mogę go tak zostawić.

I w tej chwili zobaczyli starca idącego za nimi. Kroczył po wodzie, jak kroczy się po ziemi, a kiedy doszedł do łodzi, rzekł:

- Umówiliśmy się, że będziemy dzielić się wszystkim, co będziemy mieć, i ja zawsze dzieliłem się z tobą tym, co miałem. Teraz ty masz Królewnę: musisz podzielić się nią ze mną po połowie.

I dał Giuseppowi Fajarze nóż, aby przeciął oblubienicę na dwoje.

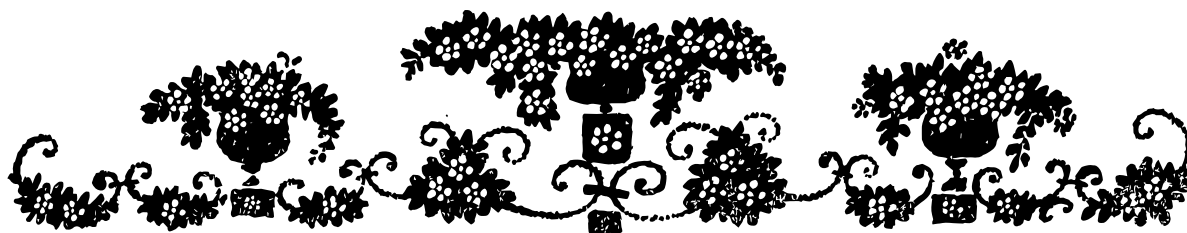
Giuseppe Fajara wziął drżącą ręką nóż.

- Masz słusność – rzekł – masz słusność – i miał już przeciąć oblubienicę na dwoje, kiedy starzec powstrzymał mu rękę.

– Wstrzymaj się: poznałem, żeś człek sprawiedliwy. Wiedz, że to ja jestem tym zmarłym, którego przykryłeś zielonymi gałęzmi. Jedźcie i bądźcie zadowoleni i szczęśliwi.

Starzec odszedł, krocząc po morzu. Łódź dopłynęła do wyspy pełnej wszelakich dostatków, z książęcym pałacem oczekującym nowożeńców.

*ABRUZJA*



---

## PÓŁNOCNA WICHURA I POŁUDNIOWY WIATR

**P**ółnocnej Wichurze zachciało się raz wyjść za mąż. Poszła do Południowego Wiatru i spytała go:

– Mości Wietrze, chcesz zostać moim mężem?

Południowy Wiatr był łasy na pieniądze, kobiety zaś go nie nęciły. Toteż odpowiedział bez ogródek:

– Nie, jejmość Wichuro, bo nie masz ani grosza posagu.

Wichura, dotknięta do żywego, zaczęła dąć ze wszystkich sił, nie zatrzymując się ani na chwilę, tak że omal jej płuca nie pękły. Dęła trzy dni i trzy noce z rzędu i przez trzy dni i trzy noce padał gęsty śnieg: wszystkie pola, góry i wsie pokryły się śniegiem.

Kiedy skończyła rozpościerać wokół swoje srebro, powiedziała do Południowego Wiatru:

– Masz tu mój posag, skoro mówiłeś, że go nie mam! Wystarczy ci?

I poszła wypocząć po trudach trzydniowego dęcia.

Wiatr nie powiedział ani tak, ani nie; wzruszył ramionami i zaczął dąć. Dął trzy dni i trzy noce i przez trzy dni i trzy noce ogrzewał pola, góry i wsie ciepłym tchnieniem, które stopiło śnieg do ostatniego płatka.

Północna Wichura, wypocząwszy dobrze, zbudziła się i zobaczyła, że z jej posagu nic nie pozostało. Pobiegła do Południowego Wiatru.

– Gdzież się podział cały twój posag, jejmość Wichuro? – szydził Wiatr. – Cóż, chcesz mnie jeszcze za męża?

Wichura odwróciła się do niego plecami.

– Nie, mości Wietrze, nie chcę być twoją żoną, bo w jeden dzień potrafisz roztrwonić cały mój posag.

*MOLISE (ABRUZJA)*

---

## ERIK, KROK I HAK

**B**yło raz trzech złodziei, Krik, Krok i Hak. Założyli się, który z nich jest najzręczniejszym złodziejem. Puścili się w drogę; Krik, który szedł przodem, zobaczył srokę wysiadującą jaja w gnieździe na wierzchołku drzewa. Spytał:

– Chcecie zobaczyć, jak wyjmę spod niej jaja, tak że się nawet nie spostrzeże?

– Dobrze, pokaż nam to!

Krik wylazł na drzewo, aby ukraść jaja, a kiedy je wykładał, Krok obciął mu obcasy od trzewików i ukrył je w swoim kapeluszu. Ale zanim z powrotem nałożył sobie kapelusz na głowę, Hak już mu je ukradł. Krik zszedł z drzewa i rzekł:

– Ja jestem najzręczniejszym złodziejem, bo ukradłem spod sroki jaja.

A Krok:

– Najzręczniejszy jestem ja, bo obciąłem ci obcasy od trzewików, tak że się nawet nie spostrzegłeś.

I zdjął kapelusz, by pokazać mu obcasy, ale już ich tam nie znalazł.

Wtedy Hak powiedział:

– Najzręczniejszy jestem ja, bo ukradłem ci obcasy z kapelusza. A skoro jestem najzręczniejszy, odłączę się od was, bo wasze towarzystwo nie dla mnie.

Poszedł kraść samopas i tyle sobie uciulał, że stał się bogaty. Przeniósł się do innego miasta, ożenił się i otworzył sklep z wędlinami i nabiałem. Tamci

zaś, wałęsając się, kradnąc tu i ówdzie, doszli do tego miasta i zobaczyli sklep. Powiedzieli do siebie:

– Wejdźmy do środka, może będzie tu coś do zrobienia!

Weszli, a w domu była tylko kupcowa.

– Piękna pani, dostaniemy coś do jedzenia?

– A czego byście chcieli?

– Trochę sera.

Kiedy krajała im ser, obaj rozglądali się wokoło, by zobaczyć, co jest do zwędzenia. Zobaczyli wiszącego rozpłatanego wieprza i dali sobie znak, że w nocy po niego przyjdą. Żona Haka zauważyła znaki, ale nie odezwała się ani słowem, a kiedy przyszedł mąż, opowiedziała mu wszystko. Mąż, złodziej nad złodziejami, zrozumiał natychmiast.

– To będą pewnie Krik i Krok, którzy chcą ukraść wieprza. Dobrze! Już ja się tym zajmę!

Wziął wieprza i włożył go do pieca. Wieczorem poszedł spać. W nocy przychodzą Krik i Krok, szukają wieprza i nie znajdują go. Cóż robi Krik? Zbliży się cicho do łóżka od strony, gdzie leżała żona Haka, i pyta:

– Słuchaj, nie ma wieprza. Gdzie go schowałaś?

Żona pomyślała, że to mąż, i odpowiedziała:

– Śpij! Nie pamiętasz, że włożyłeś go do pieca? – i znowu usnęła.

Obaj złodzieje podeszli do pieca, wzięli wieprza i wyszli. Pierwszy szedł Krok, potem Krik z wieprzem na plecach. Przechodząc przez ogród sklepikarza, Krik zobaczył, że jest tam włoszczyzna, dogonił Kroka i powiedział mu:

– Wracaj do ogrodu Haka i narwij trochę włoszczyzny, ugotujemy ją w domu razem z nogą wieprzową.

Krok wrócił do ogrodu, a Krik poszedł naprzód.

Tymczasem Hak się przebudził, zaglądnął do pieca i nie znalazł wieprza; popatrzył do ogrodu i zobaczył Krika rwącego włoszczyznę. „Teraz ja mu

spłatał figła!” – pomyślał. Wziął z domu sporą wiązkę włoszczyzny i pognął nie spostrzeżony przez Kroka.

Dogonił Krika, który szedł pochylony z wieprzem na plecach, zbliżył się do niego i dał mu znak, że chce wziąć wieprza. Krik pomyślał, że to Krok wracający z włoszczyzną, wziął wiązkę, którą mu tamten podawał, i dał mu wieprza. Hak, mając wieprza na plecach, zawrócił i ruszył pędem do domu.

Po chwili Krok dogonił Krika niosącego włoszczyznę i spytał go:

– A gdzie podziałeś wieprza?

– Przecież ty go masz!

– Ja? Nic nie mam!

– Ale przed chwilą go ode mnie wzięłeś!

Na koniec zrozumieli, że to był Hak i że to on właśnie jest najzręczniejszym złodziejem ze wszystkich.

*IRPINIA (KAMPANIA)*



---

## PIERWSZY MIECZ I OSTATNIA MIOTŁA

**B**yło raz dwóch kupców, którzy mieszkali jeden naprzeciw drugiego. Jeden miał siedmiu synów, a drugi siedem córek. Co rano ojciec siedmiu synów otwierał drzwi na balkon i pozdrawiał ojca siedmiu córek, mówiąc: „Dzień dobry, kupcze z siedmioma miotłami”. A tamten za każdym razem obrażał się; wracał do pokoju i zaczynał płakać ze złości. Żona widząc to, martwiła się i pytała, co mu jest, ale mąż milczał i płakał.

Najmłodsza z siedmiu córek miała siedemnaście lat i była piękna jak słońce, a ojciec świata poza nią nie widział.

– Jeśli mnie tak kochasz, jak mówisz, ojczy – rzekła doń pewnego dnia – to powiedz mi, co cię gnębi.

A ojciec:

– Córeczko, ten kupiec z naprzeciwka mówi mi co rano: „Dzień dobry, kupcze z siedmioma miotłami”, a ja co rano muszę tego słuchać i nie wiem, co mu odpowiedzieć.

– To wszystko, drogi ojczy? – spytała córka. – Słuchaj! Kiedy on ci tak powie, odpowiedz mu: „Dzień dobry, kupcze z siedmioma mieczami. Zróbmy zakład: weźmiemy moją ostatnią miotłę i twój pierwszy miecz i zobaczymy, kto pierwszy zdobędzie berło i koronę Króla francuskiego i przyniesie tutaj. Jeśli wygra moja córka, dasz mi wszystkie swoje towary, a jeśli wygra twój syn, ja stracę swoje mienie”. Tak mu masz powiedzieć. A jeśli przyjmie zakład, niech natychmiast podpisze umowę, czarno na białym.

Ojciec słuchał tego wszystkiego z otwartymi ustami, a kiedy córka skończyła, rzekł:

– Ależ, córeczko, co ty wygadujesz? Chcesz, żebym stracił cały majątek?

– Nie lękaj się, ojcze, zdaj to na mnie; myśl tylko o tym, żeby zrobić zakład, a ja już pomyślę o reszcie.

W nocy ojciec oka nie zmrużył i nie mógł doczekać się rana. Wyszedł na balkon wcześniej niż zwykle, ale okno naprzeciw było jeszcze zamknięte. Nagle się otworzyło, ukazał się ojciec siedmiu synów i jak zwykle rzucił mu w twarz swoje:

– Dzień dobry, kupcze z siedmioma miotłami!

A tamten od razu:

– Dzień dobry, kupcze z siedmioma mieczami! Zróbmy zakład: ja wezwę swoją ostatnią miotłę, a ty swój pierwszy miecz, damy każdemu konia i sakiewkę z pieniędzmi i zobaczymy, kto przyniesie nam koronę i berło Króla francuskiego. Założmy się o cały nasz towar: jeśli wygra moja córka, ja wezmę cały twój majątek, jeśli wygra twój syn, ty weźmiesz mój.

Zagadnięty kupiec popatrzył mu przez chwilę w twarz, potem wybuchnął śmiechem i zrobił ruch, który miał znaczyć, że tamten zbzikował.

– Więc boisz się? Nie jesteś siebie pewny? – spytał go ojciec siedmiu córek.

A tamten, dotknięty do żywego, odpowiedział:

– Co do mnie, przystaję, podpiszmy zaraz umowę i wyślijmy ich.

I natychmiast poszedł opowiedzieć o wszystkim najstarszemu synowi. Najstarszy syn, dowiedziawszy się, że odbędzie podróż z piękną dziewczyną, bardzo się ucieszył. Ale kiedy w chwili wyjazdu ujrzał ją, jak nadjeżdża w męskim przebraniu na białej klaczce, pojął, że nie ma tu żartów. I rzeczywiście, kiedy rodzice, podpisawszy umowę, wyprawili ich w drogę, klaczka ruszyła ostrym kłusem, a jego ciężki koń z trudem za nią nadążał.

Jadąc do Francji, trzeba było przebyć gęsty, ciemny las bez dróg ani ścieżek. Klaczka wbiegła do lasu, jak gdyby była u siebie w domu; zbaczała na prawo od dębu, skręcała na lewo od sosny, przeskakiwała przez płoty ostrokrzewu i wciąż rwała naprzód. Syn kupca natomiast nie wiedział, w którą stronę zwrócić swoje konisko: raz uderzał brodą o niską gałąź i spadał z siodła, raz kopyta szkapy ślizgały się w bagnie ukrytym pod suchymi liśćmi i zwierzę waliło się brzuchem na ziemię, raz znowu zaplątywali się w cierniste chaszczce i nie mogli się wyplątać. Dziewczyna na swojej klaczce przedarła się już przez las i cwałowała daleko na przodzie.

Jadąc do Francji, trzeba było przebyć górę pełną urwisk i wąwozów. Dziewczyna dojechała już do stoku, kiedy posłyszała galop konia, który już-już miał ją dogonić. Klaczka jęła wspinać się wprost pod górę i jak gdyby była u siebie w domu, zwija się i skacze między głazami i znajduje zawsze drogę, by dotrzeć do przełęczy, a stąd zbiega łąkami w dół. Młodzieniec natomiast popędzał konia targając wodzami, ale po trzech krokach ziemia osuwała się i znosiła go do miejsca, w którym zaczął się wspinać, aż w końcu okulał wierzchowca.

Dziewczyna zajechała już daleko ku Francji. Ale, by dojechać do Francji, trzeba było przebrnąć przez rzekę. Klaczka, jak gdyby była u siebie w domu, wiedziała, gdzie jest bród, i rzuciła się do wody, biegnąc jak po znanej drodze. Kiedy dziewczyna wyjechała na drugi brzeg, odwróciła się i zobaczyła młodzieńca, jak nadjeżdża, goniąc ją na swoim koniu, i wpiera go w wodę.

Ale nie znał brodu i gdy tylko koniowi zbrakło gruntu pod kopytami, prąd uniósł jeźdźca i wierzchowca.

W Paryżu przebrana za mężczyznę dziewczyna udała się do pewnego kupca, który przyjął ją za chłopca na posyłki. Kupiec ów był dostawcą dworu królewskiego i teraz, mając młodzieńca o tak wdzięcznej postaci, zaczął go posyłać z towarami do Króla. Gdy tylko Król go ujrzał, spytał:

– Kto jesteś? Wyglądasz mi na cudzoziemca. Skąd się tutaj wzięłeś?

– Najjaśniejszy panie – odpowiedział posłaniec – nazywam się Temperino i byłem krajczym Króla Neapolu. Łańcuch nieszczęść sprowadził mnie tutaj.

– A gdybym uczynił cię krajczym królewskiego domu Francji – spytał Król – byłbyś rad?

– Daj to Bóg, najjaśniejszy panie!

– No to pomówię z twoim panem.

I rzeczywiście, kupiec, choć niechętnie, odstąpił chłopca Królowi, który zrobił go krajczym. Ale im dłużej na niego patrzył, tym bardziej coś podejrzewał. Aż któregoś dnia zwierzył się matce:

– Mamo, w tym Temperinie jest coś, co budzi wątpliwości. Ma delikatną rękę, jest cienki w pasie, i gra i śpiewa, czyta i pisze. Temperino jest kobietą i jestem w niej zakochany na zabój!

– Synu, ty oszalałeś – odpowiedziała Królowa-matka.

– Mamo, to kobieta, powiadam ci! Co mam uczynić, aby się o tym upewnić?

– Jest na to sposób – odpowiedziała Królowa-matka. – Idź z nim na polowanie; jeśli będzie polował tylko na przepiórki, to jest to kobieta, myśląca jedynie o pieczystym, jeśli będzie polował na szczygły, to jest to mężczyzna, myślący tylko o przyjemności polowania.

Król dał więc strzelbę Temperinowi i wziął go z sobą na polowanie. Temperino jechał na swojej klaczce, którą chciał mieć stale przy sobie. Król, by go wciągnąć w zasadzkę, zaczął strzelać tylko do: przepiórek. Ale za każdym razem, kiedy pojawiała się przepiórka, klaczka skręcała w bok i Temperino pojął, że klaczka nie chce, aby strzelał do przepiórek.

– Najjaśniejszy panie – rzekł – wybacz śmiałość: ale czy zdaje ci się to taką sztuką strzelać do przepiórek? Pieczyste już sobie zapewniłeś. Strzelaj i ty do szczygłów, to trudniejsze.

Król, wróciwszy do domu, powiedział matce:

– Tak, strzelał do szczygłów, nie do przepiórek, ale nie jestem przekonany. Ma delikatną rękę, jest cienki w pasie, gra i śpiewa, czyta i pisze. Temperino jest kobietą i jestem w niej zakochany na zabój!

– Synu, zrób jeszcze jedną próbę – rzekła Królowa. – Zaprowadź go do ogrodu na rwanie sałaty. Jeśli ją będzie rwał po listku, to jest to kobieta, bo my, kobiety, mamy więcej cierpliwości; jeśli będzie wyrywał sałatę z korzeniami, to jest mężczyzną.

Król poszedł do ogrodu z Temperinem i zaczął rwać liście sałaty. Krajczy miał już zrobić to samo, kiedy klaczka, która szła za nim, zaczęła chwytać zębami sałatę i wyrywać ją z korzeniami; i Temperino pojął, że tak właśnie należy robić. Spiesznie nappełnił koszyk sałatą, wyrywając ją z korzeniami i z przyczepioną do nich ziemią.



Król powiódł krajczego między klomby.  
– Spójrz, Temperino, jakie piękne róże – rzekł, ale klaczka wskazywała mu pyskiem inny klomb.  
– Róże kłują – odpowiedział Temperino. – Rwij goździki i jaśmin, a nie róże.

Król był zrozpaczony, ale nie poddawał się.

– Ma delikatne ręce, jest cienki w pasie – powtarzał matce – śpiewa i gra, czyta i pisze. Temperino jest kobietą i jestem w niej zakochany na zabój!

– Teraz, mój synu, nie pozostaje ci nic innego, jak tylko wziąć go z sobą do kąpieli.

Król powiedział więc Temperinowi:

– Chodź, pójdziemy kąpać się w rzece.

Kiedy doszli do rzeki, Temperino rzekł:

– Najjaśniejszy panie, rozbierz się pierwszy.

I Król rozebrał się i wszedł do wody.

– Chodź i ty! – rzekł do Temperina.

W tej chwili dało się słyszeć głośnie rzenie i ukazała się spłoszona klaczka biegnącą z pianą u pyska.

– Moja klaczka! – krzyknął Temperino. – Poczekaj, najjaśniejszy panie, klaczka mi się spłoszyła, muszę za nią pobiec! – i umknął.

Pobiegł do pałacu królewskiego.

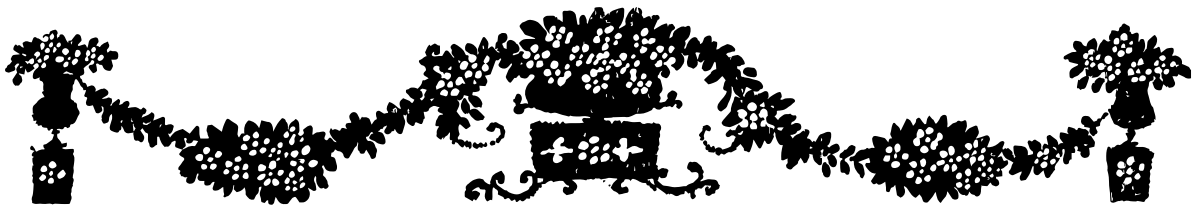
– Najjaśniejsza pani – rzekł do Królowej – Król rozebrał się nad rzeką i jacyś strażnicy, nie poznawszy go, chcą go uwięzić. Posłał mnie po berło i koronę, żeby go po nich poznali.

Królowa wzięła berło i koronę i wręczyła je Temperinowi. Gdy tylko Temperino chwycił berło i koronę, wskoczył na klaczkę i pocwałował śpiewając:

*Dziewczyna przybyła, dziewczyna wróciła,  
Koronę i berło we Francji zdobyła.*

Przejechała rzekę, przejechała górę, przejechała las i wróciła do domu, a ojciec wygrał zakład.

*NEAPOL (KAMPANIA)*





---

## PIĘCIU OBIEŻYŚWIATÓW

**B**yli raz w Maglie ojciec i matka, którzy mieli syna, a ten syn był istnym diabłem w ludzkim ciele: to coś sprzedawał, to coś zastawiał, spędzał noce poza domem, słowem był utrapieniem tych biednych ludzi. Aż pewnego wieczoru matka powiedziała:

– Mężu, ten nasz syn przywiedzie nas pewnie do żebraczego kija; zaciągnijmy dług i wyślijmy go z domu.

Nazajutrz ojciec kupił konia i pożyczył sto dukatów. Kiedy syn przyszedł w południe do domu, ojciec rzekł:

– Synu, tak dłużej żyć nie możesz. Masz tu sto dukatów i konia. Jedź w świat i szukaj sobie chleba.

– Dobrze – odpowiedział syn – pojedę do Neapolu.

I pojechał. Jedzie, jedzie, aż zobaczył w polu jakiegoś człeka na czworakach.

– Co tu robisz? – spytał go. – Jak ci na imię?

– Błyskawica – odpowiedział tamten.

– A nazwisko?

– Grom.

– Skąd takie nazwisko?

– Stąd, że moim rzemiosłem jest ścigać zające.

Ledwie to powiedział, przemknął zając. Błyskawica dał dwa susy i złapał go.

– Wiesz co? – rzekł chłopiec z Maglie. – Chodź ze mną do Neapolu. Mam sto dukatów. Błyskawica nie kazał sobie dwa razy tego mówić i ruszyli,

jeden na koniu, drugi pieszo.

Spotkali trzeciego.

– A ty jak się nazywasz?

– Wykol-Oko – odpowiedział.

– Cóż to za imię?

Nie skończył jeszcze mówić, kiedy przeleciało stado wron gonione przez sokoła.

– Zobaczymy, co potrafisz.

– Wykolę sokołowi lewe oko i strącę go na ziemię.

Wystrzelił z łuku i sokół runął na ziemię ze strzałą w lewym oku.

– A nie poszedłbyś z nami, przyjacielu?

– Pewnie, że bym poszedł! Chodźmy.

Przybyli do Brindisi. W porcie pracowały setki ludzi, a między nimi jeden, którego objuczali bardziej niż muła.

– Krzepki chłop! – zawołali wszyscy trzej. – Spytajmy go, jak się nazywa.

– Jak się nazywasz? – spytał chłopiec z Maglie.

– Mocny Grzbiet.

– Wiesz co, chodź z nami, mam sto dukatów i będę dawał wam wszystkim jeść. Kiedy już nic nie będę miał, wtedy wy mnie będziecie żywić.

Wyobraźcie sobie miny innych robotników, kiedy ujrzeli, że Mocny Grzbiet odchodzi, on, który nam wszystkim pomagał! Zaczęli wołać:

– Dołożymy ci tynfa, dołożymy ci tynfa, zostań tylko z nami!

– Nie, nie! – odpowiedział Mocny Grzbiet. – Lepiej jeść, pić i leżeć do góry brzuchem. Puścili się w drogę wszyscy czterej, weszli do gospody, najedli się jak wieprze i nażłopali się wina, ile tylko mogli. Potem ruszyli dalej. Uszli nie więcej niż pięć czy sześć mil, kiedy spotkali jakiegoś człeka trzymającego ucho przy ziemi.

– Co tutaj robisz z twarzą przy ziemi? Jak się nazywasz?

– Zajęcze Ucho – odpowiedział tamten. – Słucham wszystkich rozmów, jakie prowadzi się na świecie: królów, ministrów, zakochanych.

A chłopiec z Maglie:

– Zobaczymy, czy mówisz prawdę. Wytęż ucho: posłuchaj, co mówią w Maglie, w domu przed kolumną.

– Zaraz – odpowiedział tamten i przyłożył ucho do ziemi. – Słyszę, jak dwoje starych rozmawia pod okapem kominka i jak stara mówi do starego: „Dziękujemy Bogu, że zaciągnęliśmy ten dług; warto było, żeby tylko pozbyć się z domu tego czarta: teraz nareszcie mamy spokój”.

– Tak, to prawda – rzekł chłopiec z Maglie. – Tak mogą mówić tylko mój ojciec i moja matka. Ruszyli w dalszą drogę i doszli do miejsca, gdzie pracowało wielu murarzy, wszyscy złani potem, w pełnym słońcu.

– Ludzie, jak wy możecie pracować o tej porze?

– Jak możemy? Mamy kogoś, kto nas rzeźwi.

I ujrzeli jakiegoś człowieka, który dmuchał: ff! fff!!

– Jak się nazywasz? – spytali go.

– Miech – odpowiedział tamten. – Mogę zrobić każdy wiatr. Ffff!! To jest wiatr północny. Ffff!! To jest wiatr południowy. Ffff!! To jest wiatr wschodni. – I dalej naśladował wiatry, dmąc pełnymi policzkami. – A jak zachce się wam huraganu, zrobię także huragan.

Dmuchnął i drzewa zaczęły walić się na ziemię, kamienie latać w powietrzu – koniec świata!

– Dostyc! Dostyc! – zawołali, a on się uspokoił.

Chłopiec z Maglie rzekł:

– Przyjacielu, mam sto dukatów. Pójdiesz z nami?

– Chodźmy.

Wesoła to była gromada: jeden opowiadał to, drugi owo, i tak dotarli do Neapolu. Najpierw – rozumie się – poszli coś zjeść. Potem poszli do cyrulika, przyodziali się ozdobnie i z dziarskimi minami ruszyli na miasto.

Minął jeden dzień, dwa dni, trzy dni i w sakiewce zaczęło przezierać dno. Chłopiec z Maglie rzekł:

– Przyjaciele, nie służy mi powietrze neapolitańskie. Chodźmy do Paryża, tam będzie lepiej.

Idą, idą, doszli do Paryża. Na bramie miasta ujrzeli napis:

„Kto zwycięży w biegu Królowną, otrzyma jej rękę; jeśli przegra, pójdzie na śmierć”.

Chłopiec z Maglie rzekł:

– Błyskawico, teraz kolej na ciebie.

I poszedł do pałacu królewskiego. Zwrócił się do majordoma:

– Ekscelencjo, podróżuję dla przyjemności, ale wjeżdżając dziś rano do miasta, przeczytałem ogłoszenie Królowny. Chcę spróbować.

– Synu mój – odpowiedział majordom – powiem ci w zaufaniu: ona nie ma dobrze w głowie. Nie chce wyjść za mąż, wynajduje wciąż nowe wybiegi i posyła na śmierć wielu pięknych młodzieńców. Przykro by mi było, gdybym ujrział, że kończysz jak inni.

– Nie, nie – odparł chłopiec z Maglie. – Idź do niej i wyznaczcie dzień, jestem gotów.

Wyznaczono niedzielę. Chłopiec z Maglie wrócił do towarzyszy i powiedział:

– Wiecie? Gonicwa będzie w niedzielę!

I poszli do gospody podjąć sobie i naradzić się, co robić. Błyskawica powiedział:

– Wiesz, co zrobisz? W sobotę wieczorem wyślesz mnie z listem, że masz gorączkę, że nie możesz się ścigać i posyłasz mnie; jeśli wygram, ty ją poślubisz, a jeśli przegram, to także ty zobowiązujesz się pójść na śmierć.

Tak też zrobili i w niedzielę rano lud zatłoczył całą ulicę, wymiecioną do czysta tak, że nie było widać ani jednego pyłka. Kiedy nadeszła pora wyścigu, przyszła Królowna, przebrana za tancerkę, i stanęła koło

Błyskawicy. Wszyscy wytrzeszczyli oczy. Dano znak. Frrr! Królowna pomknęła jak zając. Ale Błyskawica w trzech susach śmignął jej ponad głową i zostawił o sto kroków za sobą. Wyobraźcie sobie, ile było krzyku i klaskania! Wszyscy wołali:

– Niech żyje Włoch! Nareszcie znalazł się ktoś, kto tej wariatce wybije z głowy głupstwa!

Królowna wróciła z nosem na kwintę. Król powiedział:

– Córkó, ty wymyśliłaś ten zakład i teraz wypada ci wziąć go za męża, kimkolwiek jest.

Ale zostawmy Królownę i zajmijmy się Błyskawicą. Wrócił do gospody i z całą kompanią zasiadł do jedzenia i picia. Ale gdy biesiadowali w najlepsze, Zajęcze Ucho psyknął: – Pst! – i przywarł do ziemi, jak to zwykły czynić.

– Źle z nami, Królowna powiada, że za nic nie chce cię za męża, że bieg jest nieważny i że trzeba zrobić drugi. I pyta się pewnej czarownicy o sposób, żebyś ty nie wygrał. A czarownica mówi jej, że zaczaruje kamień i wprawi go w pierścień, i że Królowna przed biegiem ma ci podarować pierścień, i że gdy będziesz go miał na palcu, nie będziesz go mógł więcej zdjąć i nogi przestaną ci służyć.

– A od czego ja tu jestem? – rzekł Wykol-Oko. – Wyciągnij rękę, nim zaczniesz biec, a ja wypuszczę strzałę i wyłuskam kamień z pierścienia. Zobaczymy, co wtedy zrobi nasza Królowna!

– Bravo! Bravo! – zawołali wszyscy i więcej już o tym nie myśleli.

Nazajutrz przyniesiono choremu list od Królowny, która chwaliła chyżość jego przyjaciela, ale – jeśli nie ma nic przeciw temu – chciała powtórzyć igrzysko w następną niedzielę.

W niedzielę wzdłuż ulicy było jeszcze więcej ludzi. Kiedy nadeszła pora wyścigu, Królowna przyszła z nogami gołymi jak u linoskoczka, zbliżyła się do Włocha i podając mu pierścień rzekła:

– Masz, piękny młodzieńcze, ponieważ ty jeden potrafiłeś zwyciężyć mnie w biegu, daruję ci ten pierścień na pamiątkę od narzeczonej twojego przyjaciela.

Włożyła mu pierścień na palec, a on poczuł, że nogi mdleją pod nim, i nie mógł się już prosto trzymać. Wykol-Oko, który śledził go wzrokiem, krzyknął:

– Wyciągnij rękę!

On, powoli, z trudem, wyciągnął rękę i właśnie w tej chwili zabrzmiała trąba. Królowna pobiegła już przed nim. Wykol-Oko wystrzelił, strzała wyłuskała kamień, Błyskawica dał cztery susy, dogonił Królownę, przeskoczył ją, przewrócił i minął.

Ale najlepszy był widok ludu! Wiwaty, kapelusze w powietrzu! Wzięli Błyskawicę na ramiona i ponieśli w triumfie przez miasto, radując się, że pycha Królowny została poniżona.

I kiedy na koniec pięciu obieżyświatów znalazło się samych, zaczęli się ścisnąć i klepać po ramionach.

– Jesteśmy bogaci! – mówił chłopiec z Maglie. – Jutro będę Królem i chciałbym widzieć tego, kto wyrzuci was z królewskiego pałacu. Powiedzcie, czym chcecie być.

– Ja szambelanem! – rzekł jeden.

– A ja ministrem! – rzekł drugi.

– A ja generałem! – rzekł trzeci.

Ale Zajęcze Ucho dał znak, żeby byli cicho.

– Ziemia mnie przyzywa!

I rzucił się na ziemię, by nasłuchiwać. Usłyszał, że w pałacu królewskim uradzają, by ofiarować zwycięzcy wielką sumę, a nie dać mu Królowny.

Nazajutrz rano chłopiec z Maglie wystroił się i poszedł do pałacu. Przed drzwiami sali spotkał radcę.

– Synu mój, chcesz wysłuchać rady starszego? Jeśli ożenisz się z tą wariatką, wezmiesz diabła do domu. Ale jeśli wolałbyś pieniądze, to żądaj, ile chcesz, i idź z Bogiem.

– Dziękuję ci, żeś mi to powiedział – odrzekł chłopiec z Maglie. – Ale nie będę mówił, ile chcę. Zróbmy tak: przyślę wam jednego z moich przyjaciół, a wy załadujecie mu na grzbiet tyle, ile zdołacie.

Przyszedł Mocny Grzbiet z pięćdziesięcioma worami po dziesięć korcy każdy.

– Mój przyjaciel przysyła mnie, żebyście mnie objuczyli.

Wszyscy spojrzeli na siebie, myśląc, że zgłupiał.

– Mówię prawdę – rzekł Mocny Grzbiet – śpieszcie się.

Poszli do skarbcza i zaczęli napełniać jeden z worów. Trzeba było dwudziestu ludzi, aby zadać mu go na plecy. Kiedy zarzucili mu już wór na grzbiet, spytali:

– Dasz rady?

– Ba! – odpowiedział. – Zdaje mi się, że mam na plecach piórko.

Zaczęli znowu napełniać wory, aż nic nie zostało z góry złota. Zabrali się do góry srebra i także całe srebro przeniosło się na plecy Mocnego Grzbietu. Wzięli miedź i nie starczyło nawet miedzi. Wepchali do worów lichtarze, naczynia, a on udźwignął wszystko.

– Nie ciężko ci? – pytali go.

– Założymy się, że wezmę na plecy także pałac?

Nadeszli przyjaciele i ujrzeli górę, która szła sama, a pod górą dwie nóżki. I ruszyli w drogę, z wielką uciechą.

Zrobili już pięć lub sześć mil, kiedy Zajęcze Ucho, który co chwila pochylał się, by nasłuchiwać, rzekł:

– Koledzy, w pałacu królewskim złożono radę. Wiecie, co powiada radca? „Czy to możliwe, najjaśniejszy panie, żeby czterech włóczykijów tak nas ze wszystkiego obdarło, że nie mamy nawet za co kupić kawałka chleba?”

Zabrali wszystko, co mieliśmy! Prędko! Wyślijmy pułk jazdy i niech ich rozniosą W kawałki!”

– No to koniec z nami – rzekł chłopiec z Maglie. – Wszystkiemu daliśmy rady, ale co poradzimy przeciw karabinom?

– Ach, ty durniu! – zawołał Miech. – Czy zapomniałeś, że mogę zrobić huragan i poprzewracać ich do góry nogami? Idźcie przodem, a pokażę wam, co potrafię.

Słysząc już było tętent koni. Gdy tylko żołnierze zbliżyli się na odległość strzału, Miech zaczął dąć, najpierw lekko: ff, ff, potem silniej: fff! – aż zaczęli ślepnąć od kurzu – potem bardzo silnie: ffffff!!! – i widać było jeźdźców spadających pod kopyta, drzewa wyrwane z korzeniami, walące się mury, fruujące armaty!

Kiedy Miech upewnił się, że zrobiła się z nich sieczka, dogonił towarzyszy i zawołał:

– No, tego się Król francuski nie spodziewał! Niech sobie zapamięta i opowie dzieciom.

Tak więc z pomocą Bożą wrócili do Maglie, podzielili skarby, wzięli każdy po cztery miliony, a kiedy się spotykali, mówili:

– Popamięta nas Król francuski i jego zbzikowana córka!

*TERRA D'OTRANTO (APULIA)*





---

## MATKA NIEWOLNICĄ

**B**yli raz mąż i żona, dostatni połownicy[1], którzy dzierżawili swoje gospodarstwo od największego pana prowincji w okolicach Otranto. Mieli pięciu synów i gospodyni, kiedy już pokończyła wszystkie prace i postawiła na ogniu garnek dla ludzi wracających z pola, siadywała co wieczór na progu domu i odmawiała różaniec.

Pewnego wieczoru, gdy właśnie miała się przeżegnać, usłyszała głos sowy, mówiący:

– Gospodyni, gospodyni! Kiedy chcesz być bogata, za młodu czy na starość?

– Jezus Maria! – zawołała gospodyni, Spiesznie się żegnając.

Była to pora, o której mężczyźni wracali do domu. Usiedli do stołu i posilili się. Biedna kobieta była trochę zatroskana.

– Co ci jest? – spytał jej mąż i synowie.

Odpowiedziała, że czuje się niedobrze. Następnego wieczoru, gdy zaczęła znowu odmawiać różaniec, usłyszała po raz drugi sowę:

– Kiedy chcesz być bogata, za młodu czy na starość?

– Matko Przenajświętsza! – zawołała gospodyni. – Nic to dobrego nie znaczy!

I poszła powiedzieć o tym mężowi.

– Żono – rzekł połownik – jeśli ci się to jeszcze raz przydarzy, powiedz, że chcesz być bogata na starość, bo młodość, źle czy dobrze, jakoś się przepędzi, ale na starość dobrze jest żyć w dostatku.

I rzeczywiście, kiedy gospodyni usłyszała sowę po raz trzeci, rzekła:

– Jesteś tu jeszcze? Chcę być bogata na starość, słyszysz?

Minął jakiś czas. Pewnego wieczoru mąż i synowie, którym sprzykrzyło się jeść wciąż groch i fasolę, powiedzieli:

– Mamo, zrób nam jutro potrawę z cykorii.

Rano matka wzięła zapaskę i nóż i poszła zbierać cykorię. Zagroda leżała nad morzem i im gospodyni dalej szła, tym piękniejszą znajdowała cykorię. „Jaka piękna cykoria! – mówiła do siebie. – Wieczorem dzieci i mąż będą mieli ucztę!” Zbierając tu i tam, doszła na sam brzeg. I kiedy schylona rwała cykorię, zaszło ją od tyłu kilku Turków, schwytali ją, zawlekli na łódź i odpłynęli. Krzyczała, prosiła o zmiłowanie, żeby ją puścili – wszystko na próżno.

Ale zostawmy ją, zapłakującą się na śmierć, i zajmijmy się biednym mężem i synami. Wrócili wieczorem i zamiast zastać dom otwarty jak zwykle, z gotową wieczerzą, znaleźli drzwi zamknięte. Wołali, pukali, wreszcie wyważyli drzwi. Kiedy ujrzeli, że kobiety w domu nie ma, zaczęli pytać sąsiadów, czy jej nie widzieli.

– Owszem – odpowiedzieli sąsiedni połownicy – widzieliśmy, jak wychodziła z zapaską, ale nie widzieliśmy, żeby wracała.

Wyobraźcie sobie strapienie tych ludzi! Nadchodziła noc, zapalili latarnie i poszli w pole wołając: „Mamo! Mamo!” – i szukali w studniach. A kiedy stracili już nadzieję na jej odnalezienie, wrócili do domu i zaczęli płakać.

Potem ubrali się czarno i przez trzy dni przyjmowali odwiedziny żałobne. Ale że wszystko na tym świecie przemija, zaczęli znowu pracować jak dawniej.

Minęły dwa lata od tego nieszczęścia, kiedy zdarzyło się, że mieli zaorać pod zboże wielki zagon. Synowie i stary wzięli każdy parę wołów i zabrali się do orki. Staremu, kiedy orał, uwiązał koniec lemiesza. Ponieważ nie umiał go sam uwolnić, zawołał najstarszego syna i zobaczyli, że lemiesz

zaczepił się o żelazny pierścień. Pociągnęli za pierścień i podniósł się wielki, płaski kamień. W dole była izba.

– Tato! – zawołał syn. – Zobaczę, co tam jest na dole... Zejść?

– Nie – odpowiedział stary. – Zostawmy wszystko. W nocy wrócimy i zobaczymy, co tam jest.

I rozeszli się.

Wieczorem, wróciwszy z parobkami do zagrody, spoili ich jak się patrzy. Widząc, że parobcy chrapią, stary i pięciu synów poszli przy świetle lampy do kamienia. Podnieśli go, zeszli na dół i znaleźli siedem garnków napełnionych złotymi pieniędzmi. Spojrzeli po sobie. Nie wiedzieli, co rzec ani co zrobić.

– Synkowie – rzekł stary – nie czas stać tutaj jak durnie. Idźcie, weźcie wózek i wracajcie.

Synowie pobiegli po wózek, załadowali cały skarb i ukryli go.

Nazajutrz – było to równo w dwa lata i jeden miesiąc od zniknięcia biednej gospodyni – poszli do dziedzica włości i powiedzieli mu, że nie chcą już zagrody, że nie mają ochoty dłużej tu zostawać.

Zdali gospodarstwo, wyprawili poczęstunek dla parobków z zagrody i pojechali do Neapolu. Tam ściągnęli z siebie swoje chłopskie odzienie i przybrali się chędogo; kupili sobie pałac, przyzwali profesorów ze szkoły, nauczycieli języków, aby nauczyli ich pańskiej ogłady; potem teatr i tak dalej. Stary zapuścił sobie warkoczyk, jak to wtedy było w zwyczaju; zaczęli mówić z neapolitańska, nawet imiona sobie pozmieniali: już nie Renzo, Cola, ale Don Pietrino, Don Saveruccio; jakie tylko piękne imię posłyszeli, doczepiali sobie. Widząc ich takimi, nikt by ich nie poznał.

Pewnego dnia wszystkich pięciu braci znalazło się na placu Immacolatella; był tam targ na niewolnice, Murzynki i białe, a białych było sporo. Gdy tylko wrócili do domu, zawołali:

– Papo, papo! – (już go nie nazywali „tato”, jak dawniej).

– Co takiego, synkowie?

– Widzieliśmy wiele pięknych niewolnic. Może byśmy tak jedną kupili?

– Ech! – odpowiedział ojciec. – Chcecie sprowadzić mi do domu jakąś ładacznicę! Nie, nie! Jeśli jest tam jakaś stara, to ją kupimy.

Poszedł sam na plac, przypatrzył się niewolnicom i ujrzał jedną starszą; biedna kobieta wydawała się nawet przedwcześnie postarzała od pracy i kijów.

– Ile chcesz za nią? – spytał tego, co ją przyprowadził.

– Sto dukatów.

Zapłacił i zaprowadzili ją do domu. Biedna kobieta chodziła w lachmanach, że aż żal było na nią patrzeć, kupili jej więc nowe suknie i zrobili ją ochmistrzynią.

Wieczorem synowie zazwyczaj szli do teatru. Stary natomiast nie wychodził nigdy. Kobieta, widząc wychodzących pięciu braci, zaczynała wzdychać i płakać. Pewnego wieczoru, kiedy poświeciwszy paniczom na schodach, wróciła z płaczem na górę, stary pan zamknął książkę, którą właśnie czytał, i przywołał ją do siebie.

– Dlaczego wzdychasz i płaczesz widząc moich synów?

– Wielmożny parne – odpowiedziała niewolnica – gdybyś wiedział, co mam w sercu, nie pytałbyś mnie o to!

– Weź krzesło i opowiedz – rzekł stary.

– Wiedz zatem, wielmożny panie, że niegdyś nie byłam niewolnicą, jaką mnie kupiliście, ale byłam połownicą, miałam męża i pięciu synów takich jak synowie wielmożnego pana.

I zaczęła opowiadać swoje dzieje. Kiedy doszła do dnia, w którym przy zbieraniu cykorii napadli i porwali ją Turcy, stary wstaje, obejmuje ją i okrywa pocałunkami.

– Żono, żono, to ja jestem tym połownikiem, to są twoi synowie; po latach zgryzoty, kiedy uważaliśmy cię już za nieżyjącą, pewnego dnia,

orzając, znaleźliśmy skarb. Tak sprawdziło się to, co powiedziała ci sowa.

Wyobraźcie sobie radość kobiety, odnajdującej cudem męża i synów po siedemnastu latach niewoli! Kiedy ona opowiadała o swoich cierpieniach, a on o żałości, w jakiej trwał, sądząc, że ona nie żyje, i kiedy trzymali się tak w uścisku, wrócili z teatru synowie. Ujrzawszy dwoje starych ściskających się i całujących, zawołali:

– A nie chciał, żebyśmy kupili sobie młodą!

– Nie, synkowie – odpowiedział ojciec – to jest wasza matka, którą oplakiwaliśmy jako zmarłą przez tyle lat.

Wyobraźcie sobie radość synów! Zaczęli ją ściskać, całować, mówiąc:

– Mamo, dość twoich trudów i cierpień. Odtąd będziesz rozkazywać i używać wszelkiego bogactwa.

Przyszły pokojówki i służące i przyodziały ją jak przystało wielkiej pani, którą była; w zimie miała zarękawek, a w lecie wachlarz.

Żyli szczęśliwi i weseli i spędzili starość w bogactwie.

*TERRA D'OTRANTO (APULIA)*

---

[1] Połownicy – chłopci dzierżawiący ziemię za połowę plonów.

---



---

## ŻONA SYRENA

**B**yła raz piękna zamężna kobieta, a jej mąż był marynarzem. Marynarz żeglował i całymi latami przebywał poza domem, a kiedy był na morzu, Król tego kraju zakochał się w jego żonie i poty na nią nastawał, póki do niego nie uciekła. Gdy marynarz wrócił, zastał dom pusty. Minął jakiś czas, Król uprzykrzył sobie kobietę i wypędził ją precz. Wróciła do męża skruszona, ukłękła przed nim i prosiła o przebaczenie.

Marynarz, mimo całej miłości, jaką miał dla niej przedtem, a nawet i teraz jeszcze, był tak rozgniewany jej zdradą, że odwrócił się do niej tyłem, mówiąc:

– Nie przebaczam ci i nie przebaczę nigdy. Poniesiesz karę, na jaką zasłużyłaś. Gotuj się na śmierć.

Kobieta, wrywając sobie włosy z głowy, prosiła, błagała, ale wszystko na próżno: marynarz zabrał niewierną żonę na swój statek, jak gdyby to był worek, rozwinął żagle i wypłynął.

Kiedy już był na pełnym morzu, rzekł do żony:

– Przyszła twoja ostatnia godzina.

Chwycił ją za włosy, podniósł i wrzucił do wody.

– Teraz jestem pomszczony – rzekł, obrócił ster i popłynął do portu.

Żona zapadła pod wodę i znalazła się w głębi morza, w miejscu, gdzie zbierały się syreny.

– Popatrz, jaką piękną kobietę wrzucili do morza – powiedziały syreny. – Taka piękna kobieta na żer dla ryb! Ocalmy ją, zabierzmy ją z sobą!



Wzięły żonę marynarza za rękę i zawiodły do swego rzeźnicie oświetlonego i błyszczącego podmorskiego pałacu. Jedna syrena uczesała jej czarne włosy, druga zlała wonnościami ramiona i pierś, trzecia zawiesiła jej na szyi korale, inna jeszcze włożyła jej na palce szmaragdowe pierścionki. Kobieta nic już nie rozumiała, taka była zdziwiona.



– Piano! Chodź z nami, Piano! – usłyszała i zrozumiała, że to jest jej imię u syren. Weszła do pałacowej sali: było tam pełno kobiet i pięknych młodzieńców, wszyscy tańczyli i ona także zaczęła tańczyć.

Pośród tylu bogactw i tylu zabaw dni płynęły kobiecie w radości, ale wspomnienie o mężu nachodziło ją często i rzucało cień na twarz.

– Nie jesteś z nami szczęśliwa, Piano? – pytały się jej syreny. – Dlaczego masz taką smutną twarz? Dlaczego jesteś milcząca?

– Nie, nic mi nie jest – odpowiadała, ale nie potrafiła się uśmiechnąć.

– Chodź, nauczymy cię śpiewać!

I nauczyły ją swoich pieśni, tak pięknych, że marynarze, słysząc je, rzucają się na oślep do morza. Tak to Piana weszła do syreniego chóru, który w księżycowe noce wypływa na powierzchnię i śpiewa.

Pewnej nocy syreny ujrzały statek nadpływający z rozwiniętymi żaglami.

– Chodź z nami, Piano, chodź z nami śpiewać! – zawołały i rozpoczęły swoją pieśń:

*To śpiewa księżyc krągły,  
To śpiewa księżyc w pełni,  
Syreny was wzywają,  
O, marynarze dzielni!*

Wtedy zza burty statku wychylił się jakiś człowiek oczarowany tym śpiewem i rzucił się w fale. Przy świetle księżycy Piana go poznała: był to jej mąż.

– Zamienimy go w koral – mówiły syreny.

– Albo w biały kryształ! Albo w muszlę!

– Poczekajcie! Poczekajcie! Proszę was! – krzyknęła Piana. – Nie zabijajcie go! Nie róbcie nad nim jeszcze żadnego czaru.

– Ale dlaczego tak się o niego troszczysz? – spytały towarzyszki.

– Nie wiem... Chciałabym spróbować sama go zaczarować... Na mój sposób, zobaczycie... Proszę was, zostawcie go przy życiu jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny.

Syreny, które widziały ją zawsze smutną, nie śmiały jej odmówić i zamknęły marynarza w białym pałacu na dnie morza. Był dzień i syreny

poszły spać. Piana zbliżyła się do białego pałacu i zaczęła śpiewać:

*To śpiewa księżyc srebrzysty,  
To śpiewa niewierna żona,  
Teraz ocali ci życie,  
A sama będzie zgubiona.*

Marynarz wyteńczył słuch i zrozumiał, że ta, która śpiewa, może być tylko jego żoną. Zaczął oczekiwać pełen nadziei i poczuł, że w głębi serca już jej przebaczył i żałuje, iż ją utopił.

Syreny w dzień spały, a nocą pływały po morzu, by usidlać marynarzy. Piana poczekała, aż zapadnie noc, otworzyła biały pałac i odnalazła męża.

– Milcz – rzekła mu – syreny odpłynęły przed chwilą i mogą nas usłyszeć! Obejmij mnie i daj się nieść.

I tak płynęła i płynęła godzinami, aż dopłynęli do wielkiego statku.

– Wołaj o pomoc do marynarzy! – rzekła syrena.

– Hej! Na pomoc! Na pomoc!

Ze statku spuszczone szalupę. Marynarze powiosłowali do rozbitka i wciągnęli go za burtę.

– Syrena... – mówił marynarz. – Syrena... Syrena, moja żona...

– Stracił rozum w morzu – mówili ci, co go ocalili. – Uspokój się, kolego, jesteś uratowany. Nie ma tu żadnej syreny!

Marynarz wrócił do swego kraju, ale myślał wciąż o swojej żonie-syrenie i był nieszczęśliwy. „Ja ją utopiłem, a ona ocaliła mi życie – myślał. – Będę żeglował, póki jej nie odnajdę! Ocalę ją albo sam utonę!” I kiedy tak myślał, zapuścił się w las aż do orzecha, o którym mówiono, że spotykają się pod nim wróżki.

– Dlaczego jesteś taki smutny, piękny chłopcze? – spytał głos koło niego. Odwrócił się i ujrzał staruszkę.

– Jestem smutny, bo moja żona jest syreną i nie wiem, co robić, żeby wróciła.

– Wyglądasz mi na zanego chłopca – odpowiedziała staruszka – i rada bym ci pomóc w odzyskaniu żony. Ale pod jednym warunkiem. Przystajesz?

– Zrobię wszystko, co każesz.

– Jest kwiat, który rośnie tylko w pałacach syren i nazywa się „Najpiękniejszy”. Musisz zdobyć ten kwiat, przynieść go tutaj w nocy i zostawić pod tym orzechem. Wtedy odzyskasz żonę.

– Ale jak zdołam dostać kwiat z głębi morza?

– Jeśli chcesz odzyskać żonę, musisz znaleźć sposób.

– Spróbuję – odpowiedział marynarz.

Poszedł natychmiast do portu, wsiadł na swój statek i rozwinął żagle. Kiedy wypłynął na pełne morze, zaczął wołać żonę po imieniu. Usłyszał plusk wody i ujrzał ją, jak płynie w bruzdzie za statkiem.

– Żono – rzekł – chcę cię ocalić, ale żeby cię ocalić, muszę dostać kwiat, który rośnie tylko w pałacach syren i nazywa się „Najpiękniejszy”.

– To niemożliwe – odpowiedziała żona – ten kwiat tam jest i wydaje rajski zapach, ale to kwiat, który syreny ukradły wróżkom i tego dnia, kiedy kwiat powróci do wróżek, wszystkie syreny będą musiały umrzeć. Ja także jestem syreną i umarłabym razem z nimi.

– Nie umrzesz – powiedział jej marynarz – bo wróżki cię ocalą.

– Wróć tutaj jutro, a dam ci odpowiedź.

Nazajutrz marynarz wrócił. Żona znowu wynurzyła się z morza.

– A więc? – spytał jej.

A ona:

– A żeby dostać kwiat, który nazywa się „Najpiękniejszy”, musisz sprzedać wszystko, co posiadasz, a za otrzymane pieniądze kupić najpiękniejsze klejnoty, jakie leżą w skrzyniach u złotników we wszystkich miastach królestwa. Syreny na widok klejnotów oddalą się od pałacu, a ja będę mogła zerwać kwiat.

Marynarz w ciągu kilku dni sprzedał całe swoje mienie i kupił najpiękniejsze klejnoty królestwa. Załadował statek klejnotami, tak że zwisały kiściami ze wszystkich rej, i popłynął na morze.

Syreny, łase na klejnoty bardziej niż na cokolwiek w świecie, zaczęły wynurzać się z fal i płynąć za statkiem, śpiewając:

*Twój statek od skarbów się mieni,  
Tak śpiewa płomienne dziś słońce,  
Zatrzymaj się, piękny żeglarzu,  
I daj nam klejnoty błyszczące!*

Ale marynarz płynął dalej, a syreny za nim, oddalając się od swego pałacu.

Naraz dał się słyszeć huk w głębi morza, wody uniosły się nigdy nie widzianą falą i wszystkie syreny utonęły. Z fal wyleciał orzeł, a na orle siedziała okrakiem stara wróżka wraz z żoną marynarza i poleciały daleko.

A kiedy marynarz wrócił do domu, żona już na niego czekała.

*TARENT (APULIA)*



---

## KRÓL ULEPIONY Z CIASTA

**B**ył raz Król, jego żona już nie żyła, ale zostawiła mu córkę. Córka była panną na wydaniu i starali się o nią synowie królów, margrabiów i hrabiów, ale ona odmawiała wszystkim.

Ojciec zawołał ją i spytał:

– Córeczko, dlaczego nie chcesz wyjść za mąż?

– Papo – odpowiedziała – jeśli chcesz, żebym Wyszła za mąż, to daj mi worek mąki i worek cukru, bo chcę ulepić sobie narzeczonego własnymi rękami.

Król wzruszył ramionami i rzekł:

– Dobrze, dostaniesz, czego chcesz.

Dał jej mąkę i cukier; córka zamknęła się w komnacie z dzieżą i przetakiem i zaczęła przesiewać mąkę. Pół roku przesiewała, pół roku lepiała narzeczonego z ciasta; kiedy go ulepiła, nie spodobał się jej i zniszczyła go. Wreszcie za drugim razem udał się jej taki, jakiego chciała, i zamiast nosa wsadziła mu paprykę. Postawiła go we wnęce, zawołała ojca i powiedziała:

– Papo, papo, to jest mój narzeczony! Nazywa się Król Papryka.

Ojciec spojrział na niego, oglądając ze wszystkich stron; spodobał mu się.

– Ładny jest, ale nie mówi!

Królowna odpowiedziała:

– Poczekaj, w swoim czasie przemówi.

Królowna codziennie chodziła do Króla Papryki we wnęce i mówiła doń:

*Królu z ciasta ulepiony,  
Pięknym nosem ozdobiony!*

*Pół roku cię przesiewałam,  
Pół roku cię zagniatałam,  
Pół roku ciebie kruszyłam,  
Pół roku znowu lepiałam  
I we wnęce postawiłam.  
Przez pół roku stój pokornie,  
Aż przemówisz do mnie dwornie!*

I przez pół roku dziewczyna nie przestawała śpiewać mu tej piosenki. Z końcem szóstego miesiąca Król Papryka zaczął mówić.

– Nie mogę mówić z tobą – rzekł – wpierw muszę pomówić z twoim ojcem.

Dziewczyna pobiegła do ojca:

– Ojczy, chodź, mój narzeczony mówi!

Król przyszedł i zaczął rozmawiać z Królem Papryką o tym i o owym, i wreszcie Król Papryka poprosił go o rękę córki. Król, ucieszony, kazał przygotować wielką ucztę i zaprosił Króla Paprykę na obiad. Zaczęły się przygotowania do wesela, które odbyło się w kilka dni później w obecności wszystkich panujących z bliska i z daleka. Między tymi panującymi była także pewna królowa, która nazywała się Turca-Cane. Zaledwie Turca-Cane ujrzała Króla Paprykę, zakochała się w nim i postanowiła porwać go nowo zaślubionej żonie.

Po weselu dwoje nowożeńców żyło szczęśliwie, ale Król Papryka nigdy nie wychodził z domu. Wreszcie Król powiedział do córki:

– Córeczko, dlaczego nigdy nie wyjdiesz ze swoim mężem? Dobrze by było, abyście od czasu do czasu wybrali się na jakąś przechadzkę, choćby dla zdrowia!

– Owszem, ojczy. Ja także miałabym dzisiaj ochotę przejechać się kareta.

Kazali zaprząć i Królowa udała się z Królem Papryką na przejażdżkę. Turca-Cane, która czyhała tylko na chwilę, kiedy będzie mogła porwać Króla Paprykę, ruszyła za nimi w swojej karecie. Gdy wyjechali na otwarte



pola, Król Papryka zapragnął wsiąść z karety, by przejść się trochę pieszo. Naraz zerwał się silny wiatr: Król Papryka uleciał w powietrze. Lecąc przemknął koło karety Turca-Cane, która rozpostarła swój płaszcz i chwyciła go w locie. Tymczasem żona i stangret zaczęli go szukać wszędzie po polach, ale nie udało się im go odnaleźć. Królowna wróciła do pałacu zrozpaczona.

– A twój mąż? – spytał ojciec.

– Wiatr go porwał! Zamknę się w swojej komnacie ze swoją boleścią i nie chcę o niczym słyszeć.

Ale niedługo usiadła zamknięta w swojej komnacie. Nie mogąc dać sobie rady ze smutkiem, wzięła konia i sakiewkę z pieniędzmi, poprosiła ojca o błogosławieństwo i ruszyła na poszukiwanie Króla Papryki.

Pewnej nocy, w lesie, gdy słychać było wokoło ryk dzikich zwierząt, zobaczyła jakieś światło i zapukała.

– Kto tam?

– Dusza chrześcijańska, przenocuj mnie, bo inaczej pożrą mnie dzikie zwierzęta.

– Tu nie zachodzą ludzie, tylko same zwierzęta i węże. Jeśli jesteś chrześcijańska dusza, to przeżegnaj się krzyżem świętym.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen.

Drzwi otworzyły się, ukazał się starzec z długą brodą i spytał:

– Królowno, co robisz w tych okolicach pełnych dzikich zwierząt?

– Szukam swego szczęścia. Ulepiłam sobie własnoręcznie męża...

I opowiedziała mu swoją historię.

– Królowno – rzekł starzec – wiele do tego trzeba, żebyś odnalazła swego męża. Tymczasem weź ten kasztan. Nie zgub go. Jutro pojedziesz dalej i będziesz jechać, póki nie napotkasz drugiej chaty. Mieszka w niej mój brat: pytaj jego!

Na drugi dzień Królowna spotkała drugiego pustelnika, pustelnik dał jej orzech, żeby schowała go razem z kasztanem, i wskazał jej drogę do chaty trzeciego brata.

Trzeci pustelnik, który miał więcej lat niż tamci obaj razem wzięci, dał jej orzeszek laskowy i rzekł:

– Jedź tą drogą, napotkasz wielki pałac. Jest to pałac Turca-Cane. Do pałacu przylega drugi, brzydszy, w którym jest więzienie. Kiedy będziesz pod pałacem, rozłup kasztan i zacznij wołać, że chcesz sprzedać to, co wypadnie z kasztana. Na twoje wołanie wyjdzie pokojówka Turca-Cane i każe ci wejść. Turca-Cane zapyta cię, ile chcesz za to, co sprzedajesz. Nie żądaj pieniędzy: powiedz tylko, że chcesz zostać wieczorem sam na sam z mężem Turca-Cane. Czy wiesz, kto jest mężem Turca-Cane? Król Papryka. Jeśli nie uda ci się porozmawiać tego wieczoru z Królem Papryką, rozłupiesz orzech i będziesz sprzedawać to, co w nim jest. Jeśli nie uda ci się także za drugim razem, rozłupiesz orzeszek laskowy.

Królowna, doszedłszy do pałacu, rozłupała kasztan; wypadły z niego złote krosna i tkająca dziewczyna cała ze złota. Królowna zaczęła wołać:

– Kto kupi piękne złote krosna z tkającą dziewczyną całą ze złota?!

Wyglądnęła pokojówka i powiedziała do Turca-Cane:

– Najjaśniejsza pani, jakie piękne rzeczy są tu na sprzedaż! Kup je, bo tak są cenne, że mogą stać tylko w twojej galerii.

Zawołano Królownę na górę. Turca-Cane spytała:

– Ile chcesz za to?

– Nie chcę pieniędzy. Chcę tylko spędzić jedną noc zamknięta w komnacie z mężem waszej królewskiej mości.

Turca-Cane nie chciała, ale pokojówka ją przekonała. Turca-Cane dała Królowi Papryce do wypicia wino z makowym odwarem, położyła go do łóżka i powiedziała kobiecie sprzedającej krosna:

– Możesz wejść.

Królewna nie wiedziała, jak obudzić Króla Paprykę. Zaśpiewała mu:

*Królu z ciasta ulepiony,  
Zbudź się, przemów do twej żony!  
Pół roku cię przesiewałam,  
Pół roku cię zagniatałam,  
Pół roku ciebie kruszyłam,  
Pół roku znowu lepiłam  
I we wnęce postawiłam.  
Chcę cię wyrwać z rąk tej jędzy,  
Uciekajmy stąd czym prędzej!*

Ale Król Papryka nie słyszał. I tak, śpiewając i płacząc, Królewna doczekała dnia.

Odeszła już zrozpaczona, kiedy przypomniała sobie o radzie pustelnika i rozłupała orzech. Wypadły z niego złote krosienka z haftującą złotą dziewczyną.

Królewna zaczęła wołać:

– Kto kupi piękne złote krosienka z haftującą złotą dziewczyną?!

Wyglądnęła pokojówka i przywołała ją.

– Ile chcesz za to? – spytała Turca-Cane.

– Nie chcę pieniędzy, chcę znowu zostać w nocy sam na sam z mężem waszej królewskiej mości.

Ale także tego wieczoru Turca-Cane dała Królowi Papryce wino z makowym odwarem. I także tę noc Królewna spędziła śpiewając i płacząc, ale na próżno.

Więźniowie w więzieniu opodal już drugą noc nie mogli spać przez ten śpiew i płacz i, trochę po to, żeby móc spać, trochę przez współczucie, postanowili, że jeśli nazajutrz zobaczą wychodzącego Króla Paprykę, to zawołają nań zza swoich krat i opowiedzą o tych biadaniach.

I rzeczywiście, kiedy w dzień Król Papryka wyszedł z pałacu, więźniowie, wyciągając ręce zza krat, dali mu znak, by się przybliżył, i

powiedzieli mu:

– Najjaśniejszy panie, czy tak twardo śpisz w nocy? Słyszymy płacz i wołanie: „Królu Papryko!”, krzyk: „Jestem twoją żoną!”, śpiewanie, że zrobiła cię własnymi rękami, że pół roku cię lepiała, że pół roku cię kruszyła, czy to możliwe, byś niczego nie słyszał?

Król Papryka pomyślał: „Skoro nie słyszę, znaczy to, że Turca-Cane dodaje mi do wina makowego odwaru. Dzisiaj nie będę nic pił”.

Tymczasem biedna Królowna była bardziej zrozpaczona niż kiedykolwiek, bo został jej już tylko orzeszek laskowy. Rozłupała go: wypadł z niego piękny złoty koszyczek z szyjącą dziewczyną całą ze złota. Zawołała:

– Kto kupi piękny złoty koszyczek z szyjącą dziewczyną całą ze złota?!

Zawołano ją na górę, a ona zażądała tej samej ceny, co dwa razy przedtem.

Znalazłszy się sam na sam z uśpionym Królem Papryką, miała już zaśpiewać swoją pieśń, ale Król Papryka, który udał, że pije wino, a teraz udawał, że śpi, otworzył oczy i rzekł:

– Cicho bądź, żono, uciekniemy tej nocy. Jak mnie zdołałaś odnaleźć?

– Królu Papryko, tyle się naszukałam! – i opowiedziała mu o swoich utrapieniach.

Wyjaśnił jej, że nie mógł uciec, bo był ciągle we władzy czarów Turca-Cane, ale że tym razem Turca-Cane, sądząc, że jest uśpiony winem z makowym odwarem, trochę go odczarowała.

Otworzyli drzwi, upewnili się, że Turca-Cane śpi jak zabita, dosiedli oboje konia Królowny i pojechali.

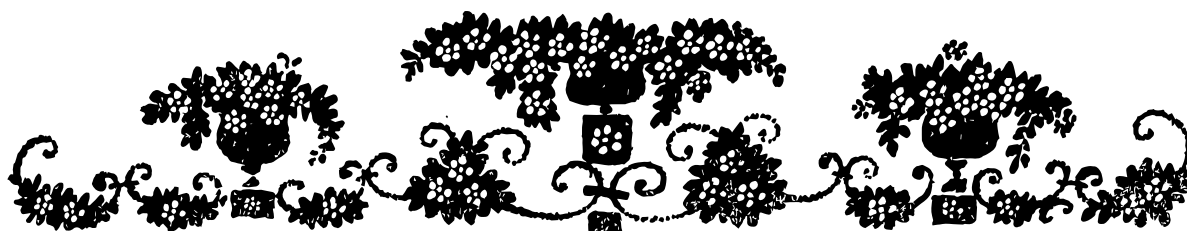
Kiedy Turca-Cane nazajutrz to spostrzegła, wyrwała sobie wszystkie włosy po jednym, a kiedy już nie miała więcej włosów, urwała sobie głowę i umarła.

Małżonkowie dojechali na koniu do pałacu Króla, ojca Królowny. Król stał na balkonie, ujrzał oboje na koniu i zawołał:

– Córeczko! Córeczko!

*Było wiele śpiewów i tańców, i bali,  
A myśmy z pustymi rękami zostali.*

*KALABRIA*



---

## COLA-RYBA

**B**yła raz w Mesynie kobieta i miała syna imieniem Cola, który rano i wieczór kąpał się w morzu. Matka wołała na niego z brzegu:

– Cola! Cola! Wracaj na brzeg, co ty robisz? Czyś ty ryba?

Ale on za każdym razem płynął dalej. Matka dostawała od krzyku skrętu kiszek. Pewnego dnia biedaczka tak krzyczała, a kiedy już nie mogła krzyczeć, wymknęło się jej przekleństwo:

– Cola! A żebyś się w rybę zamienił!

Widać owego dnia bramy nieba były otwarte i przekleństwo matki zostało wysłuchane: w jednej chwili Cola stał się pół człowiekiem, a pół rybą, z dłońmi pletwiastymi jak u kaczki i z żabią szyją. Na ziemię Cola już nie wrócił, a matka tak rozpaczała, że niebawem umarła.

Wieść, że w morzu koło Mesyny jest pół człowiek, pół ryba, dotarła aż do Króla i Król rozkazał wszystkim marynarzom, aby ten, który przypadkiem zobaczy Colę, powiedział mu, że Król chce z nim mówić.

Któregoś dnia pewien marynarz, wyruszywszy łodzią na pełne morze, zobaczył przepływającego opodal Colę.

– Cola! – zawołał. – Król Mesyny chce z tobą mówić!

I Cola natychmiast popłynął ku królewskiemu pałacowi.

Król, ujrawszy go, przyjął go łaskawie.

– Cola – rzekł mu – ty, taki dzielny pływak, mógłbyś opłynąć Sycylię wkoło i powiedzieć mi, gdzie morze jest najgłębsze i co w nim można zobaczyć!

Cola usłuchał i popłynął naokoło Sycylii. Niebawem był już z powrotem. Opowiedział, że na dnie morza widział góry, doliny, jaskinie i ryby wszelkiego rodzaju, ale bał się tylko wtedy, gdy płynął przez Cieśninę Mesyńską, bo tam nie zdołał dotrzeć do dna.

– A więc na czym Mesyna jest zbudowana? – spytał Król. – Musisz popłynąć w głąb i zobaczyć, na czym się wspiera.

Cola zanurzył się i pozostał pod wodą cały dzień. Potem wrócił na powierzchnię i powiedział Królowi:

– Mesyna jest zbudowana na skale, a skała opiera się na trzech kolumnach: jedna jest cała, druga nadłupana, a trzecia pęknięta.

*O, biada, biada Mesynie,  
Nieszczęście jej nie ominie!*

Król bardzo się zdziwił i wziął Colę do Neapolu, aby zbadał dno wulkanów. Cola popłynął w głąb, a potem opowiedział, że najpierw znalazł zimną wodę, potem gorącą, a gdzieś tam były nawet źródła słodkiej wody. Król nie chciał w to wierzyć, a wtedy Cola kazał sobie dać dwie butelki i napełnił jedną butelkę gorącą, a drugą słodką wodą.

Ale Królowi nie dawała spokoju myśl, że w cieśninie morze nie ma dna. Zawiózł znów Colę do Mesyny i rzekł mu:

– Cola, musisz mi powiedzieć, jak głębokie mniej więcej jest morze w cieśninie.

Cola zanurzył się i pozostał pod wodą dwa dni, a kiedy wrócił na powierzchnię, powiedział, że nie widział dna, bo jest tam słup dymu, który wychodzi spod skały i mąci wody.

Król, który nie mógł wytrzymać z ciekawości, rzekł:

– Rzuć się ze szczytu latarni.

Latarnia wznosiła się na samym koniuszku przylądka i w dawnych czasach był tam strażnik, który trąbił i wywieszał flagę, kiedy był rwący prąd, ostrzegając w ten sposób okręty, żeby wypływały na pełne morze.

Cola skoczył z wierzchołka. Król czeka jeden dzień, czeka dwa, czeka trzy – Coli nie widać. W końcu wynurzył się, ale był blady jak trup.

– Co się stało, Cola? – spytał Król.

– Stało się, że jestem półżywy ze strachu – odpowiedział Cola. – Widziałem rybę, której do pyska mógłby wpłynąć cały okręt. Aby mnie nie połknęła, musiałem się ukryć za jedną z trzech kolumn podtrzymujących Mesynę!

Król słuchał z otwartymi ustami, ale przekłeta ciekawość, jak głębokie jest morze w cieśninie, nie minęła mu. A Cola:

– Nie, najjaśniejszy panie, nie zanurzę się więcej, boję się.

Król, widząc, że nie udaje mu się go nakłonić, zdjął sobie z głowy koronę, całą wysadzaną drogimi kamieniami, które olśniewały oczy, i rzucił ją do morza.

– Przynieś mi ją, Cola!

– Cóżes uczynił, najjaśniejszy panie? To korona królestwa!

– Korona, jakiej drugiej nie ma na świecie – rzekł Król. – Cola, musisz mi ją przynieść!

– Skoro tego chcesz, najjaśniejszy panie – odpowiedział Cola – to się zanurzę. Ale serce mi mówi, że już nie wrócę na powierzchnię. Daj mi garść soczewicy. Jeśli ocaleję, to wypłynę sam; ale jeśli zobaczysz, że na powierzchnię wypływa soczewica, będzie to znaczyło, że więcej nie wrócę.

Dano mu soczewicę i Cola się zanurzył.

Czekają, czekają; po długim oczekiwaniu na powierzchnię wypłynęła soczewica. Cola do dziś nie wrócił.

*PALERMO (SYCYLIA)*





---

## GAŁĄZKA DAKTYŁOWA

**B**ył raz kupiec, który miał trzy podrosłe córki: najstarsza nazywała się Róża, średnia – Joanna, a trzecia, najładniejsza ze wszystkich – Ninetta.

Pewnego dnia kupcowi trafił się dobry interes. Wrócił do domu zamyślony.

– Co ci jest, ojcze? – spytały dziewczęta.

– Nic, moje dzieci: trafia mi się dobry interes, a nie mogę jechać, bo nie chcę zostawiać was samych.

– I tym się trapisz? – spytała najstarsza. – Zrób zapasy na cały czas swojej nieobecności, każ nas zamurować w domu, a kiedy Bóg da, zobaczymy się znowu.

Tak też kupiec zrobił: kupił zapasy jadła i rozkazał jednemu ze sług swoich, żeby co rano wołał z ulicy najstarszą córkę i wykonywał jej zlecenia. Żegnając się z córkami, spytał:

– Różo, co chcesz, żebym ci przywiózł?

A ona:

– Suknię koloru nieba.

– A ty, Joanno?

– Suknię koloru diamentów.

– A ty, Ninetto?

– Chciałabym, żebyś mi przywiózł piękną daktyłową gałąź w srebrnym wazonie. A jeśli mi jej nie przywieziesz, to niech się twój statek nie ruszy ani w przód, ani w tył.

– Ach, nieszczęsna – powiedziały siostry – czy nie wiesz, że możesz ściągnąć na ojca zły czar?

– Nie kłóćcie się z nią – rzekł kupiec. – Jest jeszcze mała, niech sobie mówi.

Kupiec pojechał i wylądował w miejscu, gdzie zrobił ten dobry interes, kupił suknie dla Róży i Joanny, ale o gałęzi daktylowej dla Ninetty zapomniał. Kiedy wsiadł na statek i znalazł się na pełnym morzu, rozpętała się straszna burza: błyskawice, grzmoty, pioruny, ulewa, bałwany – i statek nie mógł ruszyć się ani w przód, ani w tył.

Kapitan był w rozpacz.

– Skąd się wzięła ta burza?

Wtedy kupiec, który przypomniał sobie o klątwie córki, rzekł:

– Kapitanie, zapomniałem wykonać pewne zlecenie. Jeśli chcemy się ocalić, musimy odwrócić ster.

Zaledwie odwrócili ster, pogoda się zmieniła i z wiatrem dmącym w rufę wrócili do portu. Kupiec wysiadł, kupił daktylową gałąź, włożył ją do srebrnego wazonu i wrócił na pokład. Marynarze rozwinęli żagle i po trzech dniach podróży statek spokojnie zawinął do celu.

Tymczasem, kiedy kupca nie było, trzy dziewczyny żyły w domu z zamurowanymi drzwiami. Niczego im nie brakowało, miały nawet studnię na dziedzińcu, tak że mogły zawsze mieć wodę. Pewnego dnia zdarzyło się, że najstarszej córce wpadł do studni naparstek. Ninetta rzekła:

– Nie martwcie się, siostrzyczki, spuście mnie do studni, a poszukam naparstka.

– Spuścić cię do studni? Żartujesz! – odpowiedziała najstarsza.

– Tak, spuszczę się i odnajdę go.

I siostry ją spuściły.

Naparstek pływał po wodzie, Ninetta chwyciła go, ale podniósłszy głowę zobaczyła w ścianie studni otwór, przez który wpadało światło. Wyjęła

cegłę i po drugiej stronie ujrzała piękny ogród z kwiatami, drzewami i owocami wszelkiego rodzaju. Wyjmując cegły, zrobiła sobie przejście, wśliznęła się do ogrodu i nazrywała najpiękniejszych kwiatów i owoców. Gdy napełniła nimi podolek, wróciła do studni, ułożyła cegły na miejsce i krzyknęła do sióstr:

– Wyciągnijcie mnie!

I wróciła na górę świeża jak róża.

Siostry ujrzały, jak wychodzi ze studni z podołkiem pełnym jaśminu i wiśni.

– Skąd wzięłaś to wszystko?

– Co to was obchodzi? Jutro spuścicie mnie znowu i zabierzemy resztę.

Ogród należał do Królewicza portugalskiego. Kiedy Królewicz ujrzał swoje klomby ograbione, zaczął miotać gromy na biednego ogrodnika.

– Nie wiem, jak się to mogło stać – powtarzał ogrodnik, ale Królewicz nakazał mu być odtąd baczniejszym, inaczej biada mu.

Nazajutrz Ninetta gotowała się już zejść do ogrodu. Powiedziała siostrze:

– Spuszczajcie mnie!

– Albo ci się w głowie pomieszało, albo jesteś pijana.

– Nie jestem ani szalona, ani pijana: spuszczaście mnie.

I musiały ją spuścić.

Wyjęła cegły i weszła do ogrodu, nazrywała pełny fartuszek kwiatów i owoców i woła:

– Ciągnijcie!

Ale gdy odchodziła, Królewicz wyglądał przez okno i ujrzał ją, jak pomyka niby zajaczek; pobiegł do ogrodu, ale już jej nie było. Zawołał ogrodnika:

– Którędy ta dziewczyna tu weszła?

– Jaka dziewczyna, wasza królewska wysokość?

– Ta, która zrywa kwiaty i owoce w moim ogrodzie.

– Nic nie widziałem, wasza wysokość, przysięgam.

– Dobrze, jutro ja stanę na czatach.

I rzeczywiście, nazajutrz, ukryty za żywopłotem, zobaczył, jak dziewczyna ukazuje się wśród cegieł, wchodzi, napełnia fartuszek kwiatami i owocami aż po szyję. Wyskakuje i chce ją złapać, ale ona, zwinna jak kot, wskakuje w otwór w murze, zamyka go cegłami i już jej nie ma. Królewicz ogląda mur ze wszystkich stron, ale nie udaje mu się znaleźć miejsca, w którym cegły by się ruszały. Czeką nazajutrz, czeka trzeciego dnia, ale Ninetta, przestraszona tym, że ją spostrzeżono, już się więcej do studni nie spuszczała. Królewiczowi dziewczyna wydała się piękna jak wróżka: nie zaznał już spokoju, zachorzał i żaden z lekarzy w królestwie nic nie potrafił mu pomóc. Król zwołał naradę wszystkich lekarzy, mędrców i filozofów. Ten mówi swoje, tamten swoje, na koniec dano głos Mędrcowi Brodatemu.

– Najjaśniejszy panie – powiada Mędrzec Brodaty – spytaj syna, czy nie powziął miłości do jakiejś dziewczyny. Bo wtedy wszystko byłoby jasne.

Król każe wołać syna i pyta go. Syn opowiada mu wszystko: jeśli nie ożeni się z tą dziewczyną, nie zazna spokoju. Powiada Mędrzec Brodaty:

– Najjaśniejszy panie, urządź w pałacu trzydniową zabawę i ogłoś, że wszyscy ojcowie i matki wszelkiego stanu mają pod karą śmierci przyprowadzić na nią swoje córki.

Król zgodził się i wydał edykt.

Tymczasem kupiec wrócił z podróży, kazał odmurować drzwi i dał Róży i Joannie suknie, a Ninetcie gałązkę daktylową w srebrnym wazonie. Róża i Joanna nie mogły się doczekać chwili, kiedy będzie jakiś bal, i zaczęły przymierzać swoje suknie. Ninetta natomiast siedziała zamknięta ze swoją daktylową gałązką i nie myślała ani o przyjęciach, ani o balach. Ojciec i siostry mówili, że dostała bzika.

Kiedy ogłoszono edykt, kupiec poszedł do domu i powiedział o nim córkom.

– Doskonale! Doskonale! – zawołały Róża i Joanna, ale Ninetta wzruszyła ramionami i rzekła:

– Idźcie same, ja nie mam ochoty.

– Nie, córeczko – odpowiedział ojciec – za to jest kara śmierci, a ze śmiercią nie ma żartów.

– I co z tego? Kto wie, że masz trzy córki? Udawaj, że masz tylko dwie.

I wieczorem, w dzień pierwszego balu, Ninetta pozostała w domu.

*Gałązko daktylowa,  
Ubierz mnie od nowa,  
Niechaj będę strojna  
Jak jaka królowa!*

Na te słowa z gałązki wyszła jedna wróżka, potem druga i jeszcze wiele, wiele innych. A wszystkie miały na sobie suknie i klejnoty, jakich oko ludzkie nie widziało. Otoczyły Ninę i jedna zaczęła ją myć, druga pleść warkocze, trzecia ubierać: w jednej chwili całkiem ją ubrały, ozdobiły swoimi naszyjnikami, brylantami i drogimi kamieniami. Kiedy już błyszcząca od stóp do głów jak szczere złoto, wsiadła do karety, pojechała do pałacu, weszła po schodach, a wszyscy otworzyli usta z podziwu.

Królewicz zobaczył ją i poznał; pobiegł natychmiast do Króla, by mu o tym powiedzieć. Potem podszedł do niej, skłonił się i spytał:

– Jak się miewasz, pani?

– Miewam się.

– Jak się nazywasz?

– Swoim imieniem.

– A gdzie mieszkasz?

– W domu z drzwiami.

– Na jakiej ulicy?

– Na zakurzonej.

– Pani, przez ciebie umieram!

– Proszę, umieraj, jeśli wola!

I tak rozmawiając ze sobą dwornie, tańczyli przez cały wieczór, aż Królewicz się zasapał, gdy ona była ciągle świeża jak róża. Kiedy bal się skończył, Król, zatroskany o syna, dał niepostrzeżenie rozkaz sługom, by poszli za damą i zobaczyli, gdzie mieszka. Ninetta wsiadła do karety, ale gdy spostrzegła, że jest śledzona, rozplotła warkocze i na bruk posypały się perły i drogie kamienie. Słudzy rzucili się na perły jak kury na ziarno i tyle widzieli Ninette! Kazała zaciąć konie i zniknęła.

Przyjechała do domu przed siostrami i powiedziała:

*Gałązko daktylowa,  
Gałązko moja miła,  
Rozbierz mnie, abym znowu  
Taką jak pierwszej była.*

I została rozebrana i odziana w zwykłą domową suknię.

Wróciły siostry.

– Ninetto, Ninetto, gdybyś wiedziała, jaki był piękny bal!

– Była tam jakaś piękna dama trochę do ciebie podobna. Gdybyśmy nie wiedziały, że jesteś w domu, pomyślałybyśmy, że to ty...

– Tak, ja siedziałam sobie tutaj ze swoją gałązką...

– Ale jutro musisz pojechać.

Tymczasem słudzy Króla wrócili do pałacu z próżnymi rękami. A Król:

– Przeniewiercy! Łamiecie rozkazy dla garści grosiwa! Jeśli jutro nie pójdziecie za nią aż do jej domu, biada wam!

Także i nazajutrz Ninetta nie chciała jechać z siostrami na bal.

– Zbikowała z tą swoją daktylową gałęzią! Jedźmy!

I pojechały. Ninetta natychmiast zwróciła się do gałązki:

*Gałązko daktylowa,  
Ubierz mnie od nowa,  
Niechaj będę strojna  
Jak jaka królowa!*

I wróżki upięły jej włosy, ubrały ją w odświętną suknię, okryły klejnotami.

W pałacu wszyscy patrzeli na nią szeroko otwartymi oczyma, zwłaszcza siostry i ojciec. Królewicz natychmiast zbliżył się do niej.

– Jak się miewasz, pani?

– Miewam się.

– Jak się nazywasz?

– Swoim imieniem.

I tak dalej.

Królewicz się nie obraził i zaprosił ją do tańca. Tańczyli z sobą cały wieczór.

– Najświętsza Panienko! – mówiła jedna siostra do drugiej. – Ta dama to wykapana Ninetta!

Gdy Królewicz odprowadzał ją do karety, Król dał znak sługom. Ninetta, spostrzegłszy, że jest śledzona, wyciągnęła garść złotych pieniędzy; tym razem rzuciła je sługom w twarz i jednemu rozbiła nos, drugiemu podbiła oko, tak że stracili ślad karety i wrócili do pałacu jak obite psy, nawet sam Król się nad nimi ulitował. Ale powiedział:

– Jutro wieczór będzie ostatni bal: w ten czy inny sposób musimy się wreszcie czegoś dowiedzieć.





*Gałązko daktylowa,  
Gałązko moja miła,  
Rozbierz mnie, abym znowu  
Taką jak pierwszej była.*

W jednym oka mgnieniu przeobraziła się, a siostry po powrocie powiedziały jej znowu, jak bardzo podobna była do niej dama tak pięknie ubrana i z tak pięknymi klejnotami.

Trzeciego wieczoru wszystko odbyło się jak przedtem. Nina pojechała do pałacu piękna i świetna jak nigdy. Królewicz tańczył z nią jeszcze dłużej i topniał z miłości jak świeca.

O którejś godzinie Nina zapragnęła odjechać, ale wezwano ją przed oblicze Króla. Idzie cała drżąca i składa mu pokłon.

– Dzieweczko – rzecze Król – okpiłaś mnie dwa razy, ale trzeci raz ci się nie uda.

– Cóż takiego uczyniłam, najjaśniejszy panie?

– Uczyniłaś to, że mój syn usycha z miłości do ciebie. Nie myśl, że się wymkniesz.

– I jaki wyrok mnie czeka?

– Taki wyrok, że poślubisz Królewicza.

– Najjaśniejszy panie, nie ode mnie to zależy: mam ojca i dwie starsze siostry.

– Przywołać mi tu ojca!

Biedny kupiec, gdy posłyszał, że Król go wzywa, pomyślał: „Przyzwanie królewskie, skaranie niebieskie” i dostał gęziej skórki, bo miał na sumieniu kilka matactw. Ale Król wybaczył mu wszystkie uchybienia i poprosił go o rękę Ninetty dla swego syna. Nazajutrz otworzono kaplicę królewską na ślub Królewicza i Ninetty.

*PALERMO (SYCYLIA)*



---

## NIESZCZĘSNA

Powiadają, że byli raz Król i Królowa, którzy mieli siedem córek. Królowi wypowiedziano wojnę; został pokonany, stracił tron i dostał się do niewoli. Kiedy Król był w niewoli, na rodzinę przyszły ciężkie czasy: Królowa dla oszczędności opuściła pałac i zamieszkała z córkami w chatce; wszystko im szło na opak, cud, że miały co jeść. Pewnego dnia przechodził obok chatki przekupień owoców; Królowa woła go, aby kupić trochę fig; gdy kupuje figi, zbliża się jakaś staruszka i prosi o jałmużnę.

– Ach, babciu! – powiada Królowa. – Gdybym mogła, dałabym ci coś lepszego niż jałmużna, ale jestem taką samą nędzarką, jak ty, nie mogę.

– A jak się to stało, że zostałam nędzarką? – pyta staruszka.

– Nie wiesz? Jestem Królową hiszpańską i zbiedniałam przez wojnę, wydaną memu mężowi.

– Biedaczko, prawdę mówisz. Ale czy wiesz, dlaczego wszystko wam idzie na opak? Masz córkę, która jest naprawdę nieszczęsna, i póki będziesz ją trzymać w domu, nic ci się dobrego nie może przytrafić.

– Więc mam wyprawić córkę z domu?

– Tak.

– A która to z moich córek jest nieszczęsna?

– Ta, która śpi z rękami na krzyż. Idź dziś w nocy ze świecą w ręce do córek, kiedy będą spały: musisz wyprawić z domu tę, którą zastaniesz śpiącą z rękami na krzyż. Tylko w ten sposób odzyskasz utracone królestwo.

O północy Królowa bierze świecę i przechodzi przed łózkami swoich siedmiu córek. Wszystkie śpią – jedna ze złożonymi rękami, druga z rękami pod policzkiem, trzecia z rękami pod poduszką. Doszła do ostatniej, którą była najmłodsza, i ujrzała, że śpi z rękami na krzyż.

– Ach, córeczko! Właśnie ciebie mam odesłać!

Kiedy to mówi, najmłodsza córka budzi się i widzi matkę ze świecą w ręce i ze łzami w oczach.

– Mamo, co ci jest?

– Nic, córeczko. Przyszła jakaś staruszka i powiedziała mi, że będzie się nam lepiej wieść dopiero wtedy, gdy pozbędę się z domu córki przynoszącej nieszczęście, która śpi z rękami na krzyż. I tą córką jesteś ty!

– I dlatego płaczesz? – spytała córka. – Zaraz się ubiorę i pójdę.

Ubrała się, zrobiła ze swoich rzeczy zawiniątko i poszła. Szła, szła, aż doszła na puste pole, gdzie stał tylko jeden dom. Zbliżyła się, usłyszała stukot krosien i zobaczyła tkające kobiety.

– Chcesz wejść? – spytała jedna z tkaczek.

– Tak.

– Jak się nazywasz?

– Nieszczęsna.

– I chcesz u nas służyć?

– Tak.

I wzięła się do miotły i domowych posług. Wieczorem kobiety powiedziały jej:

– Słuchaj, Nieszczęsna: wychodzimy wieczorem, zamkniemy cię z zewnątrz, a ty zamkniesz się od środka. Kiedy wrócimy, otworzymy od zewnątrz, a ty otworzysz od środka. I musisz uważać, żeby ci nie ukradziono jedwabiu, galonów i płótna, któreśmy utkały.

I poszły.

Kiedy wybiła północ, Nieszczęsna usłyszała szcęk nożyczek, podbiegła ze świecą do krosien, zobaczyła jakąś kobietę odcinającą nożyczkami od krosien jedwab i złoty galon i zrozumiała, że to jest jej Zła Dola, która przysłała za nią aż tutaj. Rano tkaczki wróciły; otworzyły drzwi z zewnątrz, a ona od środka. I ledwie weszły, zobaczyły na podłodze to spustoszenie.

– Ach, bezwstydnico! To jest nagroda za to, żeśmy ci dały gościnę! Wynoś się precz!

I wyrzuciły ją z domu kopniakiem.

Nieszczęsna poszła przez pola. Wchodząc do jakiejś wsi, zatrzymała się przed sklepem z pieczywem, warzywami, winem i innymi rzeczami. Poprosiła o jałmużnę, a sklepikarka dała jej kawałek chleba i szklanę wina. Wrócił mąż, ulitował się nad dziewczyną i powiedział, że może zostać na noc i spać między workami w sklepie. Sklepikarz z żoną spal na górze; w nocy usłyszeli jakiś hałas i wstali: z beczek wyjęte były czopy i wino lało się na podłogę. Mąż, ujrawszy szkodę, zaczął szukać dziewczyny i znalazł ją na workach, jęczącą przez sen.

– Bezwstydnico! Tylko ty to mogłaś zrobić!

I jał okładać ją kijem, a potem ją wygonił.

Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, Nieszczęsna pobiegła z płaczem przed siebie. Gdy nastał dzień, spotkała w polu piorącą kobietę.

– Czego się gapisz?

– Zbłądziłam.

– A umiesz prać?

– Umiem.

– No to zostań i pierz ze mną; ja będę mydliła, a ty będziesz płukała.

Nieszczęsna zaczęła płukać sztuki bielizny, a potem je wieszać. Zdejmowała je w miarę, jak schły. Potem zaczęła je naprawiać, potem krochmalić i na ostatku prasować.

Trzeba wam wiedzieć, że bielizna ta należała do Królewicza. Kiedy Królewicz ją ujrzał, wydała mu się naprawdę piękna.

– Kumo Franciszko – rzekł – nigdy jeszcze tak mi nie uprałaś koszul! Tym razem zasłużyłaś na nagrodę.

I dał jej dziesięć dukatów. Kuma Franciszka za tych dziesięć dukatów przyodziała chędogo Nieszczęsną, kupiła worek mąki, rozczyniła ciasto i upiekła dwa kołaczki z anyżem i olejem sezamowym, które aż się prosiły, żeby je wziąć do ust. Powiedziała do Nieszczęsnej:

– Pójdiesz z tymi dwoma kołaczami nad morze i zawołasz na moją Dole: „Hej! Dolo kumy Franciszki!” – trzy razy. Za trzecim razem zjawi się moja Dola, dasz jej jeden kołacz i pozdrowisz ją ode mnie. Potem spytasz się jej, gdzie mieszka twoja Dola, i tej dasz drugi kołacz.

Nieszczęsna poszła powoli nad morze.

– Hej! Dolo kumy Franciszki! Hej! Dolo kumy Franciszki! Hej! Dolo kumy Franciszki!

I Dola kumy Franciszki przyszła. Nieszczęsna przekazała jej pozdrowienie i dała kołacz. Potem spytała:

– Dolo kumy Franciszki, powiedz mi łaskawie, gdzie mieszka moja Dola?

– Słuchaj uważnie: pójdiesz kawałek tą dróżką, napotkasz piekarnię; koło pieca zobaczysz starą wiedźmę, zagadaj do niej grzecznie, daj jej kołacz: to jest twoja Dola. Nie zechce wziąć kołacza, będzie opryskliwa. Ale ty zostaw kołacz i odejdz.

Nieszczęsna poszła do piekarni, znalazła staruszkę i prawie mdłości ją ogarnęły, gdy zobaczyła, jaka jest brudna, kaprawa i cuchnąca.

– Dolo moja, weź, proszę, kołacz – powiedziała podając jej kołacz.

A stara:

– Idź precz, idź precz! Kto cię prosił o kołacz?!

I odwróciła się do niej tyłem. Nieszczęsna położyła koło niej kołacz i wróciła do domu kumy Franciszki.

Nazajutrz był poniedziałek, dzień prania. Kuma Franciszka moczyła bieliznę, a potem ją mydliła; Nieszczęsna tarła ją i płukała, a kiedy była sucha, cerowała i prasowała. Gdy bielizna była już wyprasowana, kuma Franciszka włożyła ją do kosza i zniosła do pałacu. Królewicz, zobaczywszy ją, rzekł:

– Kumo Franciszko, nie zwódź mnie; nigdy jeszcze tak nie uprałaś bielizny.

I dał jej dziesięć dukatów.

Kuma Franciszka i tym razem kupiła mąki, upiekła znowu dwa kołaczki i posłała Nieszczęsną, by zniosła je obu Dolom.

Po następnym praniu Królewicz, który miał się żenić i dlatego zależało mu na tym, żeby bielizna była dobrze uprana, dał kumie Franciszce dwadzieścia dukatów. A kuma Franciszka kupiła tym razem nie tylko mąki na dwa kołaczki, ale dla Doli dziewczyny kupiła piękną suknię na rogówce, cienkie chustki i grzebień, pomadę do włosów i inne drobiazgi.

Nieszczęsna poszła do piekarni.

– Dolo moja, masz tu kołacz.

Dola, która zaczęła łagodnieć, mrużąc wzięła kołacz; wtedy Nieszczęsna rzuciła się na nią, schwyciła i zaczęła myć ją gąbką i mydłem, czesać i przebierać od stóp do głów. Dola wykręcała się jak wąż, ale gdy ujrzała się pięknie wymytą, zmieniła się całkiem.

– Słuchaj, Nieszczęsna – rzekła – za to, co dla mnie zrobiłaś, daję ci to puzderko.

I dała jej puzderko wielkości pudełka od zapalek.

Nieszczęsna pobiegła do domu kumy Franciszki i otworzyła puzderko. W środku był łokieć galonu. Trochę się rozczarowały.

– Och! Rzeczywiście się wysadziła! – powiedziały i wrzuciły galon w głąb komody.



Następnego tygodnia, gdy kuma Franciszka zaniósła upraną bieliznę do pałacu, zastała Królewicza z zasepioną twarzą. Praczka była w poufałości z Królewiczem i spytała go:

– Co waszej miłości jest?

– Co mi jest? To mi jest, że mam się żenić, a teraz się okazuje, że do sukni ślubnej mojej narzeczonej brakuje łokcia galonu i w całym królestwie nie można podobnego znaleźć.

– Poczekaj, wasza miłość – rzekła kuma Franciszka.

Pobiegła do domu, poszperała w komodzie i zaniósła ów kawałek galonu Królewiczowi. Porównali go z galonem na sukni ślubnej: był kubek w kubek taki sam.

Królewicz rzekł:

– Za to, że wybawiłaś mnie z kłopotu, zapłacę ci za ten galon tyle złota, ile zaważy.

Bierze wagę: po jednej stronie kładzie galon, po drugiej złoto. Ale złota nie było nigdy dosyć. Wzięto wagę pomostową: to samo.

– Kumo Franciszko – rzekł Królewicz do praczki – powiedz mi prawdę. Jak to się dzieje, że kawałek galonu tyle waży? Czyj on jest?

Kuma Franciszka musiała wszystko opowiedzieć i Królewicz zapragnął zobaczyć Nieszczęsną. Praczka ubrała dziewczynę przyzwoicie (powoli uskładały trochę rzeczy) i zaprowadziła ją do pałacu. Nieszczęsna weszła do komnaty królewskiej i zrobiła piękny dyg: była córką panującego i ułożenia pewnie jej nie brakowało. Królewicz pozdrowił ją i kazał jej usiąść, a potem spytał:

– Kto ty jesteś?

A wtedy Nieszczęsna:

– Jestem najmłodszą córką Króla hiszpańskiego, tego, który został wyzuty ze swego królestwa i wzięty do niewoli. Mój zły los kazał mi iść w świat i znosić grubiaństwa, wzgardę i bicie.

I opowiedziała mu wszystko.

Królewicz najpierw kazał wezwać tkaczki, którym Zła Dola odcięła jedwab i galon.

– Ile wynoszą wasze straty?

– Dwieście dukatów.

– Macie tu dwieście dukatów. Wiedźcie, że ta biedna dziewczyna, którą zbiłyście, jest córką panujących. Zapamiętajcie to sobie. Precz!

I kazał wezwać właścicieli sklepu, którym Zła Dola odetkała beczki.

– Jaką ponieśliście stratę?

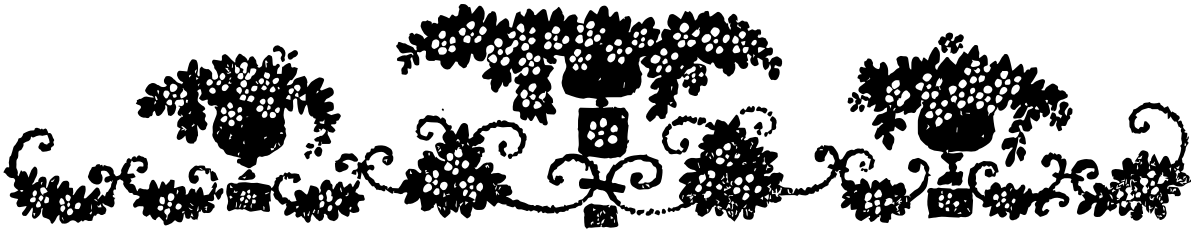
– Trzysta dukatów...

– Macie tu trzysta dukatów. Ale następnym razem pomyślcie dwa razy, zanim przyjdzie wam do głowy chłostać córkę panujących. Precz!

Odprawił dawną narzeczoną i poślubił Nieszczęsną. Kumę Franciszkę dał jej za damę dworu.

Zostawmy szczęśliwych i zadowolonych nowożeńców i zajmijmy się matką Nieszczęsnej. Po odejściu córki koło Fortuny zaczęło się kręcić pomyslnie: któregoś dnia przybył jej brat i bratankowie na czele silnego wojska i odbili jej królestwo. Królowa z córkami wróciła do swego starego pałacu, odzyskały wszystkie wygody, ale nękała je myśl o najmłodszej córce i siostrze, o której nic nie wiedziały. Tymczasem Królewicz, dowiedziawszy się, że matka Nieszczęsnej odzyskała swoje królestwo, wyprawił do niej posłów, by jej powiedzieli, że poślubił jej córkę. Matka, wielce zadowolona, ruszyła w podróż z rycerzami i damami dworu. Z rycerzami i damami dworu wyjechała naprzeciw niej córka. Spotkały się na granicy i ścisnęły się całymi godzinami, wśród sześciu córek, które stały wzruszone wokoło, i z wielką radością w obu królestwach.

*PALERMO (SYCYLIA)*



---

## KATARZYNA MĄDRA

**B**ędzie się tu opowiadać, proszę państwa, że był raz w Palermo wielki kupiec. I ten wielki kupiec miał córkę, która, gdy ją odstawiono od piersi, tak zmadrzała, że o wszystkim, co się działo w domu, miała coś do powiedzenia. Ojciec, widząc rozum córki, nazywał ją „Katarzyną Mądrą”. Nie było nikogo, kto by jej sprostał w wyuczaniu się wszelkiego rodzaju języków, w czytaniu wszelkiego rodzaju książek.

Kiedy miała szesnaście lat, umarła jej matka; dziewczyna tak nad tym bolała, że zamknęła się w swoim pokoju i nie chciała z niego wyjść. Jadła tam, spała tam; nie istniała już dla niej ani przechadzka, ani teatr, ani zabawa.

Ojciec, który świata poza jedynaczką nie widział, pomyślał, że trzeba by złożyć radę. Zwołał wszystkich rajców miejskich (bo chociaż był kupcem, żył w przyjaźni z najprzedniejszymi osobami) i powiedział:

– Panowie, wiecie, że mam córkę, która jest źrenicą moich oczu. Ale odkąd umarła jej matka, siedzi zamknięta jak kot i nie chce wystawić z domu ani czubka nosa.

Rada odpowiedziała:

– Imię twojej córki, dla jej wielkiej mądrości, powtarza cały świat. Załóż dla niej szkołę, a nauczając innych, zdoła może wypędzić z głowy ciężkie myśli.

– Ten pomysł mi się podoba – powiedział ojciec. Zawołał córkę i rzekł: – Słuchaj, moje dziecko, ponieważ nie chcesz żadnej rozrywki, pomyślałem,

żeby otworzyć dla ciebie szkołę, a ty będziesz jej kierowniczką. Co ty na to?

Katarzyna natychmiast się zgodziła. Zaczęła sama kierować nauczycielami i założyli szkołę. Zewnątrz umieścili tabliczkę: „Kto chce się uczyć u Katarzyny Mądrej, ma wstęp do szkoły wolny”.

Zbiegło się natychmiast mnóstwo chłopców i dziewcząt, a ona sadzała ich w ławkach jednego przy drugim, bez żadnej różnicy. Powiadają jej:

– Ależ to jest węglarczyk!

– Nic nie szkodzi: węglarczyk ma usiąść koło księżniczki. Jak kto przychodzi, tak siada.

I rozpoczęła się nauka. Katarzyna Mądra uczyła wszystkich jednakowo, ale kto nie nauczył się lekcji, tego czekały baty. Sława szkoły dobiegła aż do pałacu i sam Królewicz zapragnął się do niej udać. Przybiera się w paradne szaty, wchodzi, znajduje miejsce, a Katarzyna każe mu usiąść. Kiedy przyszła na niego kolej, Katarzyna zadaje mu pytanie. Królewicz nie umiał odpowiedzieć. Bęc! Tak go smagnęła, że jeszcze dziś pali go policzek.

Królewicz wstaje czerwony z gniewu, wybiega, pędzi do pałacu i idzie do ojca:

– Łaski, najjaśniejszy panie! Chcę się ożenić! Chcę pojąć za żonę Katarzynę Mądrą!

Król posyła po ojca Katarzyny. Ojciec przychodzi.

– Sługa waszej królewskiej mości!

– Powstań! Mój syn zadurzył się w twojej córce. Co mamy robić? Pożeńmy ich.

– Jak sobie życzysz, najjaśniejszy panie. Ale ja jestem kupcem, a twój syn jest z krwi królewskiej.

– Nic nie szkodzi: to mój syn jej chce....

Kupiec wrócił do domu.

– Katarzyno, Królewicz chce cię pojąć za żonę. Co ty na to?

– Biorę go.

Wełny na materace jej nie brakowało, komód także nie: za tydzień cała wyprawa była gotowa. Królewicz dał jej świtę z dwunastu panien. Otworzyli kaplicę królewską i wzięli ślub.

Po ślubie Królowa powiedziała pannom, żeby poszły rozebrać Królewiczową i położyły ją do łóżka. Ale Królewicz rzekł:

– Nie potrzeba nikogo do rozbierania ani do ubierania, ani warty za drzwiami.

Pozostawszy w ten sposób sam na sam z żoną, spytał jej:

– Katarzyno, pamiętasz to uderzenie, które mi dałaś? Żałujesz go?

– Czy żałuję? Jeśli chcesz, to możesz dostać drugie.

– Jak to? Nie żałujesz?

– Ani mi się śni.

– I nie chcesz żałować?

– Ani myślę.

– Ach, tak? Teraz ja ci pokażę.

I zaczyna przygotowywać sznur, żeby spuścić ją do podziemia. Kiedy sznur był gotów, powiada:

– Katarzyno, albo okażesz skruchę, albo spuszczę cię do podziemia!

– Będzie mi tam chłodniej! – odpowiada Katarzyna.

Królewicz chwytą ją i spuszcza do podziemia, dając jej za całe towarzystwo stolik, krzesło, dzban z wodą i kromkę chleba.

Nazajutrz Król i Królowa, jak to jest w zwyczaju, przyszli powiedzieć synowej „dzień dobry”.

– Nie można wchodzić – rzekł Królewicz – Katarzyna nie czuje się dobrze.

Potem poszedł otworzyć podziemie.

– Jak spędziłaś noc?

– Bardzo dobrze – odpowiedziała Katarzyna.

– Myślisz o uderzeniu, które mi dałaś?

– Myślę o tym, które mam ci dać.

Minęły dwa dni i głód zaczął jej doskwierać. Nie wiedząc, co robić, wyciągnęła pręt z gorsetu i zaczęła drążyć dziurę w murze. Drąży, drąży, po dwudziestu czterech godzinach ujrzała strużkę światła i poczuła, że odżywa. Rozszerzyła otwór i przyłożyła doń oko. Ujrzała przechodzącego mimo skrybę swego ojca.

– Don Tommaso! Don Tommaso!

Don Tommaso nie mógł zrozumieć, co to może być ten głos wychodzący z muru.

– To ja, Katarzyna Mądra. Powiedz mojemu ojcu, że chcę z nim zaraz mówić.

Don Tommaso wrócił z ojcem Katarzyny i pokazał mu to miejsce w murze.

– Ojczy, taki jest mój los, jestem w podziemiu. Musisz kazać wydrążyć przejście z podziemia naszego pałacu aż tutaj, z belką i lampą co dwadzieścia kroków, a resztę zdaj na mnie.

Kupiec przyrzekł to uczynić, a tymczasem zaczął jej posyłać przez ten otwór kury, kogutki, pożywne potrawy.

Trzy razy dziennie Królewicz zaglądał do podziemia.

– Katarzyno, żałujesz policzka, który mi dałaś?

– Czego mam żałować? Pomyśl raczej o policzku, który ci dam.

Tymczasem murarze pracowali nad wydrążeniem podziemnego przejścia z belką i latarnią co dwadzieścia kroków. Gdy tylko było gotowe, Katarzyna, za każdym razem kiedy Królewicz po zaglądnięciu zamykał podziemie, szła do domu ojca.

Po kilku dniach Królewicz zaczął mieć dość tej zabawy. Otworzył podziemie.

– Katarzyno, jadę do Neapolu. Nie masz mi nic do powiedzenia?

– Bardzo mi przyjemnie, baw się dobrze. Kiedy przyjedziesz do Neapolu, napisz do mnie.

– Więc mam jechać?

– Jak to? Jeszcze tu jesteś?

I Królewicz pojechał. Gdy tylko zamknął z powrotem podziemie, Katarzyna pobiegła do ojca.

– Ojczy, teraz musisz mi pomóc. Trzeba mi brygantyny gotowej do odjazdu, służącej, lokaja, galowych sukien; wszystko to musisz posłać do Neapolu. Tam niech wynajmą pałac naprzeciw pałacu królewskiego i niech czekają na mnie.

Kupiec wysłał brygantynę. Królewicz tymczasem kazał przygotować fregatę wojenną i także odpłynął. Gdy Katarzyna z balkonu ojcowskiego ujrzała odjeżdżającego Królewicza, wsiadła na drugą brygantynę i dopłynęła przed nim do Neapolu: małe statki, jak wiadomo, płyną szybciej niż wielkie.

W Neapolu Katarzyna stawała na balkonie swego pałacu, wystrojona co dzień w coraz piękniejszą suknię. Królewicz ujrzał ją i wykrzyknął:

– Jaka podobna do Katarzyny Mądrej! – i zakochał się w niej.

Wyprawił do niej posłańca.

– Pani! Królewicz chciałby złożyć ci uszanowanie, jeśli tylko nic przeciw temu nie masz.

– Proszę bardzo! – odpowiedziała.

Przyszedł Królewicz, odświętnie ubrany, przywitali się z wielkimi ceremoniami, potem zasiedli do rozmowy. Królewicz spytał:

A ty, pani, jesteś jeszcze wolna?

– Wolna. A ty?

– Ja także. Mam ci to powiedzieć? Ty, pani, jesteś podobna do pewnej dziewczyny, która podobała mi się w Palermo. Chciałbym pojąć cię za



żonę.

– Bardzo mnie to cieszy, wasza królewiczowska mość.

I w tydzień potem pobrali się.

Po dziewięciu miesiącach Katarzyna urodziła pięknego chłopca.

– Jakie mu damy imię? – spytał Królewicz.

– Neapol – odpowiedziała Katarzyna.

I dali mu imię Neapol.

Minęły dwa lata. Królewicz chciał wyjechać. Królewiczowej się to nie podobało, ale on chciał wyjechać za wszelką cenę. Dał jej papier, w którym było napisane, że dziecko jest jego pierworodnym synem i w swoim czasie ma zostać Królem. I wyjechał do Genui.

Gdy tylko Królewicz wyjechał, Katarzyna napisała do ojca, żeby natychmiast wysłał do Genui brygantynę z meblami, służącą, lokaja i całą resztę, żeby wynajęli pałac naprzeciw pałacu królewskiego w Genui i czekali na nią. Kupiec załadował brygantynę i wysłał do Genui.

Katarzyna także wzięła brygantynę i pojechała do Genui przed Królewiczem. Zamieszkała w pałacu i kiedy Królewicz ujrzał tę piękną dziewczynę, uczesaną po królewsku, w klejnotach i bogatych szatach, wykrzyknął:

– Jaka podobna do Katarzyny Mądrej, a także do mojej żony z Neapolu! – i wyprawił do niej posłańca; Katarzyna oświadczyła, że chętnie go przyjmie.

– Czy jesteś wolna? – spytał Królewicz.

– Jestem wdową – odpowiedziała Katarzyna. – A ty?

– Ja także jestem wdowcem. Z synem. Ale czy wiesz, że jesteś podobna kubek w kubek do pewnej damy, którą znałem w Palermo i do damy, którą znałem w Neapolu?

– Czy nie wiesz? Jest nas na świecie siedem podobnych do siebie!

I tak, krótko mówiąc, w tydzień potem byli już mężem i żoną.

Po dziewięciu miesiącach Katarzyna urodziła drugiego chłopca, piękniejszego niż pierwszy. Królewicz był szczęśliwy.

– Jakie damy mu imię?

– Genua!

I nazwali go Genuą.

Minęły dwa lata i Królewiczowi znowu zachciało się wyjechać.

– Wyjeżdżasz i zostawiasz mnie z dzieckiem na rękę? – spytała go żona.

– Dam ci papier – uspokoił ją Królewicz – że dziecko jest moje i że jest książątkiem.

Kiedy czynił przygotowania do wyjazdu do Wenecji, Katarzyna napisała do Palermo do ojca o nową brygantynę z lokajem, służącą, meblami, nowymi sukniami i resztą. Brygantyną popłynęła do Wenecji. Królewicz wypłynął na fregacie, Królewiczowa wypłynęła na brygantynie i przybyła przed nim.

– Wielkie nieba! – wykrzyknął Królewicz, ledwie ujrzał piękną damę wyglądającą przez okno. – Także i ta podobna jest całkiem do mojej żony z Genui, która była całkiem podobna do mojej żony z Neapolu, która była całkiem podobna do Katarzyny Mądrej! Ale jak to może być? Katarzyna jest w Palermo zamknięta w podziemiu; ta z Neapolu jest w Neapolu, ta z Genui w Genui, a ta jest w Wenecji...

Wyprawił do niej posłańca, a potem poszedł ją odwiedzić.

– Ale czy wiesz, pani, że jesteś podobna do kilku pań, które znałem: do jednej w Palermo, jednej w Neapolu, jednej w Genui...

– Ech! Każda kobieta ma siedem podobnych do siebie na świecie...

I tak wiedli dalej zwykłą rozmowę:

– Czy jesteś panną?

– Nie, jestem wdową. A ty?

– Ja także jestem wdowcem... Z dwoma synami...

I po tygodniu pobrali się.

Tym razem Katarzyna powiła córeczkę, piękną jak słońce i księżyc.

– Jakie imię jej damy? – spytał Królewicz.

– Wenecja.

I ochrzczili ją Wenecja. Minęły znowu dwa lata.

– Wiesz, miłościwa pani, muszę wracać do Palermo. Ale przed wyjazdem dam ci taki oto papier: że to jest moja córka i że jest księżniczką krwi.

Wyjechał, ale Katarzyna przybyła do Palermo przed nim. Poszła do domu ojca, przeszła przez korytarz i wróciła do podziemia. Królewicz, zaraz po przyjeździe, pobiegł otworzyć podziemie.

– Katarzyno, jak się miewasz?

– Ja? Dobrze!

– Żałujesz tego policzka, który mi dałaś?

– A ty pomyślałeś o tym, który masz dostać?

– Okaż skrucę, Katarzyno! Bo jak nie, to ożenię się z inną.

– A żeń się! Kto ci broni?

– Ale jak okażesz skrucę, to znowu będziesz moją żoną.

– Nie.

Wtedy Królewicz ogłosił, że jego żona umarła i że chce ożenić się po raz drugi. Napisał do różnych królów, żeby mu przysłali portrety swoich córek. Portrety nadeszły; najlepszy był portret córki Króla Anglii. Królewicz wysłał do niej posłów, by przyjechała razem z matką na ślub.

Przyjechała do Palermo cała angielska rodzina królewska i nazajutrz miał się odbyć ślub. Co tymczasem robi Katarzyna? Kaze przygotować piękne królewskie szaty dla swoich trojga dzieci, Neapola, Genui i Wenecji. Sama ubiera się jak Królowa, którą była, bierze za rękę Neapola w stroju Królewicza, Genuę i Wenecję w stroju księcia i księżniczki i jedzie galową kareta do pałacu.

Nadchodzi orszak weselny z Królewiczem i córką Króla Anglii i Katarzyna mówi do dzieci:

– Neapol, Genua, Wenecja! Idźcie ucałować rękę waszego ojca!

I dzieci pobiegły ucałować rękę Królewicza.

Królewiczowi, kiedy je ujrzał, pozostało tylko uznać się za pokonanego.

– To rzeczywiście jest policzek, jaki miałaś mi dać! – wykrzyknął i uściskał dzieci. Królowa angielska osłupiała: zawróciła do drzwi i odjechała.

Katarzyna wyjaśniła mężowi tajemnicę podobnych do siebie dam, a Królewicz bez końca prosił ją o przebaczenie.

*PALERMO (SYCYLIA)*



---

## GOŁĄB ZŁODZIEJEM

**B**yła raz Królowna z takim pięknym warkoczem, że nie chciała fryzjera i czesała się zawsze sama. Pewnego dnia, czesząc się, zostawiła grzebień na parapecie. Na parapecie usiadł gołąb, chwycił dziobem grzebień i poleciał.

– Stój! Stój! Gołąb porwał mi grzebień! – zawołała Królowna, ale gołąb był już daleko.

Nazajutrz, kiedy Królowna znowu czesała się w oknie, gołąb wrócił, porwał wstążkę i uciekł.

Trzeciego dnia, kiedy skończywszy się czesać, miała jeszcze chustkę zarzuconą na ramiona, gołąb spuścił się, chwycił chustkę i odleciał. Tym razem rozgniewana dziewczyna wzięła jedwabną drabinkę, zeszła po niej na dół i pobiegła za gołębiem. Gołąb zaś, zamiast uciec, jak czynią wszystkie gołębie, czekał, by się do niego zbliżyła, potem ulatywał i siadał trochę dalej. Dziewczyna wpadała w coraz większy gniew; gołąb, odlatując, zapuścił się w las, a Królowna za nim. W głębi lasu była samotna chatka, gołąb do niej wleciał. Drzwi były otwarte, a w środku Królowna zobaczyła pięknego młodzieńca. Spytała go:

- Czy nie widziałeś wlatującego gołębia z chustką w dziobie?
- Widziałem – odpowiedział młodzieniec. – To ja jestem tym gołębiem.
- Ty?
- Tak.
- Jak to?

– Zaczarowały mnie wróżki i nie mogę wyjść stąd w postaci ludzkiej, póki ty nie posiedzisz w oknie tej chatki na słońcu i pod gwiazdami przez jeden rok, jeden miesiąc i jeden dzień, z oczyma utkwionymi w tę górę naprzeciw, gdzie ja będę latał w postaci gołębia.

Królowna, nie zastanawiając się nawet, usiadła w oknie. Gołąb poleciał i usiadł na górze. Minął dzień, dwa, trzy, Królowna siedziała wciąż nieruchomo, zapatrzona w górę; minęły tygodnie, a Królowna siedziała pod słońcem, księżycem i gwiazdami, ciągle nieruchoma, jak gdyby była z drzewa. I powoli robiła się smagła, coraz smaglejsza, aż zrobiła się czarna jak smoła. Tak minął jeden rok, jeden, miesiąc i jeden dzień i gołąb zamienił się z powrotem w człowieka i zszedł z góry. Gdy tylko ujrzał, że Królowna zrobiła się taka czarna, wykrzyknął:

– Fe! Jaka brzydka jesteś! Jak ci nie wstyd pokazywać się ludziom, kiedy tak zbrzydłaś przez miłość dla mężczyzny! Idź precz! – i splunął na nią.

Biednej dziewczynie wydało się, że kona z bólu. Zaczęła iść, a kiedy była w polu i zanosila się od płaczu, spotkały ją trzy wróżki.

– Co ci jest?

A ona, płacząc, opowiedziała im wszystko.

– Nie martw się – powiedziały jej wróżki – zawsze taka nie będziesz.

I najstarsza wróżka przesunęła dłonią po jej twarzy: dziewczyna zrobiła się znów piękna, i to jeszcze piękniejsza niż przedtem, piękna jak słońce. Druga wróżka dała jej cesarską suknię, a najmłodsza – kosz klejnotów.

– Teraz – powiedziały wróżki – będziemy zawsze przy tobie i będziemy udawać, że jesteśmy twoimi służebnicami.

Ruszyły w drogę i doszły do miasta, gdzie Królem był ów młodzieniec. Wróżki w jednym oka mgnieniu kazały wznieść naprzeciw pałacu królewskiego pałac stokroć piękniejszy. Król wygląda, widzi ten dziw i zdaje mu się, że śni. W jednym oknie stała dziewczyna, która wydała mu się cesarzówną, i zaczął do niej strzelać oczami.

– Jeśli zaczniesz się umizgać, to zachęć go – powiedziały jej wróżki.

Król patrzy dzisiaj, mruga nazajutrz, w końcu pyta ją, czyby go nie odwiedziła. Królowna z początku, raz czy dwa razy, odpowiada, że nie, ale w końcu mówi:

– Dobrze, najjaśniejszy panie, ale jeśli chcesz, żebym cię odwiedziła, to musisz kazać zrobić most od mojego balkonu do twojego, z kobiercem z płatków różanych grubości dwóch piędzi.

Król nawet jej nie dał dokończyć: rozkazał, by zrobiono most. Setki kobiet zaczęło rwać róże, skubać płatki, całe wory, góry, nikt nigdy czegoś takiego nie widział.

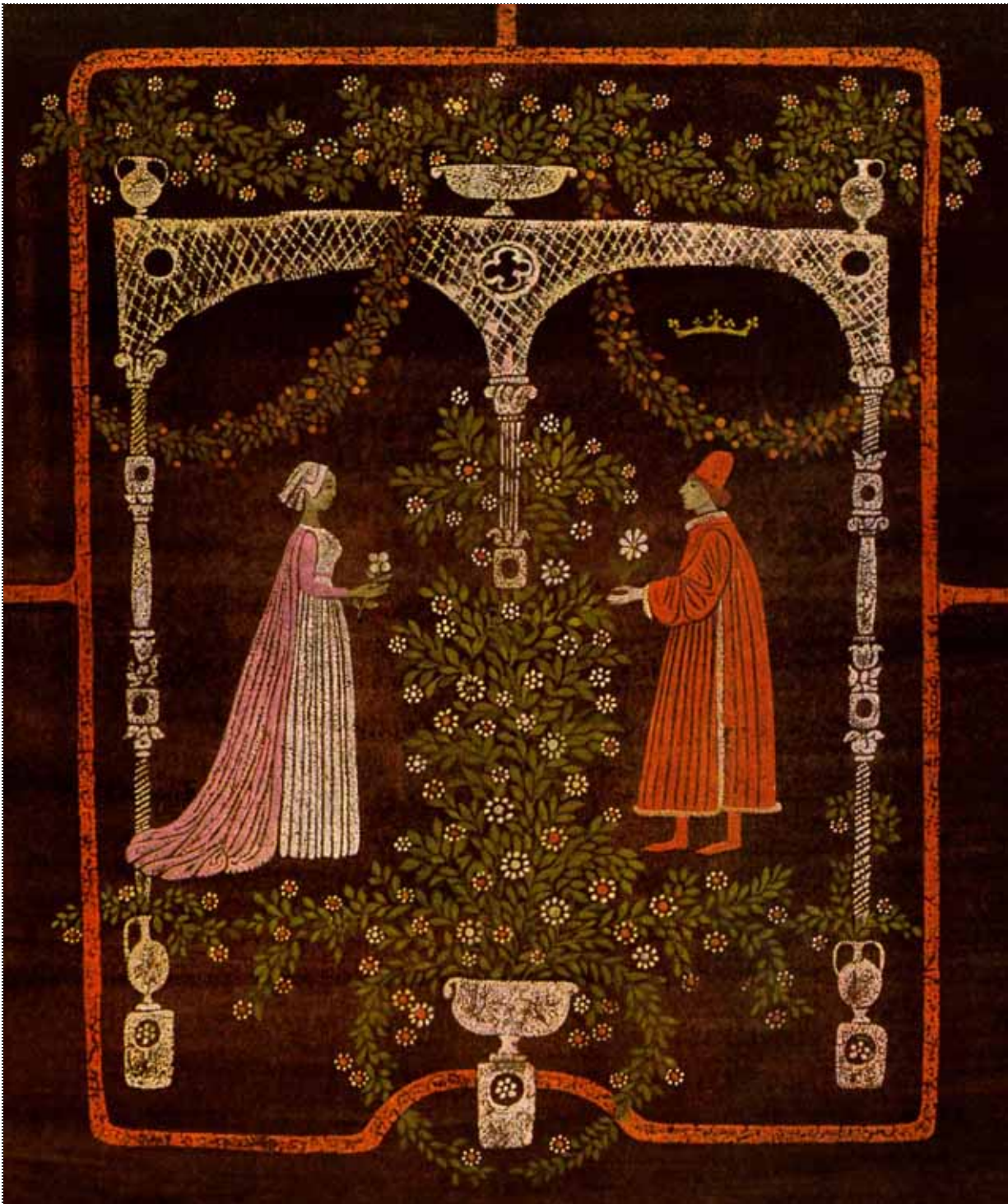
Gdy most z płatkami różanymi był gotów, wróżki rzekły Królownie:

– Ubierz się jak wielka cesarzówna, a my będziemy iść za tobą jako twoje damy dworu. Gdy będziesz w połowie mostu, udaj, że ukłuł cię kolec, a resztę zostaw nam.

Królowna zaczęła kroczyć po płatkach różanych ubrana w różową suknię cesarzówny. Król z wielką niecierpliwością czekał na nią po drugiej stronie, ale z rozkazu cesarzówny nie mógł stąpnąć nogą na most. Doszedłszy do połowy mostu, Królowna krzyknęła:

– Ach, ukłuł mnie kolec! – i udała, że mdleje.

Wróżki podniosły ją i zabrały do pałacu. Król chciał pobiec jej na pomoc, ale wzbraniał mu tego rozkaz, więc pozostał po drugiej stronie, gryząc sobie palce.



Ze swego pałacu widział, jak tam naprzeciwko przychodzą i odchodzą lekarze i aptekarze; w końcu wszedł także ksiądz z Panem Bogiem. Tylko on jeden nie mógł tam pójść. Mówiono, że od kolca spuchła jej noga, że



ciągle jest gorzej; po czterdziestu dniach dowiedziano się, że choroba przesiliła się i że cesarzówna wraca do zdrowia. Gdy Król się dowiedział, że wyzdrowiała, zaczął ją prosić, by go przyjęła. Wtedy wróżki powiedziały dziewczynie:

– Odpowiedz mu, że to ty pójdziesz go odwiedzić, ale chcesz mieć most zasypany jaśminem na trzy piędzie. A kiedy będziesz w połowie mostu, udasz, że znowu ukłuł cię kolec.

Król kazał śpiesznie zerwać wszystkie kwiaty jaśminu w królestwie i zrobić z nich wielki kobierzec. I kiedy wszystko było gotowe, dziewczyna zaczęła kroczyć w cesarskiej sukni. Po drugiej stronie mostu Król patrzył na nią z bijącym sercem, bojąc się nowego kolca. W połowie drogi Królowna krzyknęła:

– Ach! Umieram! Kolec przebił mi nogę!

Damy wzięły ją omdlałą na ręce i odniosły do pałacu. Król rwał sobie włosy z głowy.

Zaczął słać do niej sługi za sługami, ale nie mógł jej zobaczyć ani przejść przez most i z rozpaczyny bił głową o ścianę. W końcu położył się chory do łóżka i dalej słał posłów, by dowiedzieć się, jak się cesarzówna miewa; w końcu kazał ją prosić, by mu pozwoliła przyjść do siebie, bo chce prosić ją o rękę.

– Powiedzcie mu – odpowiedziała Królowna – że zbliżę się do niego tylko wtedy, kiedy ujrzę go na marach.

Gdy Król, który stracił już głowę, usłyszał tę odpowiedź, kazał przygotować mary, ustawić wokół nich gromnice, i udając, że jest martwy, kazał ponieść się pod okna cesarzówny.

– Wyglądniej, miłościwa pani – powiedzieli jej – na dole jest nasz zmarły Król.

Dziewczyna wyszła na balkon i rzekła:

– Fe! Co za gęba! Taka ci się zrobiła przez miłość dla kobiety? – i splunęła nań.

Król, usłyszawszy te słowa, przypomniał sobie, co powiedział owej dobrej dziewczynie czarnej jak smoła, i w tej chwili przyszło mu do głowy, że była podobna do tej przepięknej cesarzówny, w której się zakochał. I naraz zrozumiał, że jest to jedna i ta sama osoba. Wyobraźcie sobie jego rozpacz! Udawał martwego, a omal nie stał się martwym naprawdę.

Ale przyszły trzy damy dworu i powiedziały mu, że ich pani go oczekuje. Król wszedł i poprosił o przebaczenie. Otworzono natychmiast kaplicę królewską i wzięli ślub. Król chciał, żeby trzy wróżki pozostały z nimi, ale one pożegnały się pięknie i odeszły.

*PALERMO (SYCYLIA)*

---

## CZARNOKSIĘSKA KSIĘGA

**P**ewien rybak miał synka, który mówił widząc, jak ojciec wchodzi do łodzi:

– Ojczy, weź mnie z sobą.

A Rybak:

– Nie, bo może być burza.

A jeśli morze było spokojne:

– Nie, bo może nadpłynąć rekin.

A w porze, gdy rekinów nie było:

– Nie, bo łódź może zatonać.

Tak go powstrzymywał do czasu, kiedy chłopiec skończył dziewięć lat, ale potem nie było już sposobu. Musiał wziąć go na połów na pełnym morzu.

Na morzu rybak zarzucił sieci, a chłopiec wędkę. Rybak wyciągnął sieć, w której nie było ani jednej rybki, a chłopiec wyciągnął wędkę z ogromną rybą.

– Ojczy, tę rybę chcę sam zanieść Królowi.

Wrócili na brzeg, chłopiec ubrał się chędogo, włożył rybę do kosza na podściółce z zielonych alg i poszedł do Króla.

Król zobaczył rybę i klasnął językiem.

– Hej! – zawołał na służącego. – Hej! Dajcie pięćdziesiąt dukatów temu rybaczkowi! – I spytał go: – Jak się nazywasz?

– Pidduzzu – odpowiedział mały rybak.

– A więc, Pidduzzu, chciałbyś zostać w pałacu królewskim?

– Pewnie, że chciałbym! – odpowiedział chłopiec.

Tak więc za zgodą ojca Pidduzzu został wychowany w pałacu, odziany w cienki jedwab, i miał wielu nauczycieli i profesorów. Stał się wykształcony, urósł, i nie nazywano go już Pidduzzu, ale „kawaler Don Pidduzzu”.

W pałacu chowała się także królowna, która nazywała się Pippina i kochała Pidduzzu jak źrenicę oka. Kiedy miała siedemnaście lat, przyjechał pewien Królewicz, by prosić o jej rękę. Ojciec, któremu było to po myśli, pomówił z nią, by ją skłonić do poślubienia go. Ale Pippina miała w sercu Pidduzzu i powiedziała ojcu, że albo wyjdzie za Pidduzzu, albo nie wyjdzie za mąż w ogóle. Król zachnął się i zawołał Pidduzzu.

– Moja córka straciła głowę dla ciebie, a to nie może być; musisz opuścić pałac.

– Najjaśniejszy panie – rzekł Don Pidduzzu – w taki sposób mnie odprawiasz?

– Przykro mi – odpowiedział Król – chowałem cię jak syna. Ale nie bój się, nie przestanę o tobie myśleć.

Tak więc Don Pidduzzu poszedł w świat, a królownę zamknięto w klasztorze, takim, powiedzmy, jak klasztor Świętej Katarzyny.

Don Pidduzzu zamieszkał w gospodzie. Jego okno wychodziło na podwórkę, a na to podwórkę wychodziło także okienko tego klasztoru. W okienku stanęła Pippina. Ledwie się zobaczyli, zaczęli pocieszać się słowem i gestami. Pippina znalazła w swojej celi książkę z czarami, ukrytą przez pewną mniszkę, która została czarownicą, i spuściła ją Don Pidduzzu z okna.

Nazajutrz Król poszedł odwiedzić córkę; poprosił matkę przełożoną o pozwolenie na rozmowę z nią, a że był Królem, więc je otrzymał. Królowna rzekła ojcu:

– Słuchaj, ojcze, zakończmy tę sprawę. Królewicz ma swoją brygantynę; daj brygantynę Don Pidduzzu. Niech obaj jadą, jeden w jedną stronę, drugi

w drugą. Który wróci z piękniejszymi podarkami, ten zostanie moim mężem.

– Pomysł mi się podoba – rzekł Król. – Tak uczynię.

I wezwawszy do pałacu obu zalotników, przedstawił im pomysł córki. Obaj się ucieszyli: Królewicz dlatego, że wiedział, iż Don Pidduzzu nie ma złamanego grosza, Don Pidduzzu dlatego, że mając księgę z czarami, był pewien swojej sprawy.

Podnieśli więc kotwice i popłynęli. Na morzu Don Pidduzzu otworzył książkę; było tam napisane: „Jutro przybij do pierwszego lądu, jaki napotkasz; wysiądź z całą załogą i z drągiem”. Nazajutrz ujrzeli w dali jakąś wyspę. Don Pidduzzu i załoga wysiedli z drągiem. Na lądzie Don Pidduzzu otworzył księgę. Było tam napisane: „W samym środku wyspy znajdziesz spuszczone drzwi, potem drugie i trzecie: podnieś je drągiem i zejdziesz na dół”. Tak też uczynił: znalazł spuszczone drzwi w środku wyspy, podniósł je, podważając drągiem; pod drzwiami były drugie, a pod nimi trzecie. Kiedy podniósł ostatnie, ukazały się schody. Zszedł po nich na dół i znalazł się w galerii całej z dukatowego złota: ściany, drzwi, posadzka, sufit – wszystko ze złota, i stół zastawiony na dwadzieścia cztery osoby, ze złotymi łyżkami, solniczkami, świecznikami. Don Pidduzzu zajrzał do księgi. Było tam napisane: „Weź to sobie”. Zawołał załogę i kazał zanieść wszystko na pokład. Ładowali dwanaście dni. Były tam dwadzieścia cztery posągi całe ze złota, takie ciężkie, że można było załadować tylko dwa dziennie. W księdze było napisane: „Zostaw drzwi, jak je zastałeś”. Tak też uczynił i brygantyna podniosła kotwicę.

„Rozwiń żagle i płyn dalej” – mówiła księga. Żeglowali tak cały miesiąc, aż marynarze zaczęli mieć tego dość.

– Kapitanie, dokąd nas prowadzisz?

– Płynmy dalej, chłopcy, a wnet będziemy w Palermo.

Otwierał codziennie księgę, ale nic tam nie było napisane. W końcu znalazł: „Jutro zobaczysz wyspę: wyląduj”. Na lądzie księga mówiła znowu: „W środku wyspy są spuszczone drzwi; podnieś je; potem dwoje następnych, potem schody; zejź na dół, a wszystko, co znajdziesz, jest twoje”. Tym razem Don Pidduzzu znalazł jaskinię z wiszącymi szynkami i serami, a naokoło mnóstwo dzbanów. Przeczytał w księdze: „Nie jedz niczego, weź trzeci dzban na lewo, jest tam balsam, który leczy każdą chorobę”. I Don Pidduzzu zabrał dzban na pokład. Na pokładzie otworzył księgę: „Wracaj” – było tam napisane.

– Nareszcie! – zakrzyknęli wszyscy.

Ale w drodze powrotnej, gdy żeglowali i widzieli tylko niebo i morze, niebo i morze, na widnokręgu pojawiły się okręty tureckich piratów. Stoczono bitwę i cała załoga dostała się do niewoli; zawieziono ich do Turcji. Don Pidduzzu i sternik zostali zaprowadzeni do sułtana. Sułtan spytał tłumacza:

– Skąd oni są?

– Z Sycylii, najjaśniejszy panie – odpowiedział tłumacz.

– Z Sycylii! Niech Bóg mnie przed nimi chroni! – zawołał sułtan. – Zakuć ich w łańcuchy! Trzymać ich o chlebie i wodzie i niech pracują przy noszeniu kamieni!

Tak więc Don Pidduzzu i sternik rozpoczęli ten ciężki żywot, a Don Pidduzzu myślał tylko o swojej królownie, która czekała na niego i na podarki.

Trzeba wiedzieć, że ten sułtan miał świerzb. Był nim pokryty od stóp do głów i nie mógł dostać lekarstwa, które by go uleczyło. Kiedy Don Pidduzzu dowiedział się o tym z rozmów innych jeńców, oświadczył dozorcóm, że w zamian za wolność uleczy sułtana.

Sułtan dowiedział się o tym i zawołał Sycylińczyka.

– Dostaniesz wszystko, co zechcesz, byłeś mnie tylko wyleczył ze świerzbu.

Don Pidduzzu nie zadowolili się słowami: chciał to mieć na papierze i pozwolenie na powrót swoim statkiem. Statek był wyciągnięty na brzeg; z pokładu nie zabrano niczego, bo byli to piraci z honorem. Don Pidduzzu wziął flakonik balsamu z dzbana, kazał się sułtanowi położyć i zaczął maścić mu pędzlem twarz i szyję. Przed wieczorem sułtan zaczął zmieniać skórę jak wąż, a pod tą świerzbowatą skórą była druga, różowa i gładka. Nazajutrz Don Pidduzzu namaścił mu pierś, brzuch i plecy, i wieczorem skóra się zmieniła. Trzeciego dnia namaścił nogi i ramiona i sułtan był całkiem wyleczony. A Don Pidduzzu odpłynął ze swoją załogą.

Wylądował w Palermo i natychmiast pojechał powozem do Pippiny, która nie posiadała się z radości. Król spytał, jak mu poszło.

– Bogu to wiadomo, jak mi poszło, najjaśniejszy panie – odpowiedział Don Pidduzzu. – Teraz chciałbym, żeby mi przygotowano galerię, gdzie bym mógł złożyć swoje podarki. Prawda, że to nic wielkiego, ale skoro już tu jestem...

I zaczął wyladowywać wszystkie przedmioty ze złota, jakie miał. Przez cały miesiąc nic nie robili, tylko wyladowywali. Ustawivszy podarki na swoim miejscu, Don Pidduzzu powiedział Królowi:

– Najjaśniejszy panie, jutro będę gotów; wpierw pójdz zobaczyć, co przywiózł Królewicz, a potem to, co ja.

Nazajutrz Król poszedł zobaczyć podarki Królewicza: sprzęty, przedmioty na gotowalnię – piękne rzeczy, nie ma co gadać. Król powiedział mu wiele miłych słów. Potem poszli razem zobaczyć podarki Don Pidduzzu. Królewicz, ledwie ujrzał te skarby, krzyknął „Ach!”, odwrócił się, zbiegł ze schodów, skacząc po cztery stopnie, wsiadł na swój statek i tyle go widzieli.

Tłum krzychał: „Niech żyje Don Pidduzzu!”, a Król go uściskał. Razem poszli do klasztoru po Pippinę i w trzy dni potem narzeczeni wzięli ślub.

Don Pidduzzu posłał po swego ojca i matkę, o których od dawna nic nie wiedział. Biedaczkowie! Chodzili jeszcze boso. Kazał ich przyodziać, jak przystało ojcu i matce Królewicza, i zatrzymał ich przy sobie w pałacu.

*PALERMO (SYCYLIA)*





## ŻONA, KTÓRA ŻYŁA WIATREM

**B**ył raz w Mesynie Książę równie bogaty, co skąpy, który dwa razy dziennie kazał zastawiać stół kroniką chleba, płatkami kielbasy cienkim jak hostia i szklanką wody. Trzymał tylko jednego służącego i dawał mu dwa liry dziennie, jedno jajko i tyle chleba, ile można było umaczać w jajku. Toteż żaden służący nie mógł wytrzymać z nim dłużej niż tydzień; po kilku dniach każdy odchodził. Ale trafił mu się raz służący, który był cwany łobuzem, i jeśli pan był kuty na cztery nogi, to on potrafiłby go cztery razy sprzedać.

Służący ów, imieniem Giuseppe, widząc, jak się rzeczy mają, poszedł do węglarki, która miała swój sklep naprzeciw pałacu, kobiety zasobnej w pieniądze i matki pięknej córki, i rzekł jej:

– Kumo, chcecie wydać za mąż swoją córkę?

– Dałby to Bóg, żeby znalazła sobie zanego chłopca, panie Giuseppe – odpowiedziała kobieta.

– A co byście tak powiedzieli o Księżciu?

– O Księżciu? A to nie wiesz może, co to za sknera? Żeby nie wydać jednego grosza, kazałby sobie wydłubać oko.

– Kumo, jeśli mnie usłuchacie, to ja już ich wyswatam. Musicie tylko mówić, że wasza córka żyje wiatrem.

Giuseppe poszedł do Księcia:

– Mości Książę, dlaczego wasza księżęca mość się nie żeni? Wasza księżęca mość ma już swoje latka, a lata lecą i nie wracają...

– Ach! Życzysz mi śmierci! – zawołał Książę. – Czyż nie wiesz, że kiedy się ma na utrzymaniu żonę, pieniądze płyną jak woda? Kapelusze, jedwabne suknie, pióra, szale, pojazdy, teatr... Nie, Giuseppe, nic z tego!

– Ale czy wasza księżęca mość nie wie, że jest tu córka węglarki, ta piękna dziewczyna, która żyje wiatrem? A pieniądze ma własne i nie lubi ani zbytku, ani zabaw, ani teatru.

– Co ty powiadasz! Jak może żyć wiatrem?

– Trzy razy dziennie bierze wachlarz, robi wiatr i w ten sposób zaspokaja głód. A jaka pucołowata! Można by pomyśleć, że jada befsztyki.

– To pokaż mi ją.

Giuseppe ułożył wszystko i po tygodniu małżeństwo zostało zawarte – węglarka została Księżną.

Codziennie przychodziła do stołu, wachlowała się, a mąż patrzył na nią zadowolony. Potem matka posyłała jej ukradkiem kurczęta, pieczeń i kotlety, a Księżna i służący obżerali się. Minął miesiąc, węglarce zaczęło ciążyć wydawanie wciąż grosza z własnej kieszeni i jęła się skarżyć przed służącym:

– Kumie, jak długo jeszcze mam za wszystko płacić? Niech coś weźmie na siebie ten twój Książę!

Giuseppe rzekł Księżnej:

– Wiesz, co masz zrobić? (Bo przy ludziach mówił do niej mościa Księżno, Księżna pani to, Księżna pani owo, ale będąc z nią sam na sam, mówił jej ty). Powiedz Księżciu, że chciałabyś zobaczyć jego skarby, ot tak tylko, żeby zaspokoić ciekawość. Jeśli ci powie, że boi się, żeby jakaś moneta nie przyczepiła ci się do buczków, powiesz, że możesz pójść boso.

Księżna zaczęła mówić o tym Księżciu, ale on krzywił usta i nie było sposobu, żeby go przekonać. A ona nalega, mówi, że gotowa pójść boso, i w końcu wymogła na nim, że się zgodził.

Wtedy Giuseppe rzekł jej:

– Prędko posmaruj klejem cały skraj spódnicy!

I Księżna tak uczyniła.

Książę podniósł deskę w podłodze, otworzył spuszczone drzwi i kazał jej zejść. Księżna otworzyła usta: były tam dublony wartości dwunastu dukatów ułożone w stosy, tak że nawet najpierwsi królowie na świecie nie mieli ani połowy tego. A kiedy tak patrzyła wydając głośnie „Och!” podziwu, kołysała wkoło spódnicą, jakby nigdy nic, a skraj spódnicy oblepiał się monetami. Wróciwszy do swojej komnaty, odlepiała je i zrobiła z nich piękny stosik, który Giuseppe zaniósł węglarce. Tak więc obzerali się dalej, a Książę patrzył, jak żona porusza wachlarzem, i był coraz szczęśliwszy, widząc, że ma żonę, która żyje wiatrem.

Pewnego razu Książę, będąc na przechadzce z Księżną, spotkał swego bratanka, którego rzadko widywał.

– Pippinu – rzekł doń – znasz tę damę? To Księżna, moja żona.

– Och, stryju, nie wiedziałem, że się ożeniłeś!

– Nie wiedziałeś? No, to teraz wiesz. A za tydzień nas odwiedź.

Zaprosiwszy go, Książę rozmyślił się i pożałował. „Bóg wie, ile będziemy musieli wydać! Co za pomysł miałem!” Ale nic już nie można było zrobić: należało pomyśleć o przygotowaniu obiadu.

Księżciu przysła myśl.

– Wiesz, co ci powiem? – rzekł do Księżnej. – Mięso jest drogie i szkoda go kupować. Ale zamiast kupować, mogę je zdobyć na polowaniu. Wezmę strzelbę, pójdę na pięć czy sześć dni i przyniosę ci mnóstwo dziczyzny, nie wydając ani grosza.

– Tak, tak, mój mężu, ale pośpiesz się – odpowiedziała.

Zaledwie Książę wyjechał na polowanie, Księżna posiała Giuseppa po ślusarza.

– Majstrze – powiedziała ślusarzowi – doróbcie mi zaraz klucz do tych drzwi, bo go zgubiłam.

Nie potrwało długo, a miała klucz, który doskonale otwierał drzwi do podziemia, i przyniosła stamtąd kilka worków dublonów. Za tę kupę

pieniędzy kazała obić wszystkie pokoje, sprawiła meble, świeczniki, portale, zwierciadła, dywany, wszystko, czego używa się w pałacach książąt; nawet wzięła odźwiernego w liberii od stóp do głów, z laską, co miała gałkę na szczycie.

Wraca Książę.

– Co to? Przecież tu był mój dom? – Przeciera sobie oczy, zawraca. – Gdzież się podział? – I dalej chodzi tam i z powrotem.

– Ekscelencjo – mówi doń odźwierny – czego ekscelencja szuka? Dlaczego ekscelencja nie wchodzi?

– Czy to jest mój dom?

– A czyżże? Proszę wejść, ekscelencjo.

– Ach! – mówi Książę uderzając się ręką w czoło. – Jezus! Moja żona wydała wszystkie moje pieniądze!

Wbiegł, zobaczył schody z białego marmuru, obicia na ścianach!

– Moja żona... wydała wszystkie moje pieniądze!

Zobaczył zwierciadła, sofy, kanapy, fotele.

– Ach! Moja żona... wszystkie pieniądze!

Wszedł do swojej komnaty i rzucił się jak długi na łóżko.

– Co ci jest, mężu? – pyta go żona.

– Ach... – odpowiada słabym głosem. – Moja żona... wszystkie pieniądze.

Żona posłała szybko po notariusza i czterech świadków. Przyszedł notariusz.

– Mości Książę, co waszej książęcej mości jest? Czy wasza książęca mość chce sporządzić testament? Niech wasza książęca mość mówi...

– Moja żona... wszystkie pieniądze...

– Co? Co wasza książęca mość mówi?

– Moja żona... wszystkie pieniądze...

– Wasza książęca mość chce zostawić wszystko swojej żonie? Tak, zrozumiałem. Czy tak?

– Moja żona... wszystkie pieniądze...

I kiedy notariusz pisał, Książę odetchnął jeszcze parę razy i umarł.

Księżna została panią wszystkiego i kiedy skończyła żałobę, poślubiła Giuseppe i w ten sposób stało się, że pieniądze skąpca przejadł pasożyt.

*PALERMO (SYCYLIA)*



---

## LEWY PRZYBOCZNY

**P**owiadają, że był raz Król hiszpański i że ten Król hiszpański miał dwóch dworzan, których zadaniem było stać zawsze przy boku pańskim: jeden stał z lewej strony, a drugi z prawej. Lewy Przyboczny miał żonę, która była istną Madonną, taka była piękna i pełna wdzięku i takie wiodła surowe i ustronne życie. Prawemu Przybocznemu przez cały długi czas przebywania na dworze nigdy nie udało się ujrzeć jej pięknego oblicza i miał o to wielką urazę.

Zaczął mówić Królowi:

– Najjaśniejszy panie, gdybyś wiedział, jaką piękną żonę ma Lewy Przyboczny! Co to za piękna kobieta, najjaśniejszy panie!

A któregoś innego dnia:

– Najjaśniejszy panie, dziś rano widziałem żonę Lewego Przybocznego waszej królewskiej mości i otworzyłem usta: jakież ona piękna!

I znowu:

– Czy wiesz, najjaśniejszy panie, że żona Lewego Przybocznego z każdym dniem robi się piękniejsza?

Słyszysz to Król dziś, słyszysz nazajutrz, aż zaczął nie posiadać się z chęci ujrzania tej piękności. Wsiadł na konia ze swymi rycerzami i przejechał pod pałacem Lewego Przybocznego. Właśnie w tej chwili jego żona stała w oknie. Król poczuł, że zadrżało mu serce; spojrzął na nią w przejeździe, ale był Królem i nie mógł stać tam wpatrzony w okno, by nie wywoływać gadania. Wracając przejechał przez tę samą ulicę, ale dama, która nie była z tych, co wystawiają się na pokaz, odeszła już od okna. Król nie zaznał teraz

spokoju: wrócił do pałacu i rozkazał, żeby nikt nie wychodził, póki on nie Młóci: przyszło mu do głowy, żeby pojechać do domu damy i złożyć jej wizytę, kiedy jej mąż nie będzie mógł wyjść z pałacu.

Przebrał się za żołnierza i wszedł do pałacu Lewego Przybocznego. Zadzwoił i wyszła służąca.

– Czego chcesz?

– Muszę rozmawiać z twoją panią.

– A czego chcesz od mojej pani?

– Mam z nią do pomówienia.

– Moja pani odpoczywa i nie może cię przyjąć.

– Chcę do niej pójść.

– Nie pójdziesz – i popchnęła go, i już miała mu zatrzaskać drzwi przed nosem, ale Król rozpiął żołnierską kurtkę i pokazał jej królewskie gronostaje.

Służąca padła na kolana.

– Łaski, najjaśniejszy panie! Nie poznałam waszej królewskiej mości!

– Nic nie szkodzi – odpowiedział Król – przekonałem się, że jesteś wierną służką. Teraz chcę tylko, żebyś dała mi spojrzeć w twarz Księżnej, a potem sobie pójde.

– Dobrze, najjaśniejszy panie – i cicho poprowadziła go do komnaty, w której wypoczywała dama.

Spała w najlepsze, a ponieważ we śnie twarz staje się różowsza, Król, widząc ją, poczuł, że mdleje. Zdjął rękawiczkę, położył ją na baldachimie łoża, poruszył ręką, jak gdyby chciał damę pogłaskać, ale zatrzymał się w porę.

Zaczął się w nią wpatrywać, aż miał jej pełne oczy, potem naraz odwrócił się i odszedł.

Gdy Król wrócił do pałacu, rycerze i cały dwór mogli swobodnie wyjść. Lewy Przyboczny wrócił do domu i poszedł do żony. Wchodzi do sypialni i

cóż widzi? Na baldachimie leży rękawiczka zapomniana przez Króla. Jakby zobaczył diabła! Od tego dnia nie spojrzał więcej na żonę.

Biedna dama, Bogu ducha winna, nie wiedziała, co to ma znaczyć, i chudła, schła, ciągle sama, nie skarżąc się nigdy. Służąca mówiła jej:

– Jaśnie oświecona Księżno, cóż to za zwyczaj ciągle być smutną, gdy inne damy błyszczą w teatrach i na balach?

Któregoś dnia zdarzyło się, że ta czarna dusza, Prawy Przyboczny, przechodził przed domem Lewego Przybocznego. I kogóż widzi na balkonie? Biedną Księżnę, która trawiła się jak świeca. Tak że ów niegodziwiec poczuł w końcu dla niej litość. Powiedział o tym Królowi:

– Pamiętasz, najjaśniejszy panie, tę niepospolitą piękność, żonę Lewego Przybocznego? Nie do poznania teraz, taka jest chuda i żółta.

Król zaczął myśleć, myśli, myśli, klaszcze w ręce, uderza się ręką w czoło: „Co ja narobiłem!”

W dwa dni potem wydał obiad na dworze. Każdy rycerz miał przyprowadzić żonę albo, jeśli nie miał żony, siostrę czy inną damę ze swego domu. Lewy Przyboczny nie mógł uniknąć przyprowadzenia żony, bo nie miał siostry ani nikogo. Zawołał służącą i kazał jej powiedzieć pani, żeby sprawiła sobie najpiękniejsze suknie, nie bacząc na wydatki, bo jest zaproszona na obiad u dworu.

Przy obiedzie dama otrzymała miejsce koło męża, który siedział po lewej ręce Króla. Król zaczął wypytywać zaproszonych o ich życie i pytał wszystkich prócz Lewego Przybocznego i jego żony. Na końcu zwrócił się do niej:

– A ty, mościa Księżno, jak spędziłaś swoje życie?

Biedna dama odpowiedziała mu łagodnie do rymu:

*Byłam winną latoroślą,  
Pan mój zrywał słodkie grona.  
Nie wiem, czemu mnie zaniedbał,  
Czemu rosnę opuszczona.*



Na to odpowiedział jej Lewy Przyboczny:

*Lwi szpon obok latorośli  
Obrzydził mu winne grona.  
Z tej przyczyny cię zaniedbał,  
Rośnij dalej opuszczona.*

Król zrozumiał, że winoroślą jest dama, że mąż ją opuścił, bo znalazł rękawiczkę na baldachimie; zrozumiał, jaką szkodę wyrządziła jego ciekawość, i powiedział:

*Klnę się na koronę złotą,  
Żem nie zerwał ni jagody,  
Jenom patrzył na latorośl  
I cieszył się z jej urody.*

Wiadomo, że kiedy królowie przysięgają na koronę, składają największą przysięgę, i Lewy Przyboczny, słysząc, że jego żona jest niewinna, osłupiał.

Gdy obiad się skończył, Król usiadł na stronie z obojgiem małżonków, opowiedział im w zaufaniu, jak to było z rękawiczką, i zakończył:

– Podziwiałem wierność służącej dla swojej pani, a jeszcze bardziej uczciwość tej damy, która nigdy nie spojrzała na innego mężczyznę prócz swego męża. A wy powinniście mi przebaczyć, że stałem się przyczyną waszych cierpień.

*PALERMO (SYCYLIA)*

---

## ROZMARYNA

**B**yli raz Król i Królowa, którzy nie mieli dzieci. Królowa, przechadzając się raz po ogrodzie, zobaczyła rozmaryn z mnóstwem młodych pędów naokoło. I rzekła:

– Patrzcie, to tylko ziele, a ma tyle dzieci, ja zaś, Królowa, nie mam ani jednego!

Wkrótce potem także Królowa została matką. Ale nie powiła dziecka, powiła rozmaryn. Zasadziła go do pięknej doniczki i podlewała mlekiem.

Odwiedził ich siostrzeniec, który był Królem Hiszpanii, i spytał:

– Najjaśniejsza pani, co to za roślina?

Ciotka mu odpowiedziała:

– Najjaśniejszy panie, to moje dziecko, podlewam je mlekiem cztery razy dziennie.

Siostrzeńcowi roślina tak się spodobała, że postanowił ją zagrabic. Wziął ją razem z doniczką, zaniósł na swój statek, kupił mleczną kozę i kazał podnieść kotwicę. Żeglując doił kozę i cztery razy dziennie dawał rozmarynowi mleko. Gdy tylko wylądował w swoim mieście, kazał zasadzić go w swoim ogrodzie.

Ów młody Król hiszpański miał wielkie zamiłowanie do gry na fujarce i codziennie przechadzał się po ogrodzie grając i tańcząc. Gra i tańczy, aż tu między liśćmi rozmarynu zjawia się piękna, długowłosa dziewczynka i zaczyna tańczyć koło niego.

– Skąd przyszłaś? – pyta jej.

– Z rozmarynu – odpowiada dziewczynka.

I kiedy taniec się skończył, wróciła między liście rozmarynu i więcej się nie pokazała. Od owego dnia Król załatwiał pośpiesznie sprawy państwowe i szedł z fujarką do ogrodu, grał, a piękna dziewczynka wychodziła spomiędzy liści i razem tańczyli i rozmawiali trzymając się za ręce.

Gdy się tak zabawiali, Królowi wypowiedziano wojnę i musiał wyjechać. Powiedział dziewczynce:

– Rozmaryno, nie wychodź ze swojej rośliny, póki nie wrócę! Gdy wrócę, zagram na fujarce trzy nuty i wtedy wyjdiesz do mnie.

Zawołał ogrodnika i powiedział mu, że rozmaryn ma być podlewany mlekiem cztery razy dziennie i że jeśli po powrocie znajdzie roślinę zwiędniętą, to każe niedbałemu słudze uciąć głowę. I pojechał.

Trzeba wiedzieć, że Król miał trzy siostry, ciekawe dziewczyny, które od dawna zastanawiały się, co ich brat robi tyle godzin w ogrodzie z fujarką. Gdy tylko wyjechał na wojnę, poszły szperać w jego komnacie i znalazły fujarkę. Wzięły ją i poszły do ogrodu. Najstarsza spróbowała zagrać i wyszła jej jedna nuta, druga wzięła jej fujarkę z ręki i zagrała drugą nutę, i z kolei najmłodsza zagrała także jedną nutę. Rozmaryna, usłyszawszy trzy nuty i myśląc, że Król wrócił, wyskoczyła spomiędzy liści. Siostry zawołały:

– Ach! Teraz rozumiemy, dlaczego nasz brat nie wychodził z ogrodu!

A że były złośliwe, porwały dziewczynkę za włosy i stłukły ile wlezie. Biedaczka uciekła pólżywa do swego rozmarynu i znikła.

Gdy przyszedł ogrodnik, znalazł roślinę na pół uwiędłą, z żółtymi i obwisłymi liśćmi.

– Ach, biada mi! Co zrobię, gdy wróci Król!

Pobiegł do domu i powiedział żonie:

– Żegnaj, muszę uciekać, podlewaj rozmaryn mlekiem!

I uciekł.

Ogrodnik szedł i szedł przez pola. Był w lesie, gdy zapadła noc. Bojąc się dzikich zwierząt, wdrapał się na drzewo. O północy pod tym drzewem naznaczyły sobie spotkanie Smok i Smoczyca. A ogrodnik, skulony na wierzchołku drzewa, dostawał dreszczy, słysząc ich parskanie.

– Co nowego słyhać w okolicy? – spytała Smoczyca Smoka.

– A co ma być słyhać?

– Nigdy nie potrafisz opowiedzieć mi nic nowego!

– Ach, prawda, rozmaryn Króla uwiadł.

– Jakże to się stało?

– Tak to się stało, że teraz, gdy Król jest na wojnie, jego siostry zaczęły grać na fujarce, i z rozmarynu wyszła zaklęta dziewczynka; siostry zbiły ją tak, że jest półżywa. Dlatego roślina usycha.

– I nie ma sposobu, żeby ją ocalić?

– Sposób by się znalazł....

– To dlaczego mi o nim nie mówisz?

– Ech, takich rzeczy się nie mówi: drzewa mają oczy i uszy.

– Dajże spokój! Kto może cię słyszeć w głębi lasu?

– To ci powiem tę tajemnicę: trzeba by wziąć krew z mojej gardzieli i sadło z twojego karku, zagotować razem w garnku i pomaścić cały rozmaryn. Roślina uschnie całkiem, ale dziewczyna wyjdzie z niej zdrowa i cała.



Ogrodnik wysłuchał tej rozmowy z bijącym sercem. Gdy tylko Smok i Smoczyca zasnęły i posłyszał ich chrapanie, odłamał sękatą gałąź z drzewa, zeskoczył na ziemię i dwoma dobrze wymierzonymi ciosami wyprawił ich

na tamten świat. Potem wziął krew z gardzieli Smoka i sadło z karku Smoczyca i pobiegł do domu. Zbudził żonę i krzyknął:

– Prędko, zagotuj to!

I pomaścił rozmaryn gałązkę po gałązce. Wyszła dziewczyna, a rozmaryn usechł. Ogrodnik wziął dziewczynę za rękę i zaprowadził do swego domu, położył ją do łóżka i dał jej gorącego rosołu.

Wraca z wojny Król i pierwsza rzecz, jaką robi, to idzie z fujarką do ogrodu. Gra trzy nuty, gra drugie trzy – tak, tak z wielką ochotą dął w swoją fujarkę! Podchodzi do rozmarynu i widzi, że jest uschły, bez jednego liścia.

Wściekły taki, że wydawał się dzikim zwierzem, pobiegł do domu ogrodnika.

– Dziś jeszcze każę cię ściąć, łajdaku!

– Najjaśniejszy panie, uspokój się, wejdź na chwilę do domu, a pokażę ci coś pięknego!

– Coś pięknego? Osioł! Każę ci uciąć głowę!

– Wejdź tylko, najjaśniejszy panie, a potem uczynisz ze mną, co zechcesz!

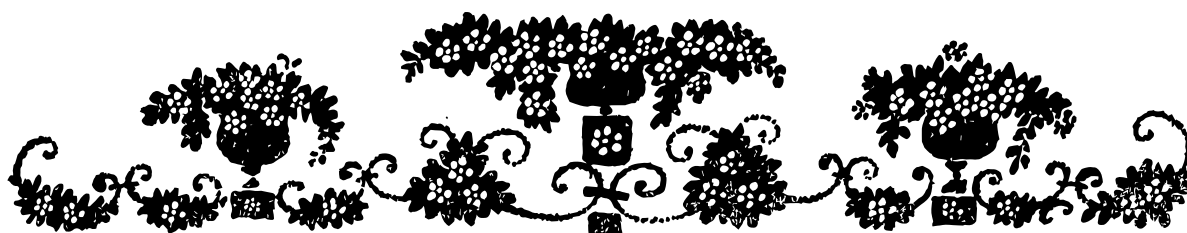
Król wszedł i znalazł Rozmarynę leżącą w łóżku, bo dopiero wracała do zdrowia. Podniosła głowę i zawołała ze łzami w oczach:

– Twoje siostry mnie pobiły, a biedny ogrodnik ocalił mi życie!

Król był pełen radości z odnalezienia Rozmaryny, pełen gniewu na siostry, pełen wdzięczności dla ogrodnika. Gdy tylko dziewczyna wyzdrowiała, zapragnął ją poślubić i napisał do Króla, swego wuja, że zagrabiony przez niego rozmaryn stał się przepiękną dziewczyną i że zaprasza go wraz z Królową na wesele. Król i Królowa, którzy byli w rozpacz, nie wiedząc nic o roślinie, gdy posłaniec przyniósł im ten list i gdy dowiedzieli się, że roślina w rzeczywistości jest piękną dziewczyną, ich córką, prawie oszaleli z radości. Udali się natychmiast w podróż i „bum! bum!” – zagrzmiały salwami armaty, gdy wpływali do portu, a Rozmaryna

już tam oczekiwała rodziców. Odbył się ślub i ucza przy stole długim na całą Hiszpanię.

*PALERMO (SYCYLIA)*



---

## DIABEŁ KULAWY

**D**iabeł Kulawy mieszkał w piekle. Ludzie umierali, szli prosto do piekła i spotykali Diabła Kulawego, który ich pytał:

– Cóż za dobry wiatr was niesie, przyjaciele? Dlaczego wszyscyście tutaj?

A umarli:

– Z przyczyny kobiet.

Diabeł Kulawy, słysząc wciąż tę samą odpowiedź, poczuł wielką ciekawość, a potem wielką chęć jej zaspokojenia: ciekawość, jak to też jest z tymi kobietami.

Przebrał się za Kawalera i ruszył do Palermo. Na balkonie stała dziewczyna, spodobała mu się i zaczął przechadzać się pod balkonem. Przechadza się i przechadza, im dłużej się przechadzał, tym bardziej mu się podobała, i posłał do niej dziewczosłębów, by prosić o jej rękę. Nie chciał posagu, weźmie ją w jednej koszuli, ale pod jednym warunkiem: o wszystko, czego chce, ma go prosić, póki jest narzeczoną, bo po ślubie, niech uważa! – nie chce, żeby go prosiła już o nic więcej.

Dziewczyna przyjęła warunek i kawaler sprawił jej tyle rzeczy, że miała się w co ubierać do końca życia. Pobrali się i któregoś wieczoru poszli po raz pierwszy razem do teatru. Wiadomo, co w teatrze robią kobiety: zaczęła patrzeć na suknię margrabiny, na klejnoty hrabiny, zobaczyła baronową w kapeluszu innym niż trzysta kapeluszy, jakie miała, i zapragnęła mieć taki sam. Ale pamiętała o warunku, że nie będzie już o nic prosić męża, i nadąsała się. Mąż spostrzegł to.

– Rosino, co ci jest? Coś złego?



- Nie, nie, nic...
- Ale widzę, że jesteś jakaś nieswoja.
- Nie, naprawdę, nic mi nie jest.
- Lepiej, żebyś mi powiedziała, kiedy ci coś jest.
- A więc skoro chcesz wiedzieć, to jest to niesprawiedliwość, żeby baronowa miała kapelusz, jakiego ja nie mam, a ja żebym nie mogła cię o niego poprosić, oto co mi jest!
- Ach! Więc to prawda, że mężczyźni idą wszyscy do piekła z waszej winy! Teraz rozumiem.

Zostawił ją samą w pełnym teatrze i odszedł.

Poszedł do piekła, zamieszkał z jednym swoim kumem i opowiedział mu wszystko, co mu się przydarzyło w małżeństwie. A kum rzekł na to, że i on chętnie by spróbował wziąć żonę, ale chciałby, żeby to była Królowna, aby zobaczyć, czy i Królom tak samo się dzieje.

– A spróbuj, kumie! – odpowiedział Diabeł Kulawy. – Wiesz, co zrobimy? Wejdę w córkę Króla Hiszpanii. Córka Króla Hiszpanii z diabłem w ciele zachoruje i Król ogłosi: „Kto uzdrowi moją królewską córkę, otrzyma w nagrodę jej królewską rękę”. Ty przyjdiesz przebrany za lekarza, ja, gdy tylko postyszę twój głos, wyjdę z niej, ona wyzdrowieje, a ty poślubisz ją i zostaniesz Królem. Podoba ci się ta myśl, kumie?

Tak też zrobili i wszystko się odbyło, jak umyślili, póki diabeł-kum nie został wprowadzony do chorej Królowny. Gdy został sam, zaczął mówić cichym głosem:

– Kumie Diable Kulawy! Hej, kumie! Jestem tutaj: możesz już wyjść i uwolnić Królownę! Hej, Diable Kulawy, słyszysz mnie?

Ale w obietnice diabelskie lepiej nie wierzyć. I rzeczywiście, dał się słyszeć głos Diabła Kulawego:

– Co? Co tam? Ach, tak, ale było mi tu bardzo dobrze... I po cóż miałbym stąd wychodzić? Gdy komuś jest gdzieś dobrze, to się stamtąd nie

rusza...

– Coś mi więc mówił, kumie? Chcesz żartować? Król każe uciąć głowę temu, komu się nie powiedzie próba! Kumie! Hej, kumie!

– Mnie tu jest dobrze! A ty byś chciał, żebym stąd poszedł?

– Jak to? Mam tu zostawić głowę?

– Gadaj zdrów! I tak nie wyjdę stąd, choćby do mnie strzelali!

Biedny kum prosi, zaklina: wszystko na nic. Już, już ma minąć wyznaczony czas; rzekomy lekarz idzie do Króla i powiada:

– Najjaśniejszy panie, brak mi tylko jednej rzeczy, żeby wyleczyć córkę waszej królewskiej mości: niech wasza królewska mość każe strzelać z armat na swoich fregatach.

Król podszedł do okna.

– Fregaty, ognia!

A armaty na fregatach:

– Bum! Bum! Bum!

Diabeł Kulawy, który z ciała Królowny nic nie widział, spytał:

– Kumie, co znaczą te wystrzały?

– Jakiś statek wpływa do portu i daje salwy.

– A kto to przyjeżdża?

Kum podszedł do okna.

– Och! Przyjeżdża twoja żona!

– Moja żona! – zawołał Diabeł Kulawy. – Moja żona! Uciekam! Natychmiast uciekam! Nie chcę jej widzieć nawet z daleka!

Z ust Królowny wyskoczyła ognista strzała i na tej strzale Diabeł Kulawy uciekł, a Królowna w jednej chwili poczuła się zdrowa.

– Najjaśniejszy panie! Wyzdrowiała! – zawołał kum.

– Brawo! – zawołał Król. – Jej ręka i korona należą do ciebie.

I w taki sposób rozpoczęły się kłopoty diabelskiego kuma.

*PALERMO (SYCYLIA)*



---

## DZIEWCZYNA GOŁĘBICĄ

**B**ył raz chłopiec, biedny jak mysz kościelna. Pewnego dnia biedak, nie mając co jeść, poszedł na brzeg morza i usiadł, myśląc, co by tu zrobić, żeby nie być głodnym. Siedział już sporą chwilę, kiedy zobaczył, że idzie ku niemu jakiś Grek. Grek zapytał go:

– Co ci jest, synu, że jesteś taki zamyślony?

– Co mi ma być? – odpowiedział chłopiec. – Nędzarz jestem, nie mam ani co jeść, ani czego się spodziewać.

– Och, synu, bądź dobrej myśli! Chodź ze mną, a dam ci jedzenie i pieniądze, i wszystko, co tylko zechcesz.

– A co będę robił? – spytał chłopiec.

– Nic, u mnie pracuje się tylko raz na rok.

W biednego chłopca wstąpiła otucha. Zawarli umowę, czas płynął, a chłopiec nie miał nic do roboty.

Któregoś dnia Grek zawołał go i rzekł:

– Osiodłaj dwa konie, musimy jechać.

Chłopiec przygotował konie i pojechali. Jada, jada, aż dojechali do stóp wysokiej góry. Grek powiedział:

– Teraz musisz wyjść na szczyt.

– Ale jak? – spytał chłopiec.

– Już ja o tym pomyślę.

– A jak nie zechcę?

– Umówiliśmy się, że będziesz pracował raz na rok. Czy ci się to podoba, czy nie, teraz jest właśnie ten raz. Musisz wyjść na szczyt i zrzucić mi na

dół wszystkie kamienie, które tam są.

Rzekłszy to, wziął konia, zabił go, obłupił ze skóry i kazał chłopcu wejść w jego skórę. W tej chwili orzeł, który latał po niebie, zobaczył skórę końską, spuścił się, chwycił ją w szpony i poniósł w niebo razem z chłopcem w środku. Orzeł siadł na szczycie góry, a chłopiec wyskoczył z ukrycia.

– Zrzucaj kamienie! – zawołał z dołu Grek.

Chłopiec rozglądnięty się wkoło: jakie tam kamienie! Były to brylanty, diamenty i sztaby złota grube jak drzewo! Spojrzał w dół, był tam Grek, który wyglądał jak mrówka i krzyczał:

– Szybko, zrzucaj kamienie!

Chłopiec pomyślał: „Jeśli teraz zrzucę mu kamienie, zostawi mnie tu na górze i nie będę już mógł wrócić na dół. Lepiej zachowam kamienie dla siebie i spróbuję sam wybrnąć z kłopotu”.

Zbadał dobrze szczyt góry i ujrzał coś jakby otwór studni. Podniósł wieko, spuścił się na dół i znalazł się w przepięknym pałacu. Był to pałac Czarownika Sabina.

– Czego szukasz na mojej górze? – spytał Czarownik, gdy tylko go zobaczył. – Upiekę cię i zjem! Przyszedłeś kraść mi kamienie dla tego greckiego zbója! Co rok płata mi tego figla i co rok zjadam jednego jego sługę!

Biedny chłopiec, drżąc cały, rzucił się do jego nóg i przysiągł mu, że nie wzięł ani jednego kamienia.

– Jeśli to prawda – odrzekł Czarownik Sabin – to jesteś ocalony.

Poszedł na górę, policzył kamienie i zobaczył, że nie brakuje ani jednego.

– Dobrze – rzekł – powiedziałaś prawdę. Biorę cię do siebie na służbę. Mam dwanaście koni. Co rana wyliczysz dziewięćdziesiąt dziewięć kijów każdemu koniowi: ale uważaj dobrze, chcę stąd słyszeć uderzenia. Zrozumiałeś?

Rano chłopiec poszedł z grubym kijem do stajni, ale żał mu było koni i nie wiedział, co robić. Wtedy jeden z koni odwrócił się i przemówił doń:

– Nie bij nas, niegdyś byliśmy ludźmi jak ty i zostaliśmy zamienieni w konie przez Czarownika Sabina. Bij kijem w ziemię, a my będziemy rzeć, jak gdybyśmy były bite.

Chłopiec usłuchał rady, a Czarownik słyszał uderzenia kija i rzenie i był zadowolony.

– Posłuchaj – rzekł pewnego dnia jeden z koni do chłopca – chcesz znaleźć szczęście? Idź do ogrodu, zobaczysz tam piękną sadzawkę. Co rano przylatuje tam dwanaście gołębic, piją, zanurzają się w wodzie i wychodzi z niej dwanaścioro dziewcząt pięknych jak słońce, które wieszają swoje gołębie suknie na drzewie i zaczynają się bawić. Musisz ukryć się między drzewami i kiedy będą bawić się w najlepsze, chwycisz suknię najpiękniejszej z nich i ukryjesz ją w zanadrzu. Ona zawoła: „Oddaj mi suknię! Oddaj mi suknię!” Ale ty strzeż się, nie oddawaj, bądź uważny, bo inaczej dziewczyna znowu stanie się gołębicą i odleci razem z innymi.

Chłopiec zrobił, jak mu powiedział koń: przycupnął w miejscu, gdzie nie mógł być widziany, i poczekał do rana. O pierwszym brzasku usłyszał szum, który stawał się coraz głośniejszy; wyjrzał i zobaczył stado gołębic. Kuląc się, żeby być jak najmniejszym, rzekł do siebie: „Sza! To one!” Gołębice, doleciawszy do sadzawki, napiły się, a potem zanurzyły się w wodzie; gdy znów wychynęły na wierzch, były dwanaścioro pięknych dziewcząt, które wydawały się aniołami, co sfrunęły z nieba, i zaczęły bawić się, biegając i psocąc jak szalone.

Chłopiec, gdy chwila wydała mu się sposobna, wyszedł ostrożnie, wyciągnął rękę, chwycił jedną suknię i wetknął sobie za pazuchę. Wtedy wszystkie dziewczęta stały się znowu gołębicami i odleciały. Jedna tylko nie odnalazła swojej gołębiej sukni, została sama naprzeciw niego i nie umiała nic powiedzieć, jak tylko:

– Oddaj mi suknię! Oddaj mi suknię!

Chłopiec umknął, a dziewczyna pobiegła za nim. W końcu, przebiegłszy długą drogę (wskazał mu ją koń), dotarł do swego domu i przedstawił dziewczynę matce:

– Mamo, to moja narzeczona. Uważaj dobrze, żeby nie wypuścić jej z domu!

Zanim zszedł z góry, napełnił sobie kieszenie drogimi kamieniami. I zaledwie dotarł do domu, pomyślał, żeby pójść je sprzedać. Dziewczyna pozostała sama z teściową. I przez cały dzień nie robiła nic innego, tylko suszyła jej głowę, mówiąc:

– Oddaj mi suknię! Oddaj mi suknię!

Aż kobieta nie mogła dłużej wytrzymać.

– Matko Najświętsza! Jakby mi ktoś grzechotkę przyczepił do ucha! Zobaczę, gdzie może być ta suknia!

Pomyślała, że syn musiał ją włożyć do szuflady w komodzie. Poszukała i rzeczywiście znalazła piękną gołębią suknię.

Jeszcze jej dobrze nie wyciągnęła, kiedy dziewczyna chwyciła ją, zarzuciła na siebie, stała się znowu gołębicą i poleciała.

Staruszka, widząc to, zamarła.

– Co ja zrobię, gdy przyjdzie syn? Co mu powiem, gdy nie zobaczy swojej narzeczonej?

W tej samej chwili usłyszała dzwonek – był to syn, który, nie zastawszy swojej oblubienicy, nadął się z gniewu jak pęcherz.

– Ach, mammo, coś ty mi uczyniła! – zawołał.

Potem, gdy ochłonął z gniewu, rzekł:

– Mamo, pobłogosław mnie, bo idę jej szukać.

Włożył kawałek chleba do torby i poszedł.

Przechodząc przez las, spotkał trzech kłócących się zbójów. Zawołali go i powiedzieli:

– Jesteś cudzoziemcem, rozsądź nas. Ukradliśmy trzy rzeczy i teraz spieramy się, jak się nimi podzielić. Powiedz, co mamy zrobić.

– Co to za rzeczy?

– Sakiewka, która za każdym razem, gdy się ją otwiera, jest pełna pieniędzy, para butów, w których idzie się szybciej od wiatru, i płaszcz, w którym widzi się, a nie jest się widzianym.

Chłopiec rzekł:

– Dajcie mi spróbować, czy to prawda, co mówicie.

Włożył buty, wziął sakiewkę, a potem zawinął się w płaszcz.

– Widzicie mnie? – spytał.

– Nie! – odpowiedzieli zbóje.

– No to mnie więcej nie zobaczycie.

Umknął w butach, które biegły jak wiatr, i dotarł na szczyt góry Czarownika Sabina.

Ukrył się znowu w pobliżu sadzawki i zobaczył, jak gołębicę przylatują, żeby pić, i swoją oblubienicę między nimi. Wyskoczył i porwał jej suknię zawieszoną na drzewie.

– Oddaj mi suknię! Oddaj mi suknię! – zaczęła znowu wołać.

Ale tym razem chłopiec był szybki – podpalił suknię, która spłonęła.

– Tak – rzekła dziewczyna – teraz zostanę z tobą i będę twoją żoną, ale przedtem musisz pójść, uciąć głowę Czarownikowi Sabinowi i przywrócić ludzką postać dwunastu koniom, które są w stajni. Wystarczy, że wyrwiesz każdemu trzy włosy z grzywy.

Chłopiec w swoim płaszczu, który czynił go niewidzialnym, uciął głowę Czarownikowi, potem uwolnił dwunastu rycerzy przemienionych w konie, zabrał wszystkie drogie kamienie i wrócił do domu z dziewczyną, która była córką Króla Hiszpanii.

*PALERMO (SYCYLIA)*





---

## SIOSTRA HRABIEGO

Opowiadają, że był raz Hrabia bogaty jak morze i że ten Hrabia miał siostrę piękną jak słońce i księżyc, która miała osiemnaście lat. Z zazdrości trzymał ją zawsze pod kluczem w jednej z komnat swego pałacu, tak że nikt jej nigdy nie widział ani nie poznał. Piękna Hrabianka, która nie mogła wytrzymać dłużej w zamknięciu, w nocy, ostrożnie, zaczęła drążyć mur swojej komnaty, pod obrazem. Do pałacu Hrabiego przylegał pałac Królewicza i otwór w murze wychodził do jego komnaty, pod drugim obrazem, tak że go nie było widać.

Pewnej nocy Hrabianka odsunęła nieco obraz i zaglądnęła do komnaty Królewicza. Ujrzała jarzącą się kosztowną lampę i przemówiła do niej:

*– Złota lampo, srebrna lampo,  
Czy Królewicz śpi?*

A lampa odpowiedziała:

*– Śpi głęboko, wejdźże śmiało,  
Nic nie grozi ci!*

Weszła i położyła się koło Królewicza. Królewicz budzi się, bierze ją w ramiona, całuje i pyta:

*– Skąd się wzięłaś, skąd przychodzisz,  
Czy ja jeszcze śnię?*

A ona, śmiejąc się swymi złotymi usteczkami, odpowiada:

*– Po co pytasz, Królewiczu?  
Milcz i kochaj mnie.*

Gdy Królewicz obudził się i nie zobaczył koło siebie tej pięknej bogini, ubrał się w mgnieniu oka i zwołał Radę:

– Rada! Rada!

Przyszła Rada i Królewicz opowiedział, co mu się zdarzyło.

– Co mam zrobić, żeby została ze mną?

– Wasza wysokość – odpowiedziała Rada – kiedy będziesz ją trzymał w ramionach, przywiąż ją za włosy do swego ramienia. W ten sposób, gdy będzie chciała odejść, będziesz się musiał przebudzić.

Nadszedł wieczór i Hrabianka spytała:

– *Złota lampo, srebrna lampo,*  
*Czy Królewicz śpi?*

A lampa:

– *Śpi głęboko, wejdźże śmiało,*  
*Nic nie grozi ci!*

Hrabianka wchodzi i wślizguje się pod kołdrę.

– *Skąd się wzięłaś, skąd przychodzisz,*  
*Czy ja jeszcze śnię?*

– *Po co pytasz, Królewiczu?*  
*Milcz i kochaj mnie.*

I zasnęli, a Królewicz przywiązał sobie do ramienia piękne włosy Hrabianki. Hrabianka bierze nożyczki, ucina sobie włosy i odchodzi. Królewicz budzi się.

– Rada! Rada! Bogini zostawiła mi włosy i znikła!

Odpowiada Rada:

– Wasza wysokość, przywiąż sobie do szyi jej złoty naszyjnik.

Następnej nocy Hrabianka znowu zagładnęła.

– *Złota lampo, srebrna lampo,*  
*Czy Królewicz śpi?*

A lampa odpowiedziała:

*– Śpi głęboko, wejdźże śmiało,  
Nic nie grozi ci!*

Królewicz, wzięwszy ją w ramiona, spytał znowu:

*– Skąd się wzięłaś, skąd przychodzisz,  
Czy ja jeszcze śnię?*

A ona odpowiedziała jak zwykle:

*– Po co pytasz, Królewiczu?  
Milcz i kochaj mnie.*

Królewicz owinął sobie wokół szyi jej naszyjnik, ale zaledwie usnął, Hrabianka odcięła naszyjnik i znikła. A rano:

– Rada! Rada! – i opowiedział, co się stało.

A Rada:

– Wasza wysokość, weź miednicę z wodą zabarwioną szafranem i postaw ją pod łóżkiem. Gdy bogini zdejmie koszulę, wrzuć ją do miednicy. W ten sposób, gdy włoży ją, żeby odejść, zostawi ślady wszędzie, którędy będzie przechodzić.

W noc, która teraz nastąpiła, Królewicz przygotował miednicę z szafranem i położył się. O północy Hrabianka powiedziała do lampy:

*– Złota lampo, srebrna lampo,  
Czy Królewicz śpi?*

A lampa:

*– Śpi głęboko, wejdźże śmiało,  
Nic nie grozi ci!*

Królewicz, zbudziwszy się, zadał jej zwykłe pytanie:

*– Skąd się wzięłaś, skąd przychodzisz,  
Czy ja jeszcze śnię?*

A ona dała mu zwykłą odpowiedź:

– *Po co pytasz, Królewiczu?*  
*Milcz i kochaj mnie.*

Kiedy Królewicz zapadł w sen, Hrabianka wstała po cichu i chciała odejść, ale znalazła koszulę zamoczoną w szafranie. Nic nie mówiąc wykręca i wyzima koszulę i umyka nie zostawiając śladów.

Od tego wieczora Królewicz na próżno oczekiwał swojej bogini i był w rozpacz. Ale po dziewięciu miesiącach, pewnego ranka, gdy tylko się obudził, znalazł koło siebie piękne dziecko, które wyglądało jak aniołek. Ubrał się w mgnieniu oka, krzycząc:

– Rada! Rada!

I pokazał Radzie dziecko, mówiąc:

– To jest mój syn. Jak teraz rozpoznam jego matkę?

A Rada odpowiedziała:

– Wasza wysokość, udaj, że dziecko umarło, połóż je na środku kościoła i rozkaż, żeby wszystkie kobiety z miasta przyszły je opłakiwać. Ta, która będzie płakać więcej od innych, będzie jego matką.

Tak też Królewicz zrobił. Przychodziły najrozmaitsze kobiety, mówiły: „Synu! Synu!” – i odchodziły jak przyszły. Przyszła na końcu Hrabianka i ze łzami, które ciekły jej po policzkach, zaczęła rwać sobie włosy z głowy i krzyczeć:

– *O synku, płochość mnie zgubiła,*  
*Ciemny warkocz, naszyjnik straciłam*  
*I w koszuli splamionej szafranem*  
*Uciekałam z komnaty nad ranem!*

Królewicz i Rada, i wszyscy zaczęli wołać:

– To matka! To matka!

W tej chwili wystąpił naprzód jakiś człowiek z dobytym mieczem. Był to Hrabia, który zamierzył się mieczem na siostrę. Ale Królewicz rzucił się między nich i zawołał:

*Wstrzymaj się, siostra twa nie jest zhańbiona,  
Będzie z niej prawa Królewicza żona!*

I wzięli ślub w tym samym kościele.

*PALERMO (SYCYLIA)*

---

## MAJSTER FRANCISZEK NIERÓB

Opowiadają, że był raz szewc, który nazywał się Majster Franciszek, a że był leniem, wszyscy nazywali go Majster Nierób. Ów Majster Franciszek miał pięć córek, a córki były pracowite i piękne jak słońce, jedna piękniejsza od drugiej. Ale nie wiedziały, jak pchać dalej życie z tym ojcem, który pracował mało, a zarabiał jeszcze mniej. Wstawał późno, ubierał się, szedł do karczmy i przepijał wszystko, co zarabiał córki.

Wreszcie córki powiedziały mu, że czy chce, czy nie chce, musi zabrać się do roboty. Majster Franciszek wziął stołek, kopyta i młotek, zarzucił sobie to wszystko na plecy i zaczął chodzić po wsi wołając: „Naprawiam buty!” Ale kto go miał wzywać, skoro wszyscy znali go jako pierwszego lenia i opoja we wsi! Gdy zobaczył, że w swojej wsi nie zarobi nawet na sól, poszedł do innej wsi o trzy mile dalej. I tam także: „Naprawiam buty! Naprawiam buty! Komu naprawić buty!” Już mu nie stawało głosu, a nikt go jeszcze nie wezwał i głód zaczął dawać mu się we znaki.

Zapadał wieczór i oto z jakiegoś wielkiego pałacu woła go jakaś Dama. Wchodzi i zastaje ją w łóżku.

– Napraw mi ten trzewik, bo dziurawy.

Majster Franciszek naprawił trzewik, jak umiał najlepiej, a Dama dała mu kilka groszy i rzekła:

– Wiem, że masz pięć niezamężnych córek; jestem chora, potrzeba mi dobrej usługi. Dasz mi jedną ze swoich córek za pokojówkę?

– Dam, wielmożna pani – odrzekł Majster Franciszek. – Jutro ci ją przyślę.

Wróciwszy do domu, opowiedział wszystko córkom i rzekł do najstarszej:  
– Jutro tam pójdziesz.

Rano najstarsza córka poszła do Damy.

– Ach, przysłaś, moja córko! – rzekła Dama. – Siadaj tutaj, pocałuj mnie. Teraz będziesz u mnie żyła szczęśliwie, będziesz mieć wszystkie przyjemności i zbytki, jakich zapragniesz. Widzisz, nie mogę się ruszyć z łóżka, toteż panią tutaj będziesz ty. Idź, córko, pozamiataj teraz w domu, potem oczyść się i przyodziej dobrze sama, żeby mój mąż, kiedy wróci, zastał wszystko w porządku.

Dziewczyna zaczyna zamiatać i podnosi kapę z łóżka, która sięgała ziemi, by zamieść pod spodem. I co widzi? Długi, długi, włochaty ogon, który wychodził spod kołdry i kończył się pod łóżkiem.

„Biada mi! Gdzie ja się dostałam! – mówi do siebie dziewczyna. – To jest wiedźma, a nie żadna Dama!” – i cofnęła się ostrożnie.

– Słuchaj, ty – rzekła Dama i już głos jej się zmienił. – Zamiataj wszędzie, tylko nie pod łóżkiem, zrozumiałaś?

Dziewczyna udała, że idzie do innego pokoju, i drapnęła cichcem do domu. Ojciec, ujrawszy ją, zawołał:

– Co to, wróciłaś?!

– Ojcze, to jest wiedźma, a nie żadna Dama: pod łóżkiem ma taki długi ogon, czarny i włochaty. Mów, co chcesz, ja tam więcej nie wrócę.

– No to siedź w domu – odpowiedział Majster Franciszek. – Poślemy tam drugą.

Drugiej córce Dama zgotowała takie samo miłe przyjęcie i powiedziała jej te same miłe słówka, ale druga córka także spostrzegła ogon i uciekła do domu.

Majstrowi Franciszkowi naprawdę zależało na zapłacie od Damy, za którą mógł jeść i ubierać się nie ruszając palcem. Posłał więc Damie trzecią



córkę, potem czwartą i wreszcie najmłodszą, ale wszystkie wróciły biegiem do domu, przerażone czarnym, włochatym ogonem.

– Lepiej – mówiły – pracować w domu dzień i noc i zarabiać na chleb w pocie czoła, w naszych starych łachmanach, niż u wiedźmy za lekką pracę jeść i ubierać się dobrze, aby potem zostać pożartą! Ojcze, jeśli ci się to tak podoba, to idź do wiedźmy sam.

Ojciec nie mógł odtąd znaleźć chwili spokoju. I postanowił pójść na służbę do Damy. Służba i tak była lekka, a mógł jeść i ubierać się jak księżę.

I rzeczywiście, Dama traktowała go jak księcia: piękne szaty, wyśmienite potrawy, złote pierścienie, przyjemności i zbytki. Cała jego praca to było chodzić na zakupy, sprzątać pokój, potem siadał, wyciągał jedną nogę tu, drugą tam i wałkonił się przez cały dzień. Minął tak jakiś czas, a Majster Franciszek tył i tył. Kiedy już się dobrze utuczył, Dama go zawołała. Zbliżył się do łóżka.

– Co rozkażesz, pani?

Wiedźma zarechotała, chwyciła go za ramię i pożarła w jednej chwili, nie zostawiając nawet kości.

*PALERMO (SYCYLIA)*

---

## O JEDNYM TAKIM, CO POSZEDŁ W ŚWIAT

**B**yła raz wdowa z dwiema córkami i synem, który nazywał się Peppi i nie wiedział, jak zdobyć kawałek chleba.

Matka i córki przędły, a Peppi rzekł:

– Mamo, wiesz, pójdę w świat.

Po drodze ujrzał jakąś zagrodę i spytał:

– Nie potrzebujecie może parobka?

Odpowiedziano mu:

– Ejże, psami go, psami!

I wyszczuto go psami.

Peppi poszedł dalej i już się ściemniało, kiedy napotkał drugą zagrodę.

– Pochwalony!

– Na wieki wieków! Czego chcesz?

– Nie potrzebujecie może parobka?

– Siadaj – odpowiadają mu – zdaje się, że pastuch od wołów odchodzi.

Poczekaj, pójdę spytać gospodarza.

I ktoś poszedł na górę spytać gospodarza, a gospodarz odpowiedział:

– Dobrze, dajcie mu śniadanie, jak zejdę na dół, to pomówimy.

Postawili więc przed nim chleb i miskę serwatki, a on zabrał się do jedzenia. Gdy gospodarz zszedł na dół, zbliżył się do niego pastuch.

– Czy to prawda, że odchodzisz? – spytał gospodarz.

– Tak, panie – odpowiedział pastuch.

Wtedy gospodarz rzekł do Peppiego:

– Rano pójdiesz z wołami, ale słuchaj, synu: jeśli chcesz tu być, to będziesz dostawał tylko jedzenie, nic więcej.

– Zgoda – odpowiedział Peppi. – Niech się stanie wedle woli boskiej.

Przenocował, a rano wziął chleb, coś do chleba i poszedł z wołami. Cały dzień był z wołami, a wieczorem wracał do domu. Zbliżał się mięsopust i Peppi wracał do domu z nosem na kwintę.

Proboszcz go zagadnął:

– Peppi!

– Hę?

– Co ci jest?

– Nic!

Rano, kiedy szedł z wołami, ciągle z kwaśną miną, spotkał gospodarza.

– Peppi!

– Słucham!

– Co ci jest?

– Nic!

– Nic, Peppi? Dlaczego mi nie chcesz powiedzieć?

– Co mam wam powiedzieć? Nadchodzi mięsopust i teraz także nie dacie mi ani grosza, żebym poszedł poweselić się z matką i siostrami?

– Ech! O wszystkim możesz ze mną mówić, tylko nie o pieniądzach! Jeśli chcesz chleba, to dostaniesz, ile tylko zechcesz, ale pieniędzy nie.

– A gdybym chciał kupić trochę mięsa, co mam zrobić?

– Powiedziałem ci warunki na początku; nie wiem, co ci mam odpowiedzieć.

Dniało i Peppi poszedł ze swoimi wołami. Kiedy usiadł, ciągle zasepiony, usłyszał, że ktoś go woła:

– Peppi!

Rozglądnął się na wszystkie strony i pomyślał: „Ze zmartwienia słyszę to, czego nie ma”.

Ale znowu usłyszał, że ktoś go woła:

– Peppi! Peppi!

– Kto mnie woła?

Jeden z wołów odwrócił się.

– Ja.

– Jak to? Ty mówisz?

– A mówię. Co ci jest, żeś taki skrzywiony?

– Co mi ma być? Nadchodzi mięsopust, a gospodarz nic mi nie chce dać.

– Posłuchaj, co masz mu powiedzieć, gdy wrócisz do domu. Spytasz go: „Nie dacie mi nawet starego wołu?” Gospodarz nie może na mnie patrzeć, bo nigdy nie chciałem pracować, i podaruję mnie tobie. Zrozumiałeś?

Wieczorem Peppi wrócił do domu z nosem spuszczonej na kwintę, a gospodarz go spytał:

– Peppi, coś taki naburmuszony?

– Chciałem się was o coś spytać: czy nie zechcielibyście mi dać tego starego wołu, który ma więcej lat, niż potrafiłbym policzyć? Przynajmniej go zarżnę, jak przyjdę do domu, i ugotuję to jego twarde mięso.

– Weź go sobie – odpowiedział gospodarz. – Daruję ci także kawałek sznura, żebyś go mógł poprowadzić.

Nazajutrz, skoro świt, Peppi wziął wołu, torbę, osiem bochenków chleba, czapkę na głowę i poszedł do swojej wsi. Na równinie nadszedł dwóch konnych polowych.

– Byk! Byk! Uważaj, uważaj! Goni tu byk, zabije cię!

Wół powiedział cicho:

– Spytaj ich, Peppi: „Jak go złapię, dacie mi go?”

Peppi spytał, a oni:

– Dobrze! Ale nie dasz rady, zabije ciebie i wołu.

Wół rzekł:

– Peppi, schowaj się za mnie i nie bój się.

Nadbiegł byk z rozdętymi nozdrzami, natarł wprost na starego wołu i zaczęli się bóść, ale stary wół był tak twardy, że po chwili ogłuszył byka.

– Peppi, złap go – rzekł stary wół – i przywiąż do moich rogów.

Peppi uwiązał byka, pożegnał polowych i ruszył naprzód.

Przechodząc przez jakąś wieś, usłyszał obwieszczenie:

„Kto potrafi zorać w jeden dzień łan ziemi, dostanie Królową za żonę; jeśli jest żonaty, dostanie dwa kopce złotych monet; jak nie da rady, zapłaci głową”.

Peppi powiódł wołu i byka do zajazdu i poszedł do Króla. Straż nie chciała go wpuścić, bo był obszarpany, ale wyglądnął Król we własnej osobie i kazał go wpuścić.

Peppi wszedł na górę i rzekł:

– Sługa waszej królewskiej mości.

– Co powiesz?

– Słyszałem obwieszczenie, mam dwa woły i chciałbym spróbować, czy poradzę sobie z tym łanem ziemi.

– Ale czy słyszałeś całe obwieszczenie?

– Słyszałem: jeśli sobie nie poradzę, utną mi szyję. Wasza królewska mość każe mi dać pług i trochę siana, bo nie mam nic, będąc tutaj w przejeździe.

– Zaprowadź woły do mojej stajni – odpowiedział Król – i nakarm je.

Peppi poszedł po swoje bydła i zaprowadził je do stajni, a stary wół rzekł mu:

– Dla mnie pół wiązki siana, dla byka cała wiązka.

Rano Peppi wziął pług, cztery wiązki siana i poszedł. Kazał sobie pokazać ziemię, nałożył wołom jarzmo i zabrał się do orki.

Rajcy patrzeli z balkonu naprzeciw i rzekli do Króla:

– Najjaśniejszy panie, cóżeś uczynił? Czy nie widzisz, że on już kończy orać? Chcesz dać swojej córce takiego brzydkiego chłopca za męża?

Król spytał:

– A co mi radzicie?

– Poślij mu w południe pieczoną kurę, seler i butelkę wina z makowym odwarem...

Posłali do Peppiego służącą z tym jadłem.

– Chodź jeść, bo stygnie!

Peppi miał do zorania jeszcze tylko trójkąt ziemi wielkości księzego kapelusza. Poszedł jeść i dał pół wiązki siana staremu wołowi i całą wiązkę bykowi. Potem zaczął chrupać kurę i popijać wino. Wypił je do ostatniej kropli, zjadł całą kurę, rzucił się na ziemię i zasnął. Stary wół zeżarł swoje siano, poczekał, żeby byk skończył swoje, a tymczasem dawał Peppiemu spać. Gdy także byk skończył jeść, wół zaczął trącać Peppiego nogą.

– Uhum... Uhum... – mamrotał Peppi przez sen.

– Wstawaj – rzekł wół – wstawaj, tu idzie o głowę!

Peppi wstał, umył sobie twarz, nałożył wołom jarzmo, zaspany skończył orać kawałek ziemi i zaczął go poprawiać.

– Do licha! Za mało dostał makowego odwaru – powiedzieli rajcy na balkonie.

Peppi zwijał się co tchu i o dziesiątej wieczorem uporał się z robotą: wrócił do pałacu, dał bydłom siano i poszedł do Króla.

– Papo, pobłogosław mnie.

– Och, skończyłeś? Co chcesz: dwa kopce złotych monet?

– Jestem kawalerem, najjaśniejszy panie, co mi po złotych monetach. Chcę się ożenić.

Wzięli go, umyli od stóp do głów i przyodziali po książęcemu. Nawet zegarek mu dali. I ożenił się.

Stary wół rzekł mu:

– Teraz, gdy się ożeniłeś, zabijesz mnie, włożysz wszystkie moje kości do kosza i posadzisz je w ziemi, którą zaorałeś. Zostawisz tylko jedną nogę i

włóżysz ją pod swój materac. Moje mięso dasz kucharzowi, żeby je przyrządził, jak zechce: jako mięso królika, zająca, koguta, indyka, barana, nawet ryby.

Tak więc Peppi zarznął starego wołu. Król nie chciał, bo i on go polubił, ale Peppi rzekł:

– Nie, papo, zarznijmy go, bo w ten sposób nie będziesz musiał kupować mięsa na ucztę weselną.

I kazał kucharzowi upiec mięso wołu jako mięso najrozmaitszych zwierząt. Do stołu usiadło mnóstwo biesiadników; zaczęto przynosić potrawy i wszyscy byli zadowoleni.

– To zając...

– To królik...

– To młoda jałówka...

– Wyśmienite mięso...

Wieczorem, gdy tylko żona zasnęła, Peppi wsunął nogę wołu pod materac, wziął na plecy kosz z kośćmi, zasiał je i wrócił do łóżka tak, że żona nic nie słyszała. Żona budzi się po chwili i powiada:

– Ach, jaki ja miałam sen! Zdawało mi się, że nad ustami wisi mi mnóstwo wiśni i jabłek, i mnóstwo róż, mnóstwo jaśminu... Zdaje mi się, że mam je jeszcze przed oczyma...

Wyciąga rękę i zrywa jabłko.

– To nie sen, to nie sen, to naprawdę jabłko!

A mąż:

– To nie sen, to nie sen, to naprawdę wiśnia!

I wyciągał rękę, i zrywał wiśnie.

Przyszedł Król, by powiedzieć im „dzień dobry”, i zastał komnatę pełną kwiatów; i owoców nie z tej pory roku. Zaczął je także jeść.

Rajcy stanęli na balkonie i spojrzenia ich padły na ziemię, którą zorał Peppi: pełno tam było najrozmaitszych drzew. Zawołali Króla.

– Spójrz, najjaśniejszy panie: czy to drzewa tam, na ziemi zoranej przez Peppiego?

Król wyteżył wzrok.

– Ależ tak, to nie przywidzenie! Chodźmy zobaczyć.

I wsiedli do powozu.

Gdy tam przyjechali, zobaczyli drzewa pomarańczowe i cytrynowe, śliwy, wiśnie, winograd, grusze – wszystkie obarczone owocami. Król narwał trochę owoców i wrócił zadowolony do pałacu.

Trzeba wiedzieć, że Król miał dwie inne córki, zamężne za synami książąt. I córki te zaczęły pytać siostry:

– Czy to twój mąż to wszystko zrobił?

– A czy ja wiem? – odpowiedziała.

– Głupia, spytaj go, jak on to robi.

– Dobrze, spytam go wieczorem.

– Doskonale, a potem zaraz nam powiesz.

Wieczorem, w łóżku, żona zaczęła wypytywać męża, a on, żeby mu dała spać, zwierzył się jej ze wszystkiego. Nazajutrz powiedziała o tym siostrze, a siostry mężom. Gdy wszyscy byli razem z Królem, szwagrowie rzekli:

– Zróbmy zakład, szwagrze Peppi.

– A jaki?

– Założmy się, że potrafimy powiedzieć, jak to zrobiłeś, że wyrosły te wszystkie drzewa.

– Założmy się.

– A zatem: ty stawiasz wszystko, co tu dostałeś, a my wszystko, co posiadamy.

Poszli do notariusza i spisali akt.

Wtedy szwagrowie powiedzieli mu wszystko. Peppi, który ufał żonie, pomyślał: „Kto im to mógł powiedzieć? Słońce?”



Dał im całe swoje mienie i stał się biedakiem jak przedtem. Ruszył w drogę ze swoją torbą, ubrany po chłopsku, i doszedł do jakiejś chaty. Zapukał.

– Kto tam?

– To ja, ojciec pustelnika.

– A czego szukasz?

– Możesz mi powiedzieć, gdzie wschodzi Słońce?

– Ech, synu, przez tę noc śpij tutaj, a rano pošę cię do innego pustelnika, który jest starszy ode mnie.

Rano o świcie pustelnik dał mu bochen chleba i Peppi go pożegnał. Szedł, szedł, aż doszedł do drugiej chaty, a w chacie był pustelnik z siwą brodą do kolan.

– Ojciec wielbny, bądź błogosławiony.

– Co powiesz?

– Możesz mi powiedzieć, gdzie wschodzi Słońce?

– Ech, synu! Idź, póki nie spotkasz mnicha starszego ode mnie.

Peppi pożegnał go pięknie i poszedł dalej, aż dotarł do innej chaty i pocałował pustelnika w rękę.

– Świątobliwy ojciec, bądź błogosławiony...

– Czego szukasz?

– Możesz mi powiedzieć, gdzie wschodzi Słońce?

– Ech, synu... Hm... może ty tam dotrzesz. Słuchaj, masz tu szpilkę. Idź, usłyszysz ryk lwa; zawołasz: „Kumie lwie, twój kum pustelnik przesyła ci pozdrowienia i szpilkę, którą wyjmę ci kolec z łapy, a w zamian zrobisz tak, żebym mógł rozmawiać ze Słońcem”.



Peppi zrobił, jak mu powiedział pustelnik, wyjął lwu kolec, a lew rzekł:  
– Ach, wróciłeś mi życie!  
– Teraz pomóż mi znaleźć Słońce.  
Lew zaprowadził go do wielkiego morza z czarną wodą.

– Tu wschodzi Słońce, ale przed wschodem Słońca wynurza się wąż, a ty mu powiesz: „Kumie wężu, twój kum lew przesyła ci pozdrowienia, a w zamian zrobisz tak, żebym mógł rozmawiać ze Słońcem”.

Lew odszedł, a Peppi zobaczył, że woda się wzburza: wynurzył się wąż i Peppi rzekł mu słowo w słowo tak, jak go nauczył lew. Wąż odpowiedział:

– Prędko, rzucaj się w wodę i wsuń się pod moje skrzydła, inaczej spalą cię promienie Słońca.

Peppi wsunął się pod skrzydło. Wzeszło Słońce i wąż rzekł:

– Teraz, Peppi, mów Słońcu, co masz mu do powiedzenia, nim się oddali.

A Peppi:

– O Słońce zdradzieckie, ty jedno mogłoś mnie zdradzić, a nie powinno byłoś tego robić, zdrajco!

– A Słońce:

– Ja? To nie ja cię zdradziłem. Chcesz wiedzieć, kto? Twoja żona, której powierzyłeś tajemnicę.

– Wybacz więc, Słońce – rzekł Peppi. – Ale jest pewna przysługa, którą tylko ty możesz mi wyświadczyć, moje Słońce: zajdź pół godziny po północy, w ten sposób odzyskam swoje mienie.

– Dobrze, tę przysługę chętnie ci wyświadczę.

Peppi podziękował wszystkim i pięknie się pożegnał. Wrócił do domu, żona przygotowała mu już rosół; posilił się i usiadł na powietrzu. Przechodzili mimo jego szwagrowie, synowie książąt.

– Szwagrowie – zagadnął – zrobmy teraz inny zakład.

– A co stawiasz w zakład? Nic już nie masz.

– Stawiam w zakład swoją szyję, a wy moje mienie.

– Dobrze. Ty swoją szyję, a my twoje mienie i jeszcze nasze na dodatek. Ale co to ma być za zakład?

Wtedy Peppi spytał:

– Kiedy zachodzi Słońce?

– Oszalał, nie wie nawet, kiedy zachodzi Słońce – powiedzieli do siebie szwagrowie. A do niego: – Jak to: kiedy? O pół do dziesiątej!

– A ja powiadam, że o pół do pierwszej w nocy!

Poszli spisać akt i zaczęli patrzeć na Słońce. O pół do dziesiątej Słońce miało już zapaść za widnokrąg, ale Peppi powiada:

– O Słońce, tak dotrzymujesz słowa, któreś mi dało?

Wtedy Słońce przypomniało sobie obietnicę i zamiast zejść, ociągało się i ociągało, aż do pół do pierwszej.

– A nie mówiłem wam? – rzekł Peppi.

– Masz słusność – odpowiedzieli szwagrowie i oddali mu zaraz jego mienie i nadto swoje.

– Teraz – rzekł Peppi – chcę wam pokazać serce chłopca (oni nazywali go zawsze chłopem).

Bierze i zwraca im ich majątek.

– Macie, ja cudzego mienia nie chcę, chcę swoje.

Peppi zaczął pędzić z żoną życie takie jak przedtem. Król uściskał go, zdjął koronę i włożył ją na głowę Peppiego. Szwagrowie, rozumie się, żuli gniew, ale nie dawali tego po sobie poznać. Nazajutrz była wspaniała uczta ze wszystkimi krewnymi: bawiono się, podawano potrawę za potrawą, a na końcu była także kawa, lody i tort, i w ten sposób Peppi z biednego pastucha stal się Królewiczem.

*SALAPARUTA (SYCYLIA)*



---

## KRÓLEWICZ W KURNIKU

Opowiadają, że był raz szewc, który miał trzy córki: Peppę, Ninę i Nunzię. Byli bardzo biedni i szewc chodził po wsiach, naprawiając buty, ale nie mógł zarobić ani grosza. Żona, widząc, jak wraca z próżnymi rękoma, mówiła mu:

– Nieszczęśniku! Co ja dzisiaj włożę do garnka?

A on, zmęczony, rzekł do Nunzii, która była najmłodsza:

– Słuchaj, pójdiesz ze mną po zieleninę na zupę.

I poszli w pola, by zrywać zioła na zupę. Doszli do jakiejś włości i Nunzia znalazła taki duży koper, że choć ciągnęła co sił, nie mogła go wyrwać i musiała zawołać ojca.

– Ojcze! Ojcze! Zobacz, co znalazłam! Nie mogę go wyrwać!

Ojciec spróbował, ciągnie, ciągnie, aż wyrwał koper, a pod koprem ukazały się otwarte drzwi. W drzwiach stanął piękny młodzieniec.

– Piękne dziewczę – rzekł – czego tu szukasz?

– A czegoż mamy szukać? Jesteśmy biedakami i zbieramy zieleninę na zupę.

– Jeśli jesteś biedny, to ja cię uczynię bogatym – rzekł młodzieniec do szewca. – Zostaw mi swoją córkę, a dam ci worek pieniędzy.

Biedny ojciec rzekł:

– Jak to? Zostawić ci moją córkę?

Ale młodzieniec poty nalegał, póki go nie przekonał. Szewc wziął pieniądze i zostawił Nunzię, która zeszła z młodzieńcem pod ziemię.

Pod ziemią był dom tak zbytkowny, że dziewczynie wydało się, iż dostała się do raju. Zaczęło się życie, które można by nazwać szczęśliwym, gdyby nie to, że Nunzia nie wiedziała, co się dzieje z ojcem i siostrami.

Szewc tymczasem jadł codziennie kurczęta i wołowinę i dobrze mu się działo. Aż Peppa i Niań powiedziały mu pewnego dnia:

– Ojczy, nie zechciałbyś nas zaprowadzić w odwiedzinach do naszej siostry?

Poszli do miejsca, gdzie niegdyś znaleźli koper, zapukali do drzwi i młodzieniec ich wpuścił. Nunzia, ujrawszy siostry, bardzo się ucieszyła i oprowadziła je po całym domu. Tylko jednej komnaty nie chciała otworzyć.

– Dlaczego? Co tam jest w środku? – spytały siostry, bardzo zaciekawione.

– Nie wiem, bo i ja nigdy tam nie byłam. Mój mąż zakazał mi tego.

Potem poszła się czesać, a siostry ofiarowały się jej pomocą. Rozpuściły jej warkocz, a w warkoczku znalazły uwiązany jakiś klucz.

– To – rzekła półgłosem Peppa do Niny – musi być klucz do pokoju, którego nie chciała nam pokazać!

I udając, że ją czeszą, odwiązały klucz; potem poszły otworzyć cichcem komnatę.

W komnacie było wiele kobiet: jedna haftowała, druga szyła, trzecia kroila. I śpiewały:

*Szyjemy pieluszki, cienki powijaczek,  
Bo się ma narodzić Królowi synaczek.*

– Ach! Nasza siostra spodziewa się dziecka i nie powiedziała nam o tym – rzekły siostry.

Ale w tej chwili kobiety w komnacie spostrzegły, że są widziane; tak jak były piękne, tak stały się żółte, brzydkie i zamieniły się w jaszczurki. Peppa i Nina uciekły.

Nunzia zobaczyła je przestraszone.

– Co wam jest, siostrzyczki?  
– Nic, chciałyśmy się z tobą pożegnać, bo już idziemy.  
– Tak prędko?  
– Tak, musimy wracać do domu.  
– Ale co się wam stało?  
– No to ci powiemy: zabrałyśmy ci klucz, który miałaś w warkoczu, otworzyłyśmy te drzwi...

– Ach, siostrzyczki, to będzie moja zguba!

I rzeczywiście: owe kobiety z komnaty, potężne wróżki, poszły do młodzieńca, który był tam pod ziemią ich więźniem, i powiedziały mu:

– Wiesz? Musisz wygnać swoją żonę. Natychmiast.

– Ale dlaczego? – spytał ze łzami w oczach młodzieniec.

– Musisz ją natychmiast wygnać. Rozkaz to rozkaz, zrozumiałeś?

I biedny małżonek musiał pójść do żony i powiedzieć jej, choć serce mu się krajało:

– Musisz natychmiast odejść z tego domu, to rozkaz wróżek, inaczej jestem zgubiony!

– Moje siostry przywiodły mnie do zguby! – zawołała wybuchając łkaniem. – I gdzie mata pójść?

– Masz ten kłębek – rzekł jej mąż – uwiąż jeden koniec do gałki od drzwi i rzuć, niech się toczy. Gdzie się skończy, tam się zatrzymasz.

Nunzia, zrozpaczona, usłuchała. Kłębek toczy się i toczy, i nie chce się skończyć. Doszła pod balkon przepięknego pałacu i tu kłębek się skończył. Był to pałac Króla Kryształ.

Nunzia zawołała i wyglądnęły pokojówki.

– Przez litość – rzekła – przenocujcie mnie przez tę noc, bo nie wiem, gdzie się schronić, a spodziewam się dziecka!

Bo tymczasem spostrzegła, że spodziewa się dziecka.



Pokojówki poszły powiedzieć to Królowi Kryształowi i Królowej, a oni odpowiedzieli, że nie otworzą swego domu nikomu. Trzeba wiedzieć, że ich syn wiele lat przedtem został uprowadzony przez wróżki i więcej o nim nie słyszeli, toteż byli pełni nieufności względem obcych kobiet.

Biedaczka rzekła:

– Choćby w kurniku, przez jedną noc!

Pokojówki, zdjęte litością, poty prosiły Króla i Królową, póki nie pozwolili jej wejść do kurnika, i przyniosły jej trochę chleba, bo umierała z głodu. Chciały dowiedzieć się jej historii, ale ona tylko potrząsała głową i powtarzała:

– Ach, gdybyście wiedziały! Ach, gdybyście wiedziały!

Tej samej nocy urodziło się jej piękne dziecko i jedna z pokojówek poszła natychmiast powiedzieć Królowej:

– Najjaśniejsza pani, jakie piękne dziecko urodziła ta kobieta! Jest całkiem podobne do syna waszej królewskiej mości!

A tymczasem wróżki powiedziały młodzieńcowi, który ciągle przebywał pod ziemią:

– Czy wiesz, że twoja żona urodziła piękne dziecko? Chcesz pójść je zobaczyć wieczorem?

– Pewnie, że chcę. Zaprowadzicie mnie tam?

W nocy dało się słyszeć pukanie do drzwi kurnika.

– Kto tam?

– Otwórz, to ja, ojciec twego dziecka.

I Nunzia ujrzała wchodzącego męża, który był synem Króla porwanym przez wróżki i którego teraz wróżki przyprowadziły, żeby zobaczył swoje dziecko.

Wszedł, a za nim wszystkie wróżki, i cały kurnik się odmienił: ściany były obite złotem, na legowisku leżała kołdra haftowana złotem, kołyska dziecka była złota i wszystko jaśniało tak, że zdawało się, że to dzień, i

rozbrzmiewała muzyka; wróżki śpiewały i tańczyły, a Królewicz kołysał dziecko i mówił:

*Gdyby mój ojciec wiedział,  
Że jesteś synem jego syna,  
W złotej kolebce by cię kołysano,  
W złote pieluszki by cię spowijano,  
A ja bym z tobą był nocą i dniem...  
Śpij, mój syneczku, śpij spokojnym snem!*

A wróżki, tańcząc, wyglądały przez okno i śpiewały:

*Koguty jeszcze nie pieją,  
Zegar jeszcze nie bije,  
Jeszcze nie pora, jeszcze nie pora.*

Zostawmy je i zobaczmy, co słyhać u Królowej. Przychodzi do niej pokojówka i mówi:

– Najjaśniejsza pani, gdybyś wiedziała! U tej kobiety dzieją się niesłychane rzeczy! To już nie kurnik, cały jest światłem jak raj, słyhać śpiew, słyhać jakiś głos, który wydaje się głosem syna waszej królewskiej mości. Posłuchaj, najjaśniejsza pani, posłuchaj!

Królowa poszła pod drzwi kurnika i nadstawiła ucha, ale w tej samej chwili zapiał kogut, i nic już nie było słyhać, i nie było już widać światła w drzwiach.

Następnego rana Królowa zapragnęła zanieść sama kawę obcej kobiecie.

– Czy nie chciałabyś mi powiedzieć, kto tu był tej nocy?

– Ach, nie mogę tego powiedzieć waszej królewskiej mości, ale nawet gdybym mogła, cóż bym powiedziała! Czyż ja sama wiem, kto przychodzi?

A Królowa:

– Któż to może być? A gdyby to był mój syn? – i tak długo nalegała, aż kobieta opowiedziała jej całą swoją historię od początku: jak poszła zbierać zieleninę na zupę... i całą resztę.

– A więc ty jesteś żoną mojego syna? – spytała Królowa obejmując ją i całując. I rzekła jej: – Dziś w nocy spytaj go, co trzeba zrobić, żeby go uwolnić.

W nocy, o tej samej godzinie, zebrały się wróżki z Królewiczem. Wróżki zaczęły tańczyć, a on kołysał swego syna, ciągle śpiewając:

*Gdyby mój ojciec wiedział,  
Że jesteś synem jego syna,  
W złotej kolebce by cię kołysano,  
W złote pieluszki by cię spowijano,  
A ja bym z tobą był nocą i dniem...  
Śpij, mój syneczku, śpij spokojnym snem!*

Gdy wróżki tańczyły, żona spytała męża:

– Powiedz, co trzeba zrobić, aby cię uwolnić?

– Trzeba, żeby koguty nie piały, żeby zegar nie bił, żeby dzwony nie dzwoniły, i trzeba zasłonić okna niebieskim płótnem z wyhaftowanym księżycem i gwiazdami, które wyglądałoby jak noc, tak żeby nie było widać, kiedy robi się dzień. Gdy słońce będzie już wysoko, trzeba ściągnąć płótno, a wróżki zamienią się w jaszczurki i uciekną.

Nazajutrz Król kazał obwieścić:

„Dzwonom i zegarowi nie wolno bić, a wszystkie koguty mają być zabite”.

Wszystko zostało przygotowane i w nocy, o zwykłej godzinie wróżki zaczęły tańczyć i grać, a Królewicz śpiewał:

*Gdyby mój ojciec wiedział,  
Że jesteś synem jego syna,  
W złotej kolebce by cię kołysano,  
W złote pieluszki by cię spowijano,  
A ja bym z tobą był nocą i dniem...  
Śpij, mój syneczku, śpij spokojnym snem!  
A wróżki wyglądały przez okno, śpiewając:  
Koguty jeszcze nie pieją,*

*Zegar jeszcze nie bije,  
Jeszcze nie pora, jeszcze nie pora.*

Spędziły noc tańcząc i śpiewając i ciągle wyglądały przez okno, ale widząc, że jeszcze noc, powtarzały:

*Koguty jeszcze nie pieją,  
Zegar jeszcze nie bije,  
Jeszcze nie pora, jeszcze nie pora.*

Gdy słońce było już na szczycie nieba, ściągnięto płótno: jedna wróżka zamieniła się w węża, druga w jaszczurkę i wszystkie uciekły.

A Królewicz i jego żona uściskali Króla i Królową.

*SALAPARUTA (SYCYLIA)*

---

## WIELKI NARBOŃCZYK

**O**powiadać się tu będzie państwu, że był raz pewien Król, który miał syna. Ten syn, pragnąc się ożenić, rozesłał malarzy do wszystkich królestw, by namalowali mu najpiękniejsze dziewczęta wszelkiego stanu. Pierwszy malarz, który powrócił, przywiózł portret córki praczki, dziewczyny rzadkiej mody. Królewicz, ujrawszy ją, zawołał: „Chcę tę!” – i pojechał z zastępem sług i żołnierzy do miasta, w którym mieszkała dziewczyna.

Dziewczyna wracała od prania: dźwigała na głowie stos bielizny. Królewicz uderzeniem ręki zrzucił jej bieliznę do rzeki i powiedział:

– Ożenię się z tobą i będziesz Królową.

Wziął ją za rękę i powiedział:

– Chodźmy do twego ojca.

Dziewczyna wybuchnęła płaczem, zaś ojciec rozgniewał się:

– Żartujcie sobie między sobą, a biednym ludziom dajcie myśleć o swoich kłopotach!

Ale Królewicz:

– Słowo honoru, chcę twoją córkę za żonę, a ty dostaniesz rentę ojcowską.

Zostawił mu sporą sumę, kazał przyodziać dziewczynę przystojnie, w szaty królewskie, i wyjechał. W pałacu, po weselu, przez tydzień urządzali bale, potem odeszli do swoich komnat i kochali się.

Tymczasem ojcu Królewicza wypowiedziano wojnę, a ten, kto mu ją wypowiedział, był Królem Afryki. Bronić królestwa poszedł Królewicz:

wyjechał, a żonę powierzył ojcu jak własne życie. Poszedł na wojnę i w pierwszej bitwie został zwycięzcą.

Zostawmy go na wojnie i zajmijmy się jego żoną, bo był pewien minister Króla, który zaczął sobie zawracać głowę Królewiczową. Ale za pierwszym razem, gdy spróbował się koło niej kręcić, Królewiczowa wymierzyła mu taki policzek, że odkręcił się w drugą stronę.

Zielony od doznanej obrazy, pobiegł natychmiast do Króla.

– Najjaśniejszy panie, synowa waszej królewskiej mości zadaje się z kucharzem i jeszcze z innymi mężczyznami...

Król napisał do syna, a syn odpowiedział: „Uczyń z moją żoną, co uznasz za właściwe”.

Król pokazał list ministrowi.

– Jaki wydamy na nią wyrok?

– Najjaśniejszy panie – odpowiedział minister – weźmy dwóch łotrów, niech ją zaprowadzą do lasu i zabiją.

Tak też uczyniono. Królewiczowa niczego nie podejrzewała; wiedziała, że ma udać się na wieś, i włożyła na siebie klejnoty. Doszedłszy do jakiegoś miejsca, spytała tych dwóch:

– Ale dokąd idziemy?

– Idź dalej i cicho bądź!

I jeden z łotrów wyjął nóż i zaczął ją kłuć, aby dalej szła. Doszedłszy do ciemnego miejsca, chcieli ją zabić.

– Dlaczego chcecie mnie zabić? – płakała biedaczka. – Macie tu moje klejnoty, nie zabijajcie mnie!

Siepacze wzięli klejnoty i darowali jej życie. Królewiczowa pozostała w lesie, samotna i strapiona. Przechodził obok pasterz kóz – dała mu napiwek i kazała sobie dać męskie szaty. Swoją królewską suknię schowała pod morwą i zrobiła znak na pniu, by zapamiętać miejsce.

Ruszyła w drogę przebrana za mężczyznę i spotkała czterech złodziei.

- Kto tam? – spytał złodzieje.
- Ukrywam się – odpowiedziała Królewiczowa.
- Ale kto ty jesteś?
- Wielki Narbończyk.
- Ach, słyszeliśmy o tobie, słyszeliśmy o czynach, jakich dokonałeś...

I zabrali ją z sobą do jaskini. Zebrali się tam inni złodzieje, ze dwudziestu, i słysząc, że to Wielki Narbończyk, człek tak waleczny, oddali mu cześć i mianowali swoim hersztem.

– Skoro uczyniliście mi ten zaszczyt – rzekł Narbończyk – musicie robić, co rozkażę. Podpiszemy umowę krwią.

– Zgoda – odpowiedzieli złodzieje i krwią z ramienia podpisali posłuszeństwo hersztowi.

W tej chwili wszedł wartownik i powiedział, że zbliża się dwunastu złotników ze swymi kufkami.

- Kto pójdzie to ukraść? – spytał złodzieje.
- Ja i dwóch innych – odpowiedział Narbończyk.

Złotnicy, widząc, że są zaskoczeni, dali ognia, ale złodzieje dali jeszcze większego ognia, tak że złotnicy uciekli pozostawiając dwanaście kufków pełnych złotych wyrobów. (To Wielki Narbończyk zostawił im wolną drogę).

Złodzieje porwali kufry ze złotem i zakrzyknęli:

- Niech żyje Wielki Narbończyk!

Tymczasem Królewicz wrócił z wojny, zamknął się w swojej komnacie i płakał. Przyszli doń szlachcice i zaczęły go pocieszać:

– Królewiczu, co znaczy ten płacz? Wypłaczesz sobie oczy. Chodź z nami w pole, rozerwiesz się.

Idą w pole polować i chwytają ich złodzieje. Prowadzą ich do jaskini.

– Ty jesteś Królewiczem, prawda? – spytał Wielki Narbończyk. – A czy minister twego ojca jeszcze żyje?

– Oczywiście, że żyje – odpowiedział Królewicz.

– Napisz natychmiast do niego list i poślij po niego – rzekł Wielki Narbończyk. – Niech przyjedzie do jaskini na Wielkiej Górze.

Królewicz napisał i minister nie mógł odmówić przyjazdu. Złodzieje stali na czatach; gdy tylko ujrzeli ministra, ujęli go i zaprowadzili do jaskini. Wielki Narbończyk każe przygotować biesiadę i prosi wszystkich na obiad: złodziei było dwudziestu czterech, Królewicz dwudziesty piąty, minister dwudziesty szósty, a on dwudziesty siódmy. Podczas obiadu powiada:

– Teraz, panie ministrze, opowiedz mi, jak to było z tą żoną Królewicza.

Minister zaczął drzeć.

– Ja o niczym nie wiem...

– Nie, nie drzyj: opowiedz rzecz Królewiczowi; co chciałeś zrobić z jego żoną?

A ponieważ minister nie chciał mówić, Wielki Narbończyk zwrócił się ku niemu z wymierzonym pistoletem i zawołał:

– Albo opowiesz wszystko, albo strzelę ci w łeb!

Minister, jękając się, zaczął opowiadać.

– Słyszałeś, najjaśniejszy panie – rzekł do Królewicza herszt złodziei – jak się miała rzecz z twoją żoną?

I wyjąwszy kordelas, uciął ministrowi głowę i położył ją na środku stołu.

– Patrz, wasza wysokość, jak skończył ten niegodziwiec! Teraz możemy dalej jeść! Wyrzucicie ciało z jaskini!

Po obiedzie pożegnał się, poszedł pod morwę po suknię Królewiczowej i włożył ją. Gdy Królewicz ujrzął go, jak wchodzi, i poznał, że to jego żona, zaczął płakać z rozczulenia i prosić ją o przebaczenie.

Królewiczowa wyjednała łaskę dla złodziei i wszyscy na koniach, z powozem Królewicza i Królewiczowej w środku, pojechali do pałacu. Wyobraźcie sobie, ile było radości! Złodzieje wrócili bogaci do swoich i więcej nie kradli.



*PROWINCJA AGRYGENT (SYCYLIA)*

---

## GOSPODARZ PRAWDA

**B**ył raz Król, który miał kozę, jagnię, barana i wołu. Ponieważ bardzo mu zależało na tych zwierzętach, zwłaszcza na wole, przeto chciał je powierzyć tylko zaufanemu człowiekowi. A najbardziej zaufanym człowiekiem, jakiego znał, był pewien wieśniak, którego wszyscy nazywali Gospodarzem Prawdą, bo nigdy w życiu nie powiedział żadnego kłamstwa. Król wezwał go i powierzył mu zwierzęta.

– Co sobota – rzekł mu – będziesz przychodził do pałacu i donosił mi, jak się mają zwierzęta.

I rzeczywiście, co sobota Gospodarz Prawda schodził z gór, stawał przed Królem, zdejmował czapkę i mówił:

- *Dzień dobry, królestwa Włodarzu!*
- *Dzień dobry, Prawdo-Gospodarzu!*  
*Jak tam kózka czarna?*
- *Zdrowa i figlarna.*
- *Jak jagniątko małe?*
- *Wełniste i białe.*
- *A jak baran tłusty?*
- *Zjadł zagon kapusty.*
- *A jak wół leciwy?*
- *Gruby i leniwy.*

Król wierzył mu na słowo i po rozmowie Gospodarz Prawda wracał w góry.

Ale wśród ministrów Króla był jeden, który patrzył z zawiścią na względy, jakimi Król darzył gospodarza, i pewnego dnia rzekł do Króla:

– Czy to możliwe, żeby ten stary gospodarz rzeczywiście nie był zdolny do kłamstwa? Założę się, że w najbliższą sobotę powie waszej królewskiej mości jakieś kłamstwo.

– Jeśli mój gospodarz powie mi kłamstwo, gotów jestem zapłacić głową!  
– wykrzyknął Król.

Zrobili więc zakład i ten, który by przegrał, miał zapłacić głową. Brakowało tylko już trzech dni i minister im dłużej o tym myślał, tym bardziej nie wiedział, co począć, żeby gospodarz w sobotę powiedział jakieś kłamstwo.

Myślał o tym rano, myślał o tym wieczór, myślał o tym w nocy, aż żona, widząc, że jest taki zafrasowany, spytała:

– Co ci jest, co cię trapi?

– Daj mi spokój – odpowiedział – tego by tylko brakowało, żebym ci o tym mówił!

Ale ona prosiła go tak usilnie, że w końcu zdołała go skłonić, by jej powiedział.

– To wszystko? Już ja o tym pomyślę – rzekła.

Nazajutrz żona ministra przyodziła się w swoje najpiękniejsze szaty, włożyła najkosztowniejsze klejnoty i gwiazdę z diamentów na czoło. Potem wsiadła do powozu i kazała się zawieźć na górę, na której Gospodarz Prawda pasł kozę, jagnię, barana i wołu. Przyjechawszy wysiadła z powozu i zaczęła się rozglądać wokoło. Wieśniak, widząc piękną kobietę, jakiej jeszcze nigdy nie widział, był niezmiernie zakłopotany. Zabiega koło niej, dwoi się i troi, żeby przyjąć ją jak najlepiej.

– Och – mówi ona – drogi gospodarzu, chcesz wyświadczyć mi przysługę?

– Szlachetna pani – odpowiedział – rozkazuj. Zrobię, co tylko zechcesz.

– Widzisz, oczekuję dziecka, i mam ochotę na pieczoną wątrobę wołową, jak mi jej nie dasz, to umrę tutaj.

– Szlachetna pani – odpowiedział gospodarz – żądaj, czego chcesz, ale tej jednej rzeczy nie mogę dla ciebie zrobić; wół należy do Króla i jest najmilszym zwierzęciem, jakie ma.

– Biada mi – jęknęła kobieta – naprawdę muszę umrzeć, jeśli nie uczynisz zadość mojej chęci. Gospodarzu, drogi gospodarzu, uczyni to przez litość! Król nic o tym nie będzie wiedział, a ty będziesz mógł mu powiedzieć, że wół spadł z góry!

– Nie, tego nie mogę powiedzieć – odpowiedział gospodarz – i wątroby także nie mogę ci dać.

Wtedy biedaczka zaczęła płakać, biadać, rzuciła się na ziemię i naprawdę zdawało się, że umiera. Była taka piękna, że serce w wieśniaku zmiękło: zabił wołu, upiekł wątrobę i dał jej. Kobieta, ucieszona, zjadła ją, pożegnała się spiesznie z gospodarzem i odjechała powozem.

Biedny gospodarz pozostał sam i zdawało mu się, że ma kamień na piersiach. „Co ja teraz powiem Królowi w sobotę? Kiedy mnie spyta: »A jak wół leciwy?«, a ja nie będę mu mógł powiedzieć: »Gruby i leniwy?«” Wziął swój kij, wbił go w ziemię i zawiesił na nim swoją opończę; odszedł kawałek, potem zbliżył się o kilka kroków, uklonił się i zaczął mówić, zwrócony do kija:

– *Dzień dobry, królestwa Włodarzu!*

– *Dzień dobry, Prawdo-Gospodarzu!*

*Jak tam kózka czarna?*

– *Zdrowa i figlarna.*

– *Jak jagniątko małe?*

- *Wełniste i białe.*
- *A jak baran tłusty?*
- *Zjadł zagon kapusty.*
- *A jak wół leciwy?*

I tu zabrakło mu słów. Zaczął bełkotać, zwrócony do kija:

– Najjaśniejszy panie... zaprowadziłem go na pastwisko... i zleciał z wierzchołka góry... połamał sobie kości... a potem zdechł... – i zaciął się.

„Nie – rozmyślił się – nie powiem tego Królowi, to jest kłamstwo!” Wbił kij w ziemię w innym miejscu, znowu zawiesił na nim opończę, powtórzył całą scenę, ukłon, rozmowę, ale po pytaniu: „A jak wół leciwy?” zaczął znowu bełkotać:

– Najjaśniejszy panie, ukradli mi go... złodzieje...

Poszedł spać, ale nie zdołał zmrużyć oka. Rano – była to sobota – ruszył w drogę ze schyloną głową, ciągle myśląc o tym, co powie Królowi. Przy każdym napotkanym drzewie składał ukłon i mówił: „Dzień dobry, królestwa Włodarzu” – i zaczynał od nowa rozmowę, ale nie umiał jej ciągnąć do końca. Przechodzi koło jednego drzewa, przechodzi koło drugiego, aż wreszcie przyszła mu do głowy pewna odpowiedź. „Oto jaką należy dać odpowiedź!” Szedł uradowany i przy każdym napotkanym drzewie składał ukłon i powtarzał całą rozmowę aż do tego ostatniego pytania, a za każdym razem odpowiedź bardziej mu się podobała.

W pałacu czekał Król z całym dworem, bo rozstrzygał się zakład. Gospodarz Prawda zdjął czapkę i zaczął:

- *Dzień dobry, królestwa Włodarzu!*
- *Dzień dobry, Prawdo-Gospodarzu!*  
*Jak tam kózka czarna?*
- *Zdrowa i figlarna.*
- *Jak jagniątko małe?*

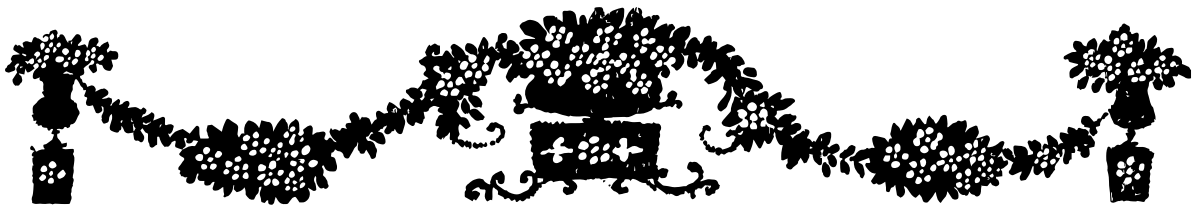
– *Węlniste i białe.*  
– *A jak baran tłusty?*  
– *Zjadł zagon kapusty.*  
– *A jak wół leciwy?*  
– *Panie miłościwy,*  
*Powiem ci, jak było,*  
*Co mi się zdarzyło:*  
*Przyszła piękna pani,*  
*Oszalałem dla niej*  
*I wołu zabiłem,*  
*Łaskę twą straciłem.*

Rzekłszy to, Gospodarz Prawda pochylił głowę i dodał:

– Teraz, jeśli wasza królewska mość chce mnie posłać na śmierć, to niech mnie pośle, ale powiedziałem prawdę.

Król, chociaż zmartwiony stratą wołu, ucieszył się, widząc, że wygrał zakład, i podarował Gospodarzowi Prawdzie worek złotych monet. Cały dwór zaczął klaskać, prócz ministra, który musiał przypłacić głową swoją zawiść.

*KATANIA (SYCYLIA)*



---

## PRÓŻNY KRÓL

**B**ył pewien Król, któremu się zdawało, że jest bardzo piękny. Przeglądał się w zwierciadle i wciąż do niego mówił:

*Zwierciadelko śliczne,  
Wyznaj mi tajemnie,  
Czy jest kto na świecie  
Piękniejszy ode mnie.*

Żona przez jakiś czas pozwalała mu to mówić, potem nie mogła dłużej znosić, że ma takiego próżnego męża, i słysząc, jak powtarza te wiersze, rzekła:

*Zamilcz, panie miłościwy,  
Bo na pewno ktoś się znajdzie  
Bardziej niż ty urodziwy!*

Król skoczył na równe nogi i rzekł:

– Daję ci trzy dni czasu: albo mi powiesz, kto jest piękniejszy ode mnie, albo każę ci uciąć głowę.

Królowa pożałowała natychmiast, że to powiedziała, ale było za późno i czuła już topór kata na karku. Zamknęła się zrozpaczona w swoich komnatach i płakała bez przerwy przez dwa dni. Na trzeci dzień otworzyła okno, by ucieszyć się jeszcze słońcem, póki miała na to czas. Na ulicy była jakaś staruszka, która zdawała się na coś czekać.

– Najjaśniejsza pani, daj mi jałmużnę! – zawołała.

– Daj mi spokój, moja dobra kobieto – odpowiedziała Królowa – mam dość własnych utrapień.



A staruszka, zniżając głos, rzekła:

– Wiem wszystko i mogę ci pomóc.

Królowa spojrzała na nią.

– Wejdź na górę – rzekła.

Staruszka weszła do pałacu.

– Co wiesz? – spytała jej Królowa.

– Wiem wszystko, co ci powiedział Król.

– I jest dla mnie jakiś ratunek?

– Tak, najjaśniejsza pani.

– Mów, dam ci, co tylko zechcesz.

– Nic nie chcę. Posłuchaj: w południe zasiądź razem z Królem do stołu i poproś go o jedną łaskę. „O łaskę życia?” – spyta Król. „Nie” – odpowiesz mu. „A więc łaska ta zostanie ci użyżona” – powie Król. A ty mu powiesz: „Piękniejszy od ciebie jest syn Cesarza Francji, ukryty pod siedmioma zasłonami”.

Królowa poszła za radą staruszki i rozmowa potoczyła się całkiem tak, jak ona jej powiedziała.

Król ani mrugnął powieką.

– Jeśli syn Cesarza Francji naprawdę jest piękniejszy ode mnie – rzekł do żony – uczynisz ze mną, co zechcesz.

Z końcem trzeciego dnia Król wziął trochę wojska i pojechał do Francji. Stał przed Cesarzem i powiedział mu, że chce zobaczyć jego syna.

– Mój syn teraz śpi – odpowiedział cicho Cesarz – ale chodź.

Zaprowadził go do komnaty syna i ściągnął pierwszą zasłonę. Dało się widzieć przezierające światło. Ściągnął drugą zasłonę i światło się wzmogło. Ściągnął trzecią, czwartą, a światło stawało się coraz jaśniejsze, zalewało komnatę; i już ostatnie zasłony opadały jedna po drugiej, i rosły płomienie piękności, aż Cesarzewicz ukazał się na tronie, z berłem w ręce i z mieczem u pasa – taki piękny, że Król upadł zemdłony na ziemię. Zaraz

dali mu powąchać octu i pachnideł, a Cesarzowa kazała go zanieść do jego komnat. Król ocknął się i pozostał tam trzy dni, żeby całkiem przyjść do siebie.

Cesarzewicz rzekł do ojca:

– Papo, chcę pomówić z tym Królem, zanim odjedzie.

Król został wprowadzony, i tym razem, pokrzepiony, nie zemdłał. Zaczęli rozmawiać i w pewnej chwili Cesarzewicz spytał:

– Chciałbyś mnie zobaczyć w swoim domu?

– Jeśli to tylko możliwe! – zawołał Król.

A Cesarzewicz:

– Jeśli zechcesz mnie znowu zobaczyć, to weź te trzy złote kule i wrzuć je do złotej miednicy napełnionej czystym, pełnym mlekiem. Zjawię się przed tobą, tak jak mnie tutaj widzisz.

Król, wróciwszy do domu, rzekł do żony:

– Jestem. Teraz możesz zrobić ze mną, co zechcesz.

A żona odpowiedziała:

– Bądź błogosławiony.

Król opowiedział jej wszystko i pokazał jej trzy złote kule. Ale boleść po utraconym złudzeniu i wrażenie, jakie na nim zrobiła piękność Cesarzewicza, były tak wielkie, że nie mógł sobie dać rady ze zgryzotą i po kilku dniach umarł.

Gdy Król został pochowany, Królowa zawołała najbardziej zaufaną służebną i powiedziała do niej:

– Przynieś mi trzy kwarty pełnego mleka i zostaw mnie samą.

Przygotowała miednicę z mlekiem, wrzuciła do niej trzy złote kule i natychmiast wynurzył się miecz, potem berło, potem zjawił się Cesarzewicz we własnej osobie. Porozmawiali, a potem Cesarzewicz zanurzył się z powrotem w mleku i znikł.

Nazajutrz Królowa posłała znów po świeże mleko i znowu zobaczyła Cesarzewicza, i tak powtarzało się to przez wiele dni, aż służebna znużyła się i rzekła do siebie: „Musi to być jakaś nieczysta sprawa albo jakieś czarnoksiężstwo”.

I nazajutrz, gdy Królowa posłała ją po mleko, rozbiła kryształowy kielich, utłukła go drobniutko w móżdżerzu i wrzuciła ten szklany proszek do mleka. Gdy Królowa wrzuciła trzy złote kule, zaczęło wynurzać się berło – i było całe zakrwawione; zjawił się Cesarzewicz – i broczył krwią od stóp do głów, bo przechodząc przez mleko, musiał przejść wśród tych drobniutkich odłamków i pokaleczył sobie wszystkie żyły.

– Ach! – zawołał. – Zdradziłaś mnie!

– Nie! – odpowiedziała Królowa. – To nie moja wina, przebacz mi!

Ale on już z powrotem zniknął w złotej miednicy.

W cesarskim pałacu we Francji Cesarzewicza znaleziono pokrytego ranami od stóp do głów i lekarze nadworni nie umieli go uleczyć. Ojciec kazał obwieścić, że lekarz czy cyrulik, który zdoła ocalić jego syna, otrzyma odeń każdą łaskę. A tymczasem miasto okryło się żałobą i ciągle biły dzwony.

Królowa, odkąd ujrziała poranionego Cesarzewicza, nie mogła znaleźć spokoju i pojechała do Francji przebrana za owczarza. Pierwszego wieczoru ciemności zaskoczyły ją w lesie. Skuliła się u stóp drzewa, by odmówić modlitwy. Przed nią była okrągła polana i o północy zeszli się tam z piekła wszyscy diabli i zasiedli na naradę, ze swoim przywódcą pośrodku, i każdy po kolei opowiadał swoje dzieła; na koniec przyszła kolej na Diabła Kulawego.

– A ty, niedołęgo, któremu nigdy nic się nie udaje? – spytali go.

A on:

– Tym razem, po tylu latach, coś mi się przecież udało!

I opowiedział wszystko o Królu, o Królowej i Cesarzewiczu, i o tym, co kazał zrobić służącej.

– I teraz Cesarzewicz ma przed sobą tylko trzy dni życia, a potem zabierzemy go tu do siebie.

Wtedy odezwał się Diabeł Gruby:

– Ale powiedz: czy nie jest możliwe, żeby znaleźli jakieś lekarstwo dla tego Cesarzewicza?

A Diabeł Kulawy:

– Lekarstwo by było, ale nie powiem, jakie.

– Nam możesz powiedzieć.

– A jak ktoś usłyszy?

– Ale jak, głupcze? Zdaje ci się, że gdyby ktoś tu o tej porze był w pobliżu, to już by nie umarł ze strachu?

– A więc słuchajcie: trzeba by pójść do lasu przy klasztorze, gdzie jest szklana trawa, narwać pełne dwie torby, utłuc w morderzu, wlać sok do szklanki i tym sokiem zlać Cesarzewicza od stóp do głów: będzie zdrow jak przedtem.

Królowa, usłyszawszy to, nie mogła się doczekać świtu, by pójść szukać klasztoru i szklanej trawy. Idzie, idzie, doszła do klasztoru, zawołała na braci, a oni zaczęli czynić zaklęcia z daleka.

– Nie róbcie zaklęć, jestem dusza chrześcijańska.

Wtedy otworzyli, a ona poprosiła w imię miłosierdzia o dwie torby szklanej trawy, i bracia jej narwali.

Nazajutrz doszła do miasta Cesarzewicza, gdzie już ulice przybrano żałobą. Stanęła przed wartownikiem w przebraniu owczarza, ale nie chcieli jej wpuścić, póki nie dowiedział się o tym Cesarz i nie spytał, czego chce.

– Najjaśniejszy panie, niech wasza cesarska moc odprawi wszystkich cyrulików, a jutro Cesarzewicz będzie zdrow.

Cesarz, który nie wiedział już, co ma robić, zgodził się i zostawił owczarza sam na sam z synem, dając rozkaz służebnym, by dostarczyły mu wszystkiego, czego będzie chciał. Owczarz kazał sobie dać moździerz i utłukł trawę; kazał sobie dać szklanekę i wlał do niej sok; wylał sok na rany Cesarzewicza, a rany, jedna po drugiej, zamykały się i znikały.

Owczarz kazał wezwać Cesarza i pokazał mu uleczonego syna, jeszcze piękniejszego niż dawniej. Cesarz chciał obsypać go skarbami, ale owczarz nie przyjął niczego.

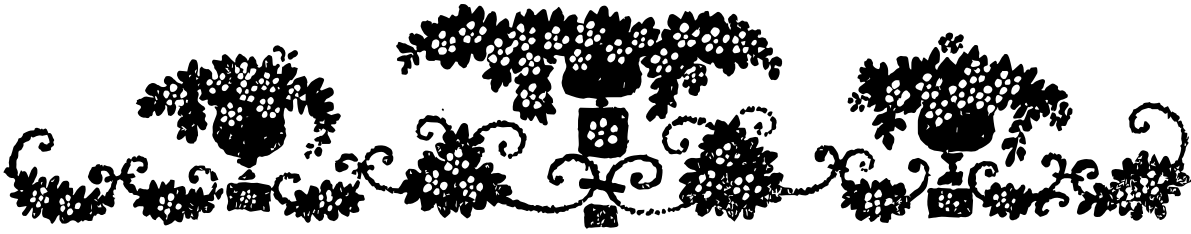
– Weź przynajmniej ten pierścień na pamiątkę – rzekł mu Cesarzewicz i dał mu pierścień.

Królowa wróciła do domu jak mogła najszybciej i zaledwie przyjechała, poszła sama po trochę mleka, zamiast kazać brać je służebnej. Wlała je do miednicy i wrzuciła do niego trzy złote kule. Zjawił się Cesarzewicz, ale zwrócił się ku niej wymachując berłem.

– Nie, nie zdradziłam cię! – zawołała Królowa rzucając mu się do nóg. – Nawet cię ocaliłam, a tu jest pierścień, który mi dałeś!

Cesarzewicz stanął niepewny, a ona opowiedziała mu całą historię. Wielka miłość zrodziła się między nimi i pobrali się za pozwoleniem Cesarza Francji, a służebna została skazana na śmierć.

*ACIREALE (SYCYLIA)*



---

## MOC KWIATU PAPROCI

**N**ajwiększy chwyt w Gallurze był bandytą, którego nawet policji nie udało się nigdy schwytać. Pewnej nocy, po święcie, gdy pola były ciche, bez znaku życia, bandyta, ze strzelbą na plecach przeszedł przez pole, na którym wznosił się kościół. Aż tu niespodzianie zza krzaka wyskakuje dzik i zaczyna biegać naokoło kościoła. Bandyta strzela i zabija go.

Ścieżka biegła tuż koło kościoła. Bandyta, doszedłszy blisko drzwi, usłyszał dochodzące z kościoła śpiewy i śmiechy. Zatrzymał się, by nasłuchiwać, i pomyślał: „Mam dzika, jest tu tyle wesołych ludzi, można by urządzić piękną zabawę, a w dalszą drogę mógłbym ruszyć jutro rano”. To pomyślawszy wszedł do kościoła, ciągnąc za sobą zabitego dzika. „Dzik dla zanej kompanii!” – zawołał, a wszyscy zgromadzeni, mężczyźni i kobiety, wybuchnęli gromkim śmiechem i zaczęli tańczyć w koło, trzymając się za ręce.

Bandyta już miał wyciągnąć do nich ręce, gdy spostrzegł, że wszyscy są bez oczu, i zrozumiał, że nie jest to taniec żywych, ale umarłych.

Umarli, tańcząc wciąż z wielką uciechą, usiłowali wciągnąć go w środek koła, a jakieś widmo kobiece, mijając go z bliska, rzekło doń:

– Jeśli pójdziesz ze mną, powiem ci, gdzie rosną trzy kwiaty paproci!

Młodzieniec chciał ją dogonić, bo wiedział, co powiadają o trzech kwiatach paproci, że gdy się je znajdzie, nikt już nie umrze od kuli. Ale w tej chwili jeden z umarłych oderwał się od gromady i zbliżył się do niego. Bandyta poznał go: był to jego kum.

– Uważaj, kumie – rzekł zmarły kum – kto wejdzie w zastęp umarłych, ten już z niego nie będzie mógł wyjść; jeśli nie uczynisz wszystkiego, by się wyzwolić, to jutro zostaniesz z umarłymi. Aleja, który byłem ci kumem za życia, ocalę cię od śmierci. Wejź i tańcz z nami, ale kiedy będziemy tańczyć z największą ochotą, zaśpiewaj te wiersze:

*Śpiewajcie i tańczcie wy,  
Skoro to święto wasze.  
Kiedy nadejdzie nasze,  
Weselić będziem się my.*





Bandyta natychmiast pobiegł, by dogonić kobietę, która obiecała wskazać mu miejsce, gdzie kwitnie paproć, a ona mu powiedziała:

– Kto chce mieć trzy kwiaty, musi w pierwszy dzień sierpnia pójść za zakręt rzeki, gdzie nigdy nie słyhać piania koguta, tam o północy otworzą

się trzy kwiaty, a cokolwiek się ukaże, nie trzeba się nigdy bać i zerwać kwiaty.

– Zerwę je – rzekł bandyta – i nikt już nie umrze od kuli.

Umarła kobieta roześmiała się.

– Nie zerwiesz ich, nie! Jesteś teraz w gromadzie umarłych i pozostaniesz z nami na zawsze.

I trzymała go za rękę, tańcząc.

Wtedy bandyta zrozumiał, że czas na wiersze, których nauczył go kum, i zaśpiewał:

*Śpiewajcie i tańczcie wy,  
Skoro to święto wasze.  
Kiedy nadejdzie nasze,  
Weselić będziem się my.*

Na ten śpiew umarli rzucili się na ziemię, krzycząc i miotając się. Bandyta nie tracił czasu; pobiegł do drzwi, wskoczył na konia i uciekł. Umarli za nim gonili, ale nie udało im się go schwytać.

W pierwszy dzień sierpnia bandyta ruszył do rzeki. Noc była piękna, ale o północy rozpętuje się nagle burza. Grad, błyskawice, grzmoty, pioruny, języki ognia; a on, nieporuszony, czeka, aż rozwiną się kwiaty.

I oto w świetle błyskawicy widzi otwierający się kwiat i zrywa go.

Wtedy daje się słyszeć ciężki galop i nadbiegają stada dzików, jeleni, byków, krów i wszelkiego rodzaju zwierząt oszalałych od burzy, biegną ku bandycie i zdaje się, że lada chwila na niego wpadną. Ale on stoi twardo, nie lękając się, i ciągle czeka, by otwarł się drugi kwiat. Wtedy w ślad za innymi zwierzętami nadpełza wąż, oplata mu się wokół kostki, a potem pełźnie w górę na udo i z wolna ściska mu szyję; bandyta czuje, że się dusi, że jest już u kresu sił, ale się nie rusza. Wtedy wąż spoziera mu w oczy, wydaje zgrzytliwy świst i znika. A bandyta widzi, że otwarł się drugi kwiat, i zrywa go.

Teraz bandyta jest zadowolony i myśli już, że uwolnił człowieka od śmierci od kuli. Czeką pewien siebie, aż otworzy się trzeci kwiat, i oto w ciszy słyszy tętent koni i huk wystrzałów. Zrazu stoi nieruchomo, potem widzi, że na grzbiecie góry ukazują się oddział karabinierów, który zmierza ku niemu i mówi do siebie: „Właśnie teraz musieli mnie odkryć karabinierzy, a jeszcze nie otwarł się trzeci kwiat i wciąż jeszcze można umrzeć od kuli!”

Więc chwyta go strach, mierzy do karabinierów i strzela.

Natychmiast znikają karabinierzy i konie, znikają także kwiaty paproci. Trzeci kwiat nigdy się nie otworzył – biada duszy człowieka, który nie wytrzymał, i kula dalej sieje śmierć między ludźmi!

*GALLURA (SARDYNIA)*



---

## ŚWIĘTY ANTONI DAJE LUDZIOM OGIEŃ

**N**iegdyś na świecie nie było ognia. Ludzie marzli i poszli do świętego Antoniego, który przebywał na pustyni, i poprosili go, żeby coś dla nich zrobił, bo nie mogą dłużej żyć w tym zimnie. Święty Antoni ulitował się nad nimi, a że ogień był w piekle, postanowił tam po niego pójść.

Święty Antoni, nim został świętym, był świniarkiem, i jedna świnka z jego stada nigdy nie chciała go opuścić i ciągle za nim chodziła. Tak więc święty Antoni ze swoją świnką i swoim kijem z pręta dzikiego bzu stanął u bram piekła i zapukał.

– Otwórzcie mi, bo zmarzłem i chciałbym się ogrzać!

Diabli przy bramie spostrzegli natychmiast, że nie jest to żaden grzesznik, ale święty, i zawołali:

– Nie! Nie! Poznaliśmy cię! Nie otworzymy ci!

– Otwórzcie mi! Zmarzłem! – nalegał święty Antoni, a świnka trącała bramę ryjem.

– Świnię wpuścimy, ale ciebie nie! – odpowiedzieli diabli i uchylili bramy tyle tylko, żeby mogła wejść Świnia.

Świnia świętego Antoniego, gdy tylko znalazła się w piekle, zaczęła wszędzie biegać i ryc, i poprzewracała wszystko do góry nogami. Diabli musieli za nią gonić i zbierać głownie, podnosić kawałki korkowego drzewa, stawiać trójzęby, które przewróciła, kłaść na swoje miejsce widły i narzędzia katuszy. Już im sił nie stawało, a jeszcze nie zdołali ani schwytać świni, ani jej wypędzić.

W końcu udali się do świętego, który pozostał był za bramą.

– Ta twoja przeklęta Świnia wprowadza nam wszędzie straszny nieład!  
Wejdz i zabierz ją sobie!

Święty Antoni wszedł do piekła, dotknął świni kijem i Świnia natychmiast się uspokoiła.

– Skoro już tu jestem – rzekł święty Antoni – to usiądę na chwilę, by się zagrzać.

I usiadł na worku z drewnem korkowym, na samym przejściu, wyciągając ręce do ognia.

Co chwila mijał go pędem diabeł biegnący do Lucyfera, by powiedzieć mu o jakiejś duszy z tego świata, którą przywiódł do grzechu. A święty Antoni łup go swoim kijem po plecach!

– Nie podobają się nam te żarty – powiedzieli diabli – trzymaj przy sobie ten swój kij.

Święty Antoni postawił koło siebie kij, oparty pochyło koncern o ziemię, i pierwszy diabeł, który minął go biegiem, krzycząc: „Lucyferze, dusza pewna!” – potknął się i zarył głębia w ziemię.

– Dość tego! Znudził się nam ten twój kij! – zawołali diabli. – Teraz ci go spalimy.

Wzięli kij i wetknęli go końcem w ogień.

W tej chwili Świnia zaczęła znowu przewracać wszystko do góry nogami: stosy drzewa, haki, pochodnie.

– Jeśli chcecie, żebym ją uspokoił – rzekł święty Antoni – musicie oddać mi kij.

Oddali mu kij, a Świnia natychmiast się uspokoiła.

Ale kij był z dzikiego bzu, który ma gąbczasty rdzeń, i jeśli dostanie się tam iskra lub węgielek, to dalej tli się skrycie, tak że z zewnątrz tego nie widać. Toteż diabli nie spostrzegli, że święty Antoni ma ogień w kiju. A święty Antoni, powiedziawszy diabłom kazanie, odszedł ze swoim kijem i świnią, diabli zaś odetchnęli z ulgą.

Gdy tylko święty Antoni wyszedł na świat, podniósł kij z tlejącym końcem i wywinał nim wkoło, rozsiewając iskry, jak gdyby dawał błogosławieństwo. I zaśpiewał:

*Ogniu, ogniu,  
Płoń wesoło,  
Ogrzej cały  
Świat wokoło!*

Od tej chwili, ku wielkiemu zadowoleniu ludzi, ogień jest na świecie. A święty Antoni wrócił rozmyślać na swoją pustynię.

*LOGUDORO (SARDYNIA)*



---

## GIOVAN BALENTO

**B**ył raz w pewnej wiosce szewc, biedny jak mysz kościelna, który nic innego nie robił, tylko ciągnął dratwę i łątał buty. Nazywał się Giovan Balento i był małego wzrostu, ale wielkiego rozumu. Pewnego dnia, gdy szył but, wbił sobie szydło w palec. „Ach! Ach! Ja nieszczęsny!” – zaczął krzyczeć. Sąsiedzi słyszeli, ale się nie ruszyli, bo Giovan Balento mało ich obchodził. Natomiast wszystkie muchy ze wsi poleciały zaciekawione zobaczyć i wleciały do domu szewca. Jedna usiadła mu na palcu issała wyciekającą krew, inne zobaczyły talerz ugotowanego już makaronu i usiadły na nim.

– Czego tu chcą te wszystkie muchy! – zaczął krzyczeć Giovanni. – Hola, precz! Precz z mego domu!

I usiłował wypędzić je, wywijając pocięgiem. Ale muchy dalej siadały uparcie na talerzu z makaronem. Wtedy Giovan Balento wymierzył w powietrze cios tak potężny, że zrobił z nich miazgę. A potem zaczął liczyć na ziemi muchy, które spadły. Liczy i liczy, naliczył tysiąc zabitych i pięćset rannych. „To był rzeczywiście mistrzowski cios! – powiedział do siebie. – Wszystkim się zdaje, że jestem do niczego, ale jak się przyłożę, to okazuje się, co potrafię!”

Wziął patyk, umaczał w atramencie i napisał na łokciu płótna wielkimi literami: „Jestem Giovan Balento, zabijam tysiąc i ranię pięćset”, i umieścił sobie ten napis na głowie, przyczepiony do kapelusza. Wieśniacy, czytając napis, wybuchali śmiechem i każdy go pytał:

– Ile, Giovan Balento?

A on:

– Zabijam tysiąc i ranię pięćset!

I tak, z ust do ust, ze wsi do wsi, rozpowszechniła się sława Giovan Balento. I po roku w dalekich stronach wymieniano imię Giovan Balento jako jednego z najmężniejszych palatynów Królestwa.

Tymczasem szewc, porzuciwszy dratwę, szydło, smołę, pocięgiel i zydel, ruszył w świat szukać szczęścia. Podróżował na osiołku – same uszy i nogi – bez tłumoka i bez jednego grosza przy duszy. Po trzech dniach jazdy przez las dotarł do jakiegoś zajazdu. Gdy tylko się zbliżył, zaczął wołać:

– Przyjeżdża Giovan Balento, co zabija tysiąc i rani pięćset!

Zajazd był pełen zbójów. Gdy usłyszeli imię tak sławnego bohatera, obleciał ich strach i w wielkim pośpiechu pierzchnęli drzwiami i oknami na wsze strony, zostawiając obiad na stole, lśniącą broń i dobre konie. Giovanni, bez pośpiechu, zsiada z osła i idzie usiąść przy stole. Przychodzi gospodarz.

– Jedz, jedz, przesławny palatynie; winienem ci wieczną wdzięczność. Sama twoja obecność uwolniła mnie od zgrai zbójów.

A Giovan Balento, już z pełnymi ustami, nie podnosząc oczu znad talerza, powiada:

– Ech, nie takich rzeczy dokonałem!

Gdy się już nasycił, wybrał sobie najpiękniejszego konia, który należał do herszta, wskoczył na siodło i rzekł do gospodarza:

– Jeśli będziesz kiedyś potrzebował pomocy, daj mi znać. Póki żyje Giovan Balento, nikt nie śmie wyrządzić ci krzywdy!

Spiął konia ostrogami i pogalopował, żegnany ukłonami gospodarza i jego sług.

Otóż Giovan Balento owego dnia po raz pierwszy jechał konno. Ścisnął konia kolanami i zdawało mu się za każdym krokiem, że wylatuje w powietrze. „O, moje szydła – mówił do siebie – o, moja dratwo, cóż



uczyniłem porzucając was!” Ale jechał, jechał, aż wreszcie nauczył się siedzieć w siodle i w każdej wsi przyjmowano go z wielkimi honorami.

I tak dojechał do Kraju Olbrzymów. Olbrzymi, rozłożysti jak kasztanowe drzewa i wysocy jak topole, gdy tylko go zobaczyli, rozdziawili usta wielkie jak piece, kłapnęli szczękami i widać było, że chcą go pożreć żywcem. Giovan drżał jak trzcina.

– Ach, to ty jesteś Giovan Balento, który zabija tysiąc i rani pięćset! – zawołał wódz Olbrzymów. – Chcesz bić się ze mną? Chodź, przepraw się przez rzekę.

– Lepiej dajcie mi jechać dalej – rzekł Giovanni. – Wiecie, z kim sprawa... Papryka także jest malutka, ale się ją czuje! Jak dobędę miecza, biada wam!

Olbrzymi naradzili się z sobą, potem powiedzieli łagodniejszym głosem:

– Dobrze, damy ci jechać dalej. Ale przedtem daj nam dowód twojej siły. Widzisz tę wielką górę? Musisz przetoczyć ją aż tutaj, bo chcemy zrobić z niej kamień młyński do naszego młyna. Jeśli ci się to uda, będziemy twoimi sługami, a ty będziesz naszym Królem.

Giovan Balento podniósł ręce do ust i począł wołać:

– Uciekajcie, ludzie z doliny, uciekajcie! Teraz przesławny Giovan Balento będzie toczył kamień-olbrzymia i robi z was miazgę! Uciekajcie!

Z doliny zaczęły uciekać rodziny biedaków. Także Olbrzymi na koniec się ulękli: uciekł jeden, ucieka drugi, wreszcie zaczęli uciekać wszyscy krzycząc:

– Giovan Balento zabija tysiąc i rani pięćset!

Gdy wokoło nie było już żywej duszy, Giovanni spiął konia, przeprawił się przez rzekę i spokojny jak święty Jan Chrzyciel przejechał przez Kraj Olbrzymów. A jego sława szła przed nim, rosnąc z dnia na dzień.

Jechał i jechał, aż natknął się na dwa wojska, które właśnie miały stoczyć z sobą bitwę. Był tam Król, bardzo przygnębiony, pośród swoich wodzów

ze spuszczoneymi głowami; ów Król, jeśli przegrałby bitwę, przypłaciłby to tronem, koroną i nawet głową. Król, gdy tylko zobaczył Giovanniego Balento, ucieszył się i nabrał otuchy.

– Przesławny Giovan Balento – rzekł – niebo zsyła mi ciebie, by dać nam ratunek i zwycięstwo. Obejmij dowództwo nad moimi wojskami.

Giovanni pomyślał, że nadeszła pora, by powiedzieć prawdę.

– Najjaśniejszy panie – rzekł – nie jestem wcale tym, za kogo mnie wasza królewska mość bierze: jestem biednym szewcem, który umie władać tylko szydłem i dratwą...

– Dobrze, dobrze, na bajdurzenie będzie czas potem! – przerwał mu Król.  
– Czas nagli! Bądź naszym wodzem: oto mój koń już osiodłany, oto mój pancerz i mój miecz!

I choć Giovanni się opierał, siłą włożono nań zbroję, wsadzono go na konia i ognisty rumak królewski rżąc ruszył z kopyta. Widząc wodza cwałującego ku nieprzyjacielowi, wszyscy inni rycerze ruszyli także do natarcia z wielkim tętentem, zwarli się z nieprzyjacielem i starli go w mgnieniu oka.

Bitwa jest wygrana, rycerstwo zaczyna się weselić, szuka wodza i nie znajduje. Szukają tu, szukają ówdzie, wreszcie znaleźli go o cztery mile dalej: przebił się cwałem przez armię nieprzyjacielską, przejechał ją z jednego końca do drugiego i dalej galopował przed siebie. Rycerze powiedli go w triumfie przed Króla.

– Gdybyście pojechali za mną – rzekł Giovan Balento do Króla, który kłaniał się przed nim na znak wdzięczności – o tej porze zdobylibyśmy już trzy królestwa i trzy korony. Ale i tak bitwa jest wygrana, więc bądźmy zadowoleni! Z Bogiem!

– Jak to? Chcesz już odjechać? A ja chciałem dać ci swoją córkę za żonę!  
– zawołał Król.

Ale Giovanni nie chciał słuchać, odrzucił wszystko i znowu ruszył w świat.

Jechał i jechał, aż dojechał do Królestwa Amazonek. Wiadomo, że Amazonki, sławne wojownice, rządzą się same, mają swoją Królową i żadnemu mężczyźnie nie pozwalają wejść w swoje rubieże. Gdy który wpadał w ich ręce, ćwiartowały go i rzucały na żer zwierzętom, a z jego skóry robiły bębny. Królowa Amazonek była okrutną kobietą i nigdy w życiu ani się nie roześmiała, ani uśmiechnęła.

Giovan Balento wjechał w ich państwo. Amazonki ujęły go, spętały i powiodły na dwór przed Królową. Na dworze Amazonek, z mnóstwem koni, pełno było much. Konie machały ogonami, Amazonki wachlowały się wachlarzami, ale Giovanni, który był spętany i nie mógł się ruszyć, miał wszystkie muchy na sobie.

– Jesteś trup! – rzekła Królowa. – Takie jest prawo. Dlaczego wtargnąłeś w moje Królestwo?

Giovanni, z pochyloną głową, mówił do siebie: „O, moje szydła, moja dratwo, mój zydelku! Gdybym pozostał z wami, nie znalazłbym się w tych opałach!”

– Słuchaj – mówiła dalej Królowa – nie chciałabym zabijać biednego młodzieńca jak psa. Powiedz mi prawdę, a ocalisz życie: więc rzeczywiście zabiłeś tysiąc, a raniłeś pięćset?

– Jednym ciosem, najjaśniejsza pani!

– I jak to zrobiłeś?

– Zdejmijcie mi te łańcuchy, a pokażę wam.

Królowa natychmiast kazała zdjąć z niego łańcuchy. Wszystkie Amazonki na koniach stały naokoło niego i patrzyły. Słysząc było tylko poruszanie się końskich ogonów i wachlarzy i brzęczenie much.

– Jak to zrobiłem? Ot tak!

I Giovan Balento, wymierzywszy cios w powietrze, położył trupem wszystkie muchy, jakie miał wokół siebie.

– Policzcie!

– To były muchy! Och, och, och!

I wszystkie Amazonki zaczęły się śmiać, trzymając się za boki i zataczając się na grzbietach końskich. A tą, która śmiała się najgłośniej, była Królowa.

– Ach, ach, ach! Och, och och! Ach, ile śmiechu, och, nigdy się tak nie śmiałam... Giovan Balento, jesteś pierwszym człowiekiem, który zdołał mnie rozśmieszyć! A z tą sprawnością w zabijaniu much jesteś opatrnością w moim Królestwie! Pozostań z nami, a będziesz moim mężem.

Sprawiono wesele, były wielkie uczyty i tańce, a szewc został Królem Amazonek.

*Skończyłem baśń opowiadać,  
Niech ktoś inny teraz gada!*

KORSYKA



---

## SKACZ DO MEGO WORKA!

**W** górach Niolo, gołych i nędznych, przed wielu, wielu laty żył ojciec z dwunastoma synami. Był głód i ojciec rzekł:

– Synowie, nie mam już dla was chleba, idźcie w świat, na pewno będzie wam lepiej niż w domu. Jedenastu starszych synów zabierało się już w drogę, kiedy dwunasty, który był kulawy, zaczął płakać:

– A jak ja, kulawy, zarobię na życie?

A ojciec:

– Dziecko moje, nie płacz, pójdiesz z jedenastoma braćmi i to, co oni znajdą, będzie także twoje.

I tak dwunastu braci przyrzekło sobie nie rozstawać się nigdy i poszło w świat. Szli jeden dzień, szli drugi dzień, a kulawy ciągle przyzostawał z tyłu. Na trzeci dzień najstarszy brat rzekł:

– Ten nasz braciszek Francesco, który ciągle przyzostaje w tyle, jest dla nas tylko zawadą! Zostawmy go na drodze: tak będzie lepiej i dla niego, bo znajdzie jakąś dobrą duszę, która się nad nim ulituje.

Przeto nie zatrzymywali się więcej, by poczekać na niego, i szli dalej, prosząc o jałmużnę każdego, kogo spotkali, aż przyszli do Bonifacio.

W Bonifacio była łódź przycumowana do mola.

– A gdybyśmy wsiedli do łodzi i popłynęli do Sardynii? – rzekł najstarszy. – Może tam jest mniejszy głód niż u nas!

Bracia wsiedli do łodzi i odbili od brzegu. Gdy byli na środku cieśniny, zerwała się taka gwałtowna burza, że łódź roztrzaskała się w tysiące kawałków o skały i wszystkich jedenastu braci utonęło.

Tymczasem Francesco, zmęczony i zrozpaczony, nie mogąc dogonić braci, krzyczał, płakał, a potem usnął na skraju drogi. Wróżka tego miejsca widziała i słyszała wszystko z wierzchołka drzewa. Gdy tylko Francesco usnął, zeszła z drzewa, poszła zbierać zioła, które знаła, zrobiła z nich plaster, przyłożyła mu go na chromą nogę i noga stała się zdrowa. Potem przybrała postać ubogiej staruszki i usiadła na wiązce chrustu, czekając, aż Francesco się zbudzi.

Francesco zbudził się, wstał, spróbował iść dalej, kulejąc, i spostrzegł, że już nie kuleje, ale idzie jak inni.

Ujrzał siedzącą opodal staruszkę i spytał jej:

– Babciu, nie widziałaś może jakiegoś lekarza?

– Lekarza? A na co ci lekarz?

– Chciałbym mu podziękować. Tak, musiał tędy przechodzić jakiś wielki lekarz, który uzdrowił mi chromą nogę, gdy spałem.

– Lekarzem, który uzdrowił ci chromą nogę, jestem ja – odpowiedziała staruszka. – Znam bowiem wszystkie zioła, także zioło, które leczy chrome nogi.

Francesco, uszczęśliwiony, skoczył staruszce na szyję i ucałował ją w oba policzki.

– Jaki mam ci dać dowód wdzięczności, babciu? Daj mi tę wiązkę, poniosę ci ją.

Schylił się, aby podnieść wiązkę, ale gdy się wyprostował, na miejscu staruszki była najpiękniejsza dziewczyna, jaką można sobie wyobrazić, cała lśniąca od diamentów, o jasnych włosach, które zakrywały jej ramiona, w sukni z modrego jedwabiu haftowanej złotem i z dwiema gwiazdami z drogich kamieni na bucikach.

Francesco z otwartymi ustami upadł do nóg wróżki.

– Wstań – rzekła – widzę, że nie jesteś niewdzięcznikiem, i dopomogę ci. Powiedz dwa życzenia, a spełnię je natychmiast. Wiedz, że jestem Królową

Wróżek Jeziora Creno.

Chłopiec namyślał się przez chwilę, a potem odpowiedział:

– Chcę mieć worek, w którym znajdzie się każda rzecz, jakiej zażądam.

– Będziesz miał taki worek. A jakie masz drugie życzenie?

– Chcę mieć kij, który by robił wszystko, co mu każę.

Wróżka odpowiedziała:

– Będziesz miał ten kij.

I znikła. U nóg Francesca leżał worek i kij.

Uszczęśliwiony chłopiec chciał zrobić próbę. A że był głodny, zawołał:

– Pieczona kuropatwa do worka!

I: hop! – do worka wleciała pieczona kuropatwa.

– Chleb do worka!

I: hop! – do worka wskoczył bochenek chleba.

– Butelka wina do worka!

I: hop! – butelka wina. Francesco zjadł wyśmienity obiad.

Potem ruszył w dalszą drogę, już nie kulejąc, i nazajutrz znalazł się w Marianie. W Marianie spotykali się wszyscy najwięksi gracze z Korsyki i kontynentu. Francesco nie miał ani grosza i rozkazał:

– Sto tysięcy skudów do worka!

I worek napełnił się skudami. W oka mgnieniu rozeszła się po Marianie wieść, że przyjechał książę di Santo Francesco, sławny ze swych bogactw.

Trzeba wiedzieć, że w owym czasie upodobał sobie Marianę diabeł. Pod postacią pięknego młodzieńca ogrywał wszystkich w karty, a gdy gracze nie mieli już ani grosza, kupował ich dusze. Dowiedziawszy się o tym bogatym cudzoziemcu, który kazał zwać się księciem di Santo Francesco, przebrany diabeł natychmiast poszedł go odwiedzić.

– Mości książę, wybacz, że ośmieliłem się przyjść, ale sława waszej książęcej mości jako gracza jest tak wielka, że nie oparłem się pragnieniu, by przyjść złożyć moje uszanowanie waszej książęcej mości.

– Wprawiasz mnie w zakłopotanie – odpowiedział Francesco. – Mówiąc prawdę, nie umiem grać w żadną grę, nigdy nawet nie miałem w ręce talii kart. Ale chętnie zagrałbym z tobą jakąś partyjkę, tak dla nauki, i jestem pewien, że ucząc się od ciebie, rychło nabiorę pożądanych umiejętności.

Diabeł był tak zadowolony z odwiedzin u księcia, że przy pożegnaniu nie był dość uważny – kłaniając się wyciągnął nogę i pokazał koźle kopyto. „Ach, ach! – rzekł do siebie Francesco. – To szatan, który przyszedł do mnie w odwiedziny. Dobrze! Dostanie, co mu się należy!” I, pozostawszy sam, zażądał od worka sutej wieczerzy.

Nazajutrz Francesco poszedł do domu gry. Było tam wielkie zamieszanie i wszyscy ludzie tłoczyli się w jednym miejscu. Francesco przecisnął się przez ciżbę i ujrzał na ziemi trupa młodzieńca ze skrwawioną piersią.

– Przegrał cały majątek – wyjaśniono mu – i wbił sobie przed chwilą sztylet w serce.

Na twarzach wszystkich graczy był smutek. Tylko jeden z nich, jak spostrzegł Francesco, śmiał się pod wąsem. I Francesco poznał diabła, który był u niego w odwiedzinach.

– Szybko! – rzekł diabeł. – Wynieśmy tego nieszczęśnika i grajmy dalej!

I wszyscy wzięli znowu karty do rąk.

Francesco, który nie umiał nawet trzymać kart w ręce, przegrał owego dnia wszystko, co miał przy sobie. Na drugi dzień, nauczywszy się już trochę grać, przegrał jeszcze więcej niż pierwszego dnia. Trzeciego dnia, będąc już wytrawnym graczem, przegrał tyle, iż wszyscy sądzą, że się do cna zrujnował.

Ale dla niego nie było to nic, bo wystarczyło mu tylko rozkazać workowi, a znajdował w nim tyle złota, ile potrzebował.

Przegrał tyle, że diabeł rzekł do siebie: „Teraz, choćby był nawet najbogatszym człowiekiem świata, na pewno pójdzie z torbami”. Wziął go na stronę i rzekł doń:



– Mości książę, nie umiem wypowiedzieć, jak bardzo boleję nad niepowodzeniem, jakie dotknęło waszą książęcą mość. Ale mam dla waszej książęcej mości dobrą wiadomość: jeśli wasza książęca mość mnie usłucha, będzie mógł odzyskać połowę tego, co przegrał!

– A w jaki sposób?

Diabeł rozglądnął się wokoło, a potem szepnął:

– Niech wasza książęca mość sprzeda mi swoją duszę!

– Ach, tak! – zawołał Francesco. – To jest rada, jaką mi dajesz, szatanie? Kiedy tak, to skacz do mego worka!

Diabeł zarechotał i chciał uciec, ale nie było sposobu: skoczył na łeb, na szyję w otwarty worek. Francesco zawiązał worek i powiedział kijowi:

– Bij!

I kij bije! Diabeł w worku miotał się, płakał, przeklinał.

– Puść mnie! Dostyc, bo umieram!

– Ach, tak? Umierasz? I zdaje ci się pewnie, że to byłoby nieszczęście?

I kij bije.

Po trzech godzinach tej chłosty Francesco rzekł:

– Dość już, przynajmniej na dzisiaj.

– Czego chcesz za wrócenie mi wolności? – spytał słabym głosem diabeł.

– Słuchaj dobrze: jeśli chcesz odzyskać wolność, musisz natychmiast wskrzesić wszystkich, którzy zabili się przez ciebie w domu gry!

– Przysięgam ci to! – zawołał diabeł.

– No to wychodź! Ale pamiętaj, że mogę znowu wsadzić cię do worka, gdy tylko zechcę. Diabeł strzegł się dobrze, by nie uchybić słowu: zniknął pod ziemią i niebawem spod ziemi wyszedł tłum młodzieńców z bladymi twarzami i rozgorączkowanymi oczyma.

– Przyjaciele – rzekł do nich Francesco – zrujnowaliście się w grze i z rozpaczcy zabiliście się. Teraz miałem możliwość wskrzeszenia was, ale za

drugim razem nie wiem, czyby mi się to udało. Czy obiecujecie mi, że nie będziecie więcej grać, jeśli zostawię was przy życiu?

– Tak, tak, przysięgamy!

– Dobrze, macie tu więc po tysiąc skudów dla każdego. Idźcie i pracą zarabiacie uczciwie na chleb.

Wskrzeszeni młodzieńcy odeszli, uszczęśliwieni; ten wrócił do rodziny w żałobie, ów ruszył w świat, bo jego złe prowadzenie się sprawiło, że rodzice umarli ze zmartwienia.

Także Francescowi przyszedł na myśl jego stary ojciec. Ruszył z powrotem do swojej wsi, ale po drodze spotkał jakiegoś chłopca załamującego ręce z rozpacz.

– Cóż ty, chłopcze, to twoje rzemiosło stroić miny? – spytał Francesco, któremu było wesoło. – Po ile sprzedajesz tuzin?

– Mnie tam nie do śmiechu, panie – odpowiedział chłopiec.

– Co ci się stało?

– Mój ojciec jest drwalem i żywi całą rodzinę. Dziś rano spadł z wierzchołka kasztana i złamał sobie rękę. Pobiegiem do miasta po lekarza, ale lekarz wie, że jesteśmy biedni, i nie chce się trudzić...

– To wszystko? Nie martw się. Już ja o tym pomyślę.

– Jesteś lekarzem?

– Nie, sprowadzę tamtego. Jak się nazywa?

– Doktor Pancrazio.

– Dobrze! Doktorze Pancrazio, skacz do mego worka!

I do worka wskoczył lekarz ze wszystkimi swymi narzędziami.

– Kiju, bij!

I kij rozpoczął swój taniec.

– Ratunku! Litości!

– Obiecujesz, że wyleczysz za darmo drwala?

– Obiecuję wszystko, czego zechcesz.

– No to wyłaż z worka.

I lekarz pobiegł do łóżka drwala.

Francesco ruszył w dalszą drogę i po kilku dniach doszedł do swojej wsi, gdzie był jeszcze większy głód niż przedtem. Francesco rozkazując: „Kurczę z rożna, skacz do mego worka!”, „Butelka wina, skacz do mego worka!”, założył gospodę, w której wszyscy mogli zaspokoić głód, nie płacąc ani grosza.

Działo się tak dopóty, dopóki trwał głód. Kiedy wrócił dostatek, Francesco nie chciał już nikomu nic dawać, bo byłoby to jakby zachętą do lenistwa.

Myślicie, że teraz był szczęśliwy? Skądże! Był smutny, bo nie wiedział nic o swoich jedenastu braciach; przebaczył już im zły uczynek, który popełnili zostawiając go samego i kulawego. I powiedział na próbę:

– Giovanni, bracie mój, skacz do mego worka!

W worku coś się poruszyło. Francesco otworzył i zajrzał: była tam kupka kości.

– Paolo, bracie mój, skacz do mego worka!

Druga kupka kości.

– Pietro, bracie mój, skacz do mego worka!

I dalej ich wzywał, aż doszedł do jedenastego, i za każdym razem, niestety, znajdował w worku tylko kupkę na pół ogryzionych kości. Nie było wątpliwości: wszyscy jego bracia nie żyli od dawna.

Francesco był smutny. Także jego ojciec umarł i pozostał sam. I także na niego przysła kolej zostać starym.

Jedynе życzenie, jakie miał przed śmiercią, to było ujrzeć wróżkę jeziora Creno, która uczyniła go tak możliwym. Ruszył więc w drogę i doszedł do miejsca, w którym spotkał ją po raz pierwszy. Zaczął jej oczekiwać, ale czeka i czeka, a wróżka nie przychodzi.

– Gdzie jesteś, dobra Królowo? – błagał. – Ukaż mi się raz jeszcze! Nie chcę umrzeć, zanim nie ujrzę cię po raz drugi.

Zapadła noc. Wróżki nie było ani śladu. Natomiast drogą tą przechodziła śmierć. W jednej ręce trzymała czarną chorągiew, a w drugiej kosę. Zbliżyła się do Francesca.

– Jakże tam, stary, nie jesteś jeszcze zmęczony życiem? Nie dosyć schodziłeś gór i dolin? Czy nie czas już, żebyś zrobił jak wszyscy i poszedł ze mną?

– O, śmierci – odpowiedział stary Francesco – błogosławię cię! Tak, dość widziałem świata i tego, co jest na świecie; jestem syt wszystkiego. Ale nim odejdę, muszę pożegnać się z pewną osobą. Daj mi jeden dzień czasu.

– Odmów lepiej swoje pacierze, jeśli nie chcesz umrzeć jak Turek, a potem chodź ze mną.

– Błagam cię, poczekaj do rana, póki nie zapieje kogut.

– Nie.

– Jedną godzinę!

– Ani jednej minuty.

– A więc skoro jesteś taka okrutna, to skacz do mego worka!

Śmierć zadrżała, wszystkie jej kości zaszczękały jedna o drugą, ale nie mogła nie skoczyć do worka. W tej samej chwili zjawiała się Królowa Wróżek, świeża i piękna jak niegdyś.

– Wróżko – rzekł Francesco – dzięki ci!

A do śmierci:

– Wyskakuj z worka i czekaj na mnie.

– Nie nadużyłeś władzy, jaką ci dałam, Francesco – rzekła wróżka. – Twój worek i kij posłużyły ci do dobrych uczynków. Chcę cię wynagrodzić. Powiedz, czego pragniesz.

– Nie pragnę już niczego.

– Chcesz być paladynem?

- Nie.
- Chcesz być królem?
- Nie chcę już niczego.
- Starcze, chcesz zdrowia, młodości?
- Ujrzałem cię. Umieram szczęśliwy.
- Żegnaj, Francesco. Spal przedtem worek i kij.

I wróżka znikła.

Dobry Francesco rozpałił wielki ogień, ogrzał przez chwilę zlodowaciałe członki i rzucił w płomienie worek i kij, aby nikt nie zrobił z nich złego użytku.

Śmierć była opodal, za krzakiem.

– Kukuryku! Kukuryku! – zapał pierwszy kogut.

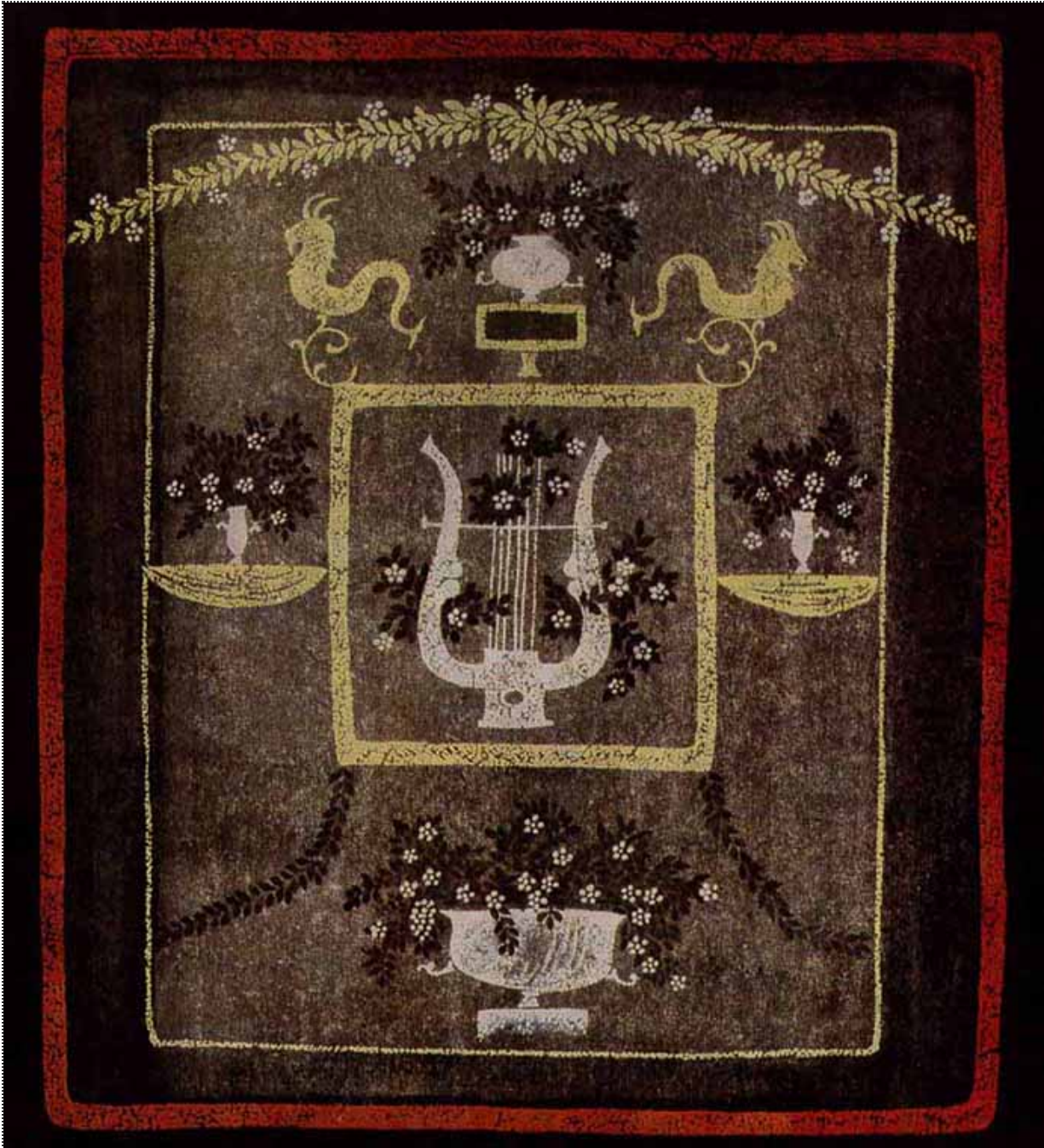
Francesco nie usłyszał. Ogłuchł był na starość.

– To kogut – rzekła śmierć; raziała starca kosą i znikła.

*KORSYKA*







# Spis treści

[Start](#)